NINA
OLSZEWSKA

PUDŁO

OPOWIEŚCI Z POLSKICH WIĘZIEŃ

WP

PUDŁO

OPOWIEŚCI
Z POLSKICH WIĘZIEŃ

NINA
OLSZEWSKA

PUDŁO

OPOWIEŚCI
Z POLSKICH WIĘZIEŃ

WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

Copyright © Nina Olszewska, 2020
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Redaktor prowadzący: Bogumił Twardowski
Marketing i promocja: Agata Gać
Redakcja: Adrian Stachowski
Korekta: Paulina Jeske-Choińska, Anna Gądek
Łamanie: Grzegorz Kalisiak
Projekt layoutu: Maciej Majchrzak
Projekt okładki: Magda Bloch
Zdjęcia na okładce, wyklejce i w książce: Piotr Kochański
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66553-36-1

Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
redakcja@wydawnictwopoznanskie.com
www.wydawnictwopoznanskie.com

Spis treści

Wstęp

Taki turnus

Sprawy wiary

Musi być tanio

Dni inaczej płyną

Bibliotekarze

Janek z domu chorych

Miłość w czasach odsiadki

Dom w pół drogi

Koniec turnusu

Ciach bajera

Musi pani z bardzo mądrymi ludźmi rozmawiać,
żeby pani głupot nie nagadali. Najlepiej z takimi, co upadali,
podnosili się i upadali znowu. Taki, co upadł i siedzi 15 lat,
nic pani mądrego nie powie. Powie, że się do więzienia przyzwyczaił.

Dawid, zawodowy złodziej, Zakład Karny w Czerwonym Borze

Wstęp

W więzieniach wszyscy mają piątki z kodeksowej matematyki. Bez podpowiedzi wiedzą, że ci z „dziesioną” liczą się bardziej, a ci z „200+” liczyć mogą co najwyżej na cud. Może łatwiej jest powiedzieć „sto czterdzieści osiem” niż zabójstwo, „dziesiona” brzmi lepiej niż rozbój, a „plus” doklejony do „200” ma w sobie optymizm, którego brakuje litanii przestępstw na tle seksualnym. A może to taki odruch, kwestia osłuchania, lokalny dialekt, a nie rozmyślna strategia albo samoobrona. A może wszystko naraz. Jeden z moich bohaterów na kartce wypisał wszystkie cyfry, na które się załapał, podkreślał, zaznaczał kółkiem, strzałką wskazywał powiązania. Bo te cyfry to tutaj podstawa.

Im więcej artykułów, im dłuższa historia przestępcza, tym więcej zależności, zawieszania, odwieszania, kolejnych procesów. Chwilami myślę, że sprawa jest prosta, wyrok jeden, i to długi, więc tu łatwo oszacować, ile było, ile zostało, ale nie, znowu błąd, to nie tak. Bo może warunkowe przedterminowe zwolnienie, a może wręcz przeciwnie, cholera wie, co się stanie, co wymyślą, może będzie dłużej, a nie krócej? Siedzimy, rozmawiamy, bohater wznosi oczy do nieba, bo daj Boże, żeby tylko te trzynaście lat zostało.

Kiedy po raz pierwszy rozmawiam z osadzonym z artykułu 148, czuję nieznośny dysonans. Mój rozmówca jest mądrym, zabawnym, ciepłym człowiekiem, ale jest też mordercą. Mówię o tym wychowawcy po zakończonym spotkaniu. Odpowiada, że trudniej jest obcować z tymi często miłymi, fajnymi ludźmi, których akta wciąż się pamięta. Kiedy wie się aż za dobrze, czy to 148 oznacza

tragiczny rozwój wydarzeń, czy dziewięćdziesiąt ciosów nożem i dwugodzinną agonię ofiary proszącej o litość.

Spotykamy się najczęściej w świetlicy zakładu karnego. Nie mam telefonu ani komputera. Kiedy pojawia się kolejna zagadka, nie mogę udawać, że wiem, nie mam szans szybko nadrobić niewiedzy. Dlatego pytam, a oni tłumaczą.

Daję im zainteresowanie, pewnie dlatego zgadzają się na rozmowy. Daję im zaufanie, co sprawia, że rozmowy wydłużają nam się niemiłosiernie. Wielu mówi, że tego im tu brakuje. Niektórzy proszą o anonimowość, innym jest to obojętne, są i tacy, którym zależy na tym, by ich historia poszła w świat.

Dostanie się do więzienia to nie jest łatwa sprawa. Pierwszym krokiem był za każdym razem e-mail wysłany na adres jednostki. Odpowiedź dostawałam od razu, po wielu ponagleniach – lub nigdy. Negatywną, od razu pozytywną lub pełną podejrzliwych pytań. Bywało, że jednostka brała mnie na przeczekanie, czasem dyplomatyczne („mogę zagwarantować, że dostanie pani odpowiedź na swoje pytanie, ale kiedy to nastąpi i jaka ona będzie, tego nie powiem"), czasem boleśnie szczerze („gaszę teraz pożary, a pani jest kolejnym"). Kalendarz puchł mi od notatek: przypomnieć się w Barczewie, w Iławie, w Siedlcach. Odbijałam się od urlopów, emerytur, zwolnień lekarskich i innych rodzajów braków kadrowych. W paradę wchodziły mi święta religijne, państwowe i resortowe.

W końcu nadchodził e-mail lub telefon – prośba rozpatrzona pozytywnie. Po zgodzie dyrekcji dział penitencjarny kompletował mi rozmówców, „takich, z którymi da się rozmawiać", i uzyskiwał od nich zgodę na wywiad. Bywało, że tworzyłam przedziwne deklaracje RODO, zdarzyło się – tylko raz – że mogłam wskazać, jakie interesują mnie wyroki, jaki więzienny staż, wiek i sytuacja rodzinna.

Moje wizyty w więzieniu ograniczone były godzinami pracy działu penitencjarnego, zaczynały się więc najczęściej między ósmą

a dziewiątą rano. Na początek rozmowa z rzecznikiem prasowym, kierownikiem działu, psychologiem lub wychowawcą, któremu trafiła się wątpliwa przyjemność nadzorowania gościa.

Potem on lub oni i świadomość, że po wyjściu stąd nie będę mogła zadzwonić z pytaniem, które przyjdzie mi do głowy dopiero wieczorem, nie będę mogła poprosić o doprecyzowanie kwestii, która przy pisaniu wyda mi się niejasna. Jeśli potrzebna będzie kolejna rozmowa, mogę nie dostać zgody na jej przeprowadzenie, co mi się zresztą zdarzyło. Za kratami mam kilka godzin. To na niektóre rozmowy za dużo, na większość – za mało.

W Polsce jest 120[1] jednostek penitencjarnych. Zwieńczone drutem kolczastym mury pną się do nieba w centrach miast, wyrastają na przedmieściach, górują nad miasteczkami. Można się do nich przyzwyczaić, można doceniać architekturę, niektóre, te nieczynne, można zwiedzać, inne nawet kupić, jeśli ktoś ma taką fantazję. Można też sprawdzić trzema kliknięciami myszki, ile osób tam jest. Można sobie uświadomić, że są tam ludzie, którzy nie opuścili tego miejsca od piętnastu czy dwudziestu lat, że kiedy tam wchodzili, nie było jeszcze tej galerii handlowej naprzeciwko czy tamtego biurowca. Ludzie, dla których świat wolności zatrzymał się na krócej lub dłużej, chociaż ich dzieci rosną, zaczynają i kończą szkoły, bliscy rodzą się i umierają – lub zapominają. Przed więźniami rysuje się inna rzeczywistość, której zasady muszą szybko opanować, jeśli chcą uniknąć kłopotów lub jeśli właśnie kłopotów szukają.

Ze statystyk sklejam sobie przeciętnego więźnia. Jest mężczyzną – na ponad 74 tysiące osadzonych w 2018 roku zaledwie trzy tysiące to kobiety. Jest Polakiem, chociaż liczba obcokrajowców w polskich więzieniach systematycznie rośnie – raport roczny z 2018 wskazuje już ponad tysiąc osób. Przeciętny skazany odbywa karę za

przestępstwo przeciwko mieniu, najczęściej za kradzież z włamaniem. Wyrok – od trzech do pięciu lat.

Rozmówców przydzielają mi jednak funkcjonariusze, a nie tabelki, i szukając tych, z którymi da się rozmawiać, rzadko sięgają po „przeciętnych". Moja osobista statystyka wskazuje, że „da się rozmawiać" głównie z osadzonymi z poważniejszymi i najpoważniejszymi wyrokami.

Zazwyczaj wiedziałam, jakie artykuły kryły się za człowiekiem – a może człowiek za artykułami? – ale nigdy nie pytałam o szczegóły. Tym, co interesowało mnie najbardziej, było życie w więzieniu. Od chwili, gdy pierwszy raz moi bohaterowie usłyszeli szczęk zamykanych krat, przez wszystkie dłużące się dni, do momentu, gdy do wyjścia odlicza się godziny. Ich emocje, wspomnienia, historie, nawet jeśli koloryzowane.

Statystyki mówią, że mniej więcej połowa tu wróci. W tabelce z danymi recydywy ostatni wiersz to osoby odbywające karę więzienia „po raz siódmy i więcej". Trudno uwierzyć, że tak im nie po drodze z wolnością. Trudno uwierzyć, że dobrze im za tym murem. A jeśli nie dobrze, to jak?

Poszłam ich o to zapytać.

[1] Sto dwadzieścia zakładów karnych i aresztów śledczych łącznie, zgodnie z informacji zawartymi na stronie internetowej Służby Więziennej w comiesięcznym komunikacie na temat zaludnienia jednostek penitencjarnych. Stan na 7 lutego 2020 roku.

Taki turnus

Art. 67. § 1. Wykonywanie kary pozbawienia wolności ma na celu wzbudzanie w skazanym woli współdziałania w kształtowaniu jego społecznie pożądanych postaw, w szczególności poczucia odpowiedzialności oraz potrzeby przestrzegania porządku prawnego i tym samym powstrzymania się od powrotu do przestępstwa[2].

Robert

– Najpierw przechodzi się przez bramę, która strasznie trzeszczy. To trzeszczenie zapamiętuje się do końca życia – mówi Robert.

Ustalamy, że na początku był magazyn, w którym zostawił wszystkie niepotrzebne lub niedozwolone w więzieniu rzeczy: pieniądze, telefon, karty płatnicze. Na oddziale półotwartym, na którym jest Robert, można zostać we własnym ubraniu lub pobrać odzież skarbową. Państwowe ubranie niekiedy jest konieczne: bywa, że do odbycia kary policja zabiera człowieka prosto z ulicy, czasem z budowy, w stroju roboczym. Zatrzymanie może przebiec spokojnie, ale zdarzają się szarpaniny, uszkodzenia ciała i odzieży. Później obowiązkowa łaźnia.

Następny krok to wywiad środowiskowy, rozmowa z wychowawcą lub psychologiem. Imię, nazwisko, stan cywilny, przeszłość więzienna, dzieci. Wychowawca notuje objawy nieprawidłowości: tiki nerwowe, wszystkie znaki szczególne, dopytuje o obrażenia, niepełnosprawność, leczenie psychiatryczne, uzależnienia, pobyty

w placówkach terapeutycznych, epizody autoagresji. Czy pił, ile pił, jak pił. Ustalane są potrzeby związane z wyjściem na wolność: czy będzie miał gdzie mieszkać, czy nie. Grypsuje czy nie, pali czy nie. Czy współdziała, czy przyznaje się do zarzucanego czynu, czy jest pogodzony z karą.

Robert upiera się, że początek odbywania kary więzienia to nic ciekawego. Że towarzyszących temu uczuć jest wiele, ale nie da się ich opisać. – Dumny z tego nie jestem – powtarza. Uciekał w żarty i wzrokiem w podłogę, aż okazało się, że pamięta swoje więzienne początki jak mało który osadzony. Robertowi łatwo jest pamiętać, bo żyje za kratami niespełna rok i niewiele mu brakuje do końca czternastomiesięcznej odsiadki. Spotykam się z nim w dniu wyjścia na przepustkę. Robert ma jakieś czterdzieści lat. Jego żona i dzieci są za granicą, ale w pobliskim mieście ma rodziców. To do nich dziś pójdzie, to oni w niedzielę podwiozą go pod tę skrzypiącą bramę. Jest już gotowy do wymarszu, ubrany w dżinsową koszulę i spodnie, na nadgarstku ma pokaźnych rozmiarów zegarek. W świecie bez telefonów komórkowych zegarki są niezbędne. Ten Roberta wygląda futurystycznie, trochę zabawkowo.

Dobrze na pamięć Roberta działa też fakt, że do bram więzienia w Opolu Lubelskim zapukał sam.

– Miałem się stawić dwunastego listopada, przyszedłem, zgłosiłem się, ale okazało się, że jest dzień świąteczny. Zapytali, czy jestem poszukiwany, powiedziałem, że nie, jeszcze nie, więc oni, że może przyszedłbym następnego dnia. To przyszedłem. Taki dzień gratis na początek. Ten drugi dzień wejścia był gorszy niż pierwszy, bo ja już się nastawiłem. Jak mi powiedzieli, że dziś nie, to taki żal był w człowieku.

Dumny z tego nie jest, więc w szczegóły nie wchodzi, enigmatycznie mówi, że przed laty oszukał urząd. Miał nadzieję, że

sprawa rozejdzie się po kościach, ale tak się nie stało. Dostał nakaz stawienia się do odbycia kary więzienia. Uznał, że lepiej nie czekać, aż sprawą zajmie się Interpol, pożegnał się z rodziną i przyleciał do Polski.

Pierwsze dwa tygodnie to cela przejściowa: to czas, kiedy osadzeni poznają więzienne życie, a wychowawcy nowych podopiecznych. Decydują, do jakiej celi trafią, proponują programy resocjalizacyjne, terapię. Najczęściej na początku więźniowie nie są zainteresowani współpracą. Dopiero później dowiadują się, że większe zaangażowanie im się opłaca, może dać nagrody, a z czasem przeniesienie na oddział półotwarty. Recydywiści od razu wiedzą, co warto zadeklarować, na co się zgodzić, co obiecać.

– Pyta pani, co mi się śniło? A śpi się tu w ogóle? Taki sobie zapłaciłem turnus, to tak mam – odpowiada na pytanie o pierwszą noc w więzieniu. Na więziennym łóżku Robertowi było fizycznie i psychicznie źle, nie tylko pierwszej, ale też każdej następnej nocy. – Spaniem tego nie można nazwać, to raczej dużo czasu na myślenie. Czeka się na kolejny dzień, każdy następny to już dzień mniej, ale wciąż dużo. Jeśli ktoś chce wyciągnąć wnioski z życia, to tu ma na to warunki.

Kiedy rozmawiamy, Robert jest już w Opolu Lubelskim od kilku miesięcy, ale ze standardem tej placówki nadal się nie pogodził. Wyżywienie wciąż słabe, wyposażenie – niewystarczające. To najmłodsze więzienie w Polsce i według osadzonych, którzy mają porównanie z innymi jednostkami, tutejsze warunki to klasa światowa. Robert nie ma porównania, tylko same zastrzeżenia.

Weźmy pakiet startowy: szampon, mydło, maszynka do golenia, pasta do zębów i papier toaletowy.

– Szampon to porażka, w ogóle sobie nie radzi z moimi włosami. Mydło to porażka. Wszystko jest najtańsze, bo ten turnus tu jest naprawdę tani. Dwie rolki papieru na miesiąc. Za mało? Zaczyna się kombinowanie. Ten pożyczy, ale nie za darmo, tamten jeszcze inaczej usiłuje coś za to uzyskać… Dosłownie o wszystko trzeba pisać. Do wychowawcy, do dyrektora.

To wieczne pisanie, proszenie, czekanie na odpowiedź najbardziej Roberta zaskoczyło. Podaje przykład: czajnik jest w kantynie, czyli więziennym sklepie. Można sobie kupić, ale dostaje się go dopiero po pozytywnej opinii od dyrektora. Czajnik może być jeden na celę, więc skoro ma go Robert, to koledzy nie mogą, gdyby mieli, toby musieli zdać do magazynu. Nie można mieć dodatkowych rzeczy w celi. Przy tych wszystkich papierach, pismach i zgodach najważniejsza jest cierpliwość.

– Nie palę, kawy nie piłem, ale się tu nauczyłem, żeby mieć coś z używek. Dopóki nie dokuczam systemowi więziennemu, mogę mieć zegarek, czajnik, cywilne spodnie, dwie czy trzy sztuki. Dżinsów nie mogę mieć więcej niż dwie pary. Majtek można mieć więcej, ale też bez przesady.

Obowiązuje limit miejsca. Jest skrzynka pod łóżkiem, w której trzeba się zmieścić. Więzienna chemia ma być w szafkach. Z szafek spożywczych nic nie może wystawać.

Doposażaniem osadzeni mogą się zająć po zakwaterowaniu w kolejnej celi, nie na oddziale przejściowym. W kolejnej celi jest już łatwiej, ludzie nie są dobrani przypadkowo, można się dogadać. Tu się ciągle kogoś poznaje: ktoś wchodzi, ktoś wychodzi, zmienia oddział, więzienie. Ułożenie sobie relacji jest ważne, w końcu śpi się razem, je się razem. Nie ze wszystkim udało się Robertowi pogodzić.

– Najgorszy jest kąt, ta ubikacja za ścianą. Poniżające.

Ciasnota ma też inne skutki: skraca się zapłon. Łatwo o konflikt.

– Nie powiem, kilka tygodni minęło, jak zeszły stresy, jak ja zacząłem odpoczywać! Nagle nic nie ma do roboty, rachunków płacić nie musisz. Tak z tydzień czy dwa czułem, jak organizm odpoczywa.

Potem przyszła rutyna, praca, tęsknota za rodziną.

– Gdybym był drugi raz, pewnie mniej bym się stresował. Ale pierwszy raz, dla człowieka, któremu zależy na rodzinie, to coś strasznego. Idziesz bezradny… Opisać się tego nie da. Drugi raz pewnie byłby łatwiejszy, wiedziałbym co i jak.

Adam

Noga na nodze, zaplecione ręce – przez te kilka godzin rozmowy nie rozluźni kończyn nawet na chwilę. Toporne tatuaże, przestawiony nos. Adam wygląda, jakby chciał uciec, chociaż zgodził się przecież na tę rozmowę. Ani razu na mnie nie spojrzy.

Trzynaście lat temu policja zabrała go z domu. Widział, jak matka płacze. Długo towarzyszył mu strach, że mama coś sobie zrobi, że nie udźwignie życia z piętnem matki mordercy. Sam zastanawiał się, czy ze sobą nie skończyć.

– Znałem zakłady karne tylko z filmów, byłem przerażony. To, co pokazują w telewizji, a to, co się widzi w zakładzie, to zupełnie inne sprawy. Bałem się innych osadzonych, nie wiedziałem, co to za ludzie, jakie mają wyroki, czy mi krzywdy nie zrobią. No i funkcjonariuszy. Po filmach myślałem, że mają inne podejście.

Mówi, że już wie, że w więzieniu nie jest tak źle. Opowiada o pięciodniowej przepustce, którą dziś zaczyna, i wciąż wraca do strachu, do wszystkich jego wcieleń, które poznał za kratami.

– Wchodzi człowiek do celi i od razu się zaczyna rozglądać, który to ten, co może mu coś zrobić. Każdy tu szuka osoby, na którą trzeba uważać.

W celi przejściowej był jedenaście dni. Takie są raczej surowe, nigdy pojedyncze. Osadzeni mają tam materiały piśmiennicze, gdyby ktoś chciał zawiadomić rodzinę – to szczególnie ważne w przypadku tych, których zgarnięto z ulicy. Jeśli ktoś ma pieniądze, może kupić kartę telefoniczną i do bliskich zadzwonić. Na początku i później na oddziale zamkniętym osadzony ma prawo do pięciu minut rozmowy dziennie. Jeśli będzie na półotwartym, będzie mógł rozmawiać chwilę dłużej. Jeśli nie ma pieniędzy, dostaje dwa znaczki pocztowe na miesiąc.

Z tych pierwszych dni Adam pamięta głównie brud i bałagan. W miejscu, w którym wszyscy są na chwilę, nikt nie dba o porządek. Po wejściu do celi recydywiści wiedzą, jak się zachować i co powiedzieć. Świeżak czeka na pierwszy krok współosadzonych.

– Jak wszedłem do celi, to była cisza, wszyscy stali i patrzyli na mnie. Zapytali, kto ja jestem – to się przedstawiłem. Wypytywali, skąd jestem, za co, pytali o życie z wolności. Dopiero po jakimś czasie znaleźliśmy wspólne tematy, jakoś zostałem przyjęty – opowiada.

Długo nie mógł tu spać.

– Biłem się z myślami, bałem się ludzi, nie wiedziałem, czego się po nich spodziewać. Chodziłem do pani psycholog, która mówiła, że skoro nie mogę spać, to jestem uzależniony od alkoholu. Pojechałem na obserwację do zakładu psychiatrycznego. Jak zobaczyłem, jacy ludzie tam są, tym bardziej nie mogłem spać.

Rodzina Adama potwierdzała, że nie jest alkoholikiem, jednak pod pierwszą opinię psychologa łatwo było się podpiąć kolejnym. W końcu organizm nie wytrzymał, zaczął spać.

Na wolności Adam pracował i uczył się, codziennie wstawał wcześnie, więc porządek dnia w więzieniu nie jest dla niego nowością. Rano jest pobudka i przygotowanie do apelu: osadzeni

mają być ubrani, a łóżka zaścielone. Funkcjonariusz zagląda do celi i sprawdza, czy stan się zgadza.

– Niektórzy lubią pospać, na wolności nic nie robili lub chodzili na późniejsze godziny do pracy, trudno im się przyzwyczaić, że trzeba wstać. Bywa, że łamie się zasady, bo ktoś za długo siedział przed telewizorem, zaspał. Kiedyś od razu wypisywali wnioski karne, teraz bardziej ostrzeżenia się dostaje, już tak nie karzą jak dawniej. Zasady się chyba trochę zmieniły. Inaczej też odbierane są osoby, które dłużej siedzą, administracja je zna, wie, czego się spodziewać – opowiada.

Adam po przejściowej trafił do celi sześcioosobowej.

– Zdziwiony byłem, że w takim pomieszczeniu da się normalnie funkcjonować. Siedzenie w tyle osób jest uciążliwe, to jednemu nie pasuje, to drugiemu – opowiada. W obecnym więzieniu ma pojedynczą celę, otwartą. Zostało mu półtora roku, chodzi na przepustki.

Najlepszymi współosadzonymi według Adama są osoby, które mają już za sobą kilka lat. Wiedzą, jak żyć, żeby nikomu nie przeszkadzać. Już nie mają złudzeń, że wszystko im wolno. Nie, nie wolno.

To, co wolno, a czego nie, jest dokładnie opisane w regulaminie wewnętrznym. Sposobem na sprawdzenie, czy stan posiadania więźniów zgadza się z jego zapisami, są kipisze.

– Denerwuje mnie to najgorzej. Wychodzimy z celi i kontrolują wszystko. Jak znajdą coś nielegalnego, to komisja penitencjarna, nagana, czasem nawet cela izolacyjna – opowiada Adam. Zabronione są rzeczy z wolności i samoróbki – własnej roboty grzałki czy maszynki do tatuażu.

Regulamin wewnętrzny nic na ten temat nie mówi, ale jest coś jeszcze, czego lepiej w więzieniu nie mieć na widoku: emocje. Adam sugeruje unikanie bliższych relacji ze współosadzonymi. Odkrywanie

się przed innymi miewa wysoką cenę. – Tu każdy patrzy, jak kogoś wykorzystać – tłumaczy. Gdy rozmawiamy o przyjaźni za kratami, słowo „przyjaciel” wypowiada nienaturalnie, jakby nie pasowało mu do zdania i do kontekstu. Szkoda gadać, przyjaźń nie jest tu wartością.

Adam, z zawodu introligator, w więzieniu jest bibliotekarzem. Wcześniej sprzątał plac przed budynkiem. Pracę dostał po pięciu latach odsiadki.

W budynku, w którym pracuje, od kilku miesięcy stoją eksperymentalne ule, którymi będą zajmować się więźniowie. Na razie dużo tam do zrobienia nie mają, wdrażają się powoli i przyglądają pracy naukowców z Uniwersytetu Przyrodniczego. Adam na początku trochę się pszczół bał, ale teraz nawet je lubi – mówi, że z nimi mniej czuje zamknięcie. W domu miał koty, tuż przed wyrokiem nawet psa, pszczoły traktuje jak namiastkę pupila.

Najbardziej brakuje mu rodziny.

– Przez te trzynaście lat straciłem matkę, brata, młodszą siostrę. Poumierali. Rozmowy z panią psycholog pomogły. Jeden brat mi został, wspaniałe wsparcie mam w jego osobie.

Wspomina, jak sąd pozwolił mu spotkać się z matką, zanim umarła. Pojechał do szpitala pod konwojem, skuty kajdankami ręce-nogi. Mieli godzinę. Później krewni przekazali mu ostatnie życzenie matki.

– Przed śmiercią miała dla mnie słowa: nie rób nic głupiego. Cały czas to sobie analizuję, jak mi przychodzą różne takie myśli. Bo nie powiem, przychodzą.

Marcin

Osadzeni z artykułu 148 – gdy rozmowa schodzi na tych więźniów, numerem z kodeksu karnego zasłaniają się nawet funkcjonariusze i rzecznicy prasowi jednostek penitencjarnych. Zabójców jest najtrudniej zapytać o początek życia w więzieniu, bo uznają to za pytanie o zbrodnię. Spinają się, wycofują, zamykają. Ustalam z Marcinem, że nie musi opowiadać o przestępstwie. Próbujemy.

– Były takie programy, na Wirtualnej Polsce czy na Polsacie, które miały przybliżyć, jak tu wygląda życie. I trochę przybliżyły, chociaż ja mam wrażenie, że wybierali do tego osoby, którymi dało się sterować, żeby pokazały, jak tu jest strasznie. Śmiejemy się, jak słyszymy w telewizji, że afera taka czy inna, komuś grozi dwa i pół roku i tylko byle nie do więzienia, może prezydent ułaskawi? Tu jest strasznie na początku, ale jak człowiek już się przyzwyczaił, nauczył się żyć w tej machinie, wszedł w te trybiki, to funkcjonuje, wie, jak to działa. – Przystojny trzydziestoparolatek mówi szybko, z raperską manierą. Staż za kratami – dwanaście lat.

Zrobił to, co zrobił i zgłosił się na policję. On też się nie pożegnał z bliskimi. Trafił na dołek, stamtąd do aresztu. Najpierw był otępiały przez narkotyki, a gdy zaczęły schodzić, przytłoczyła go świadomość popełnionego czynu. Mówi, że świat się wtedy zatrzymał, ale świat widział to inaczej: przesłuchania, wizja lokalna.

– Człowiek cały czas jest tylko przerzucany z miejsca w miejsce. Zdjęcie, nazwisko, imię, znaki szczególne. Leci się jak na taśmie.

Mówi, że miał wtedy zaledwie dwadzieścia lat. Przez dwa i pół roku jego rodzina co tydzień pod bramą aresztu czekała na widzenie, na które on się nie stawiał. Bo jak miał rozmawiać z bliskimi po podwójnym morderstwie?

Dostał dwadzieścia pięć lat, prawie połowa wyroku za nim. Jest ostrzyżony niemal na zero i pokryty tatuażami, ale nie są to koślawe więzienne dziary, tylko małe dzieła sztuki, jeszcze z wolności. Nawet tył głowy spowija mu skomplikowany wzór, który widzę przez cały

czas, ale nigdy w całości – siedzi bokiem do mnie i najczęściej mówi, patrząc na ścianę.

– Prokurator ma taką robotę, że musi krzyczeć, ile fabryka dała. Moja postawa, to, że się zgłosiłem sam, środowisko, wszystko to sprawiło, że sąd mnie nie skreślił i nie dał mi dożywocia.

Opowiada, że zawsze mierzył wysoko. Planował studia, chociaż nie zrobił jeszcze matury. Zawalił szkołę, bo wybrał podróże po Europie. Chłopak z dobrego domu, żadnych powiązań przestępczych – zapewnia.

– Może w tym beztroskim życiu się zatraciłem po prostu? Od dzieciństwa miałem dobre, godne wartości wpajane. A to co się stało: trochę alkoholu, narkotyków, chwila i życie.

Mówi, że trzy lata zajęło, żeby go skazać, mimo że mieli jego przyznanie się do winy.

Trafił za kraty w lipcu, w jego pamięci bałaganowi w celi towarzyszy więc smród. Za drzwiami ludzie różnej maści. Jego wspomnienia toną jednak we mgle, bo w celi przejściowej był na zjeździe z narkotyków i przede wszystkim chciał spać.

– Początek to taka fabryka. Wywiad środowiskowy na przykład: idzie pani do urzędu i jest urzędnik, który takich petentów jak pani ma dwustu dziennie. Gdzieś tam dopala się papieros, kawa stygnie, szybko, bo zaraz mecz. Następny, następny, następny. – Marcin zaznacza, że tak było przed laty, może teraz jest inaczej.

Pierwsza cela po przejściowej była trzyosobowa: – Oprócz mnie jeden Czech i mecenas z Łodzi. Wychowawca wiedział, że daje mnie na spokojną celę i może się zaaklimatyzuję. Miałem dwadzieścia lat, dla mnie wszystko było nowe. W wojsku nie byłem, więc nie miałem do czynienia z trybem rozkazującym. W każdej innej sytuacji człowiek zawsze miał z tyłu głowy, że może powiedzieć „nie” – a tu nie można. To znaczy można, ale to się wiąże z konsekwencjami, chociażby w relacjach z funkcjonariuszami.

Marcin robi, co może, żeby mieć jak najlepszą opinię. Odnosi małe sukcesy. Na razie nie zapowiada się przedterminowe zwolnienie, ale ma szanse na lżejszy oddział. Żeby coś takiego w więzieniu osiągnąć, trzeba żyć dobrze z jego pracownikami. Tłumaczy, że o takich jak on mówi się „wygodni osadzeni". Tacy, co się nie kłócą, jak trzeba zmienić cele, unikają konfliktów, nie zajmują czasu. Ma to minusy – Marcin czuje się przez funkcjonariuszy zaniedbany, nikt z nim nie pracuje, bo nie widać takiej potrzeby. Ale i tak jest lepiej niż kiedyś – zapewnia. Mówi, że w czasie swojego wyroku zdążył zaobserwować zmianę metod pracy w więzieniu. Teraz funkcjonariusze, wychowawcy, psychologowie stawiają na dialog, prowadzą mediacje między osadzonymi, pomagają w pracy nad sobą.

– Doświadczyłem też tych drastycznych metod i na dobre mi to wyszło, jak ojcowski pas. Mnie ojciec lał, jak coś zrobiłem, drugi raz tych samych błędów nie popełniałem. To samo tutaj. Przemoc? Wszyscy z osadzonych wiedzą, które kryminały z tego słynęły – opowiada. – Pamięta pani tę scenę ze *Skazanych na Shawshank*, kiedy dowódca się przedstawia i pyta, czy ktoś ma jakąś sprawę? „Tak, mam" – i bach w brzuch! To samo miałem w poprzednim zakładzie, dowódca od razu dał do zrozumienia, że jesteśmy w najlepszym więzieniu w Polsce. Kiedy ktoś miał jakieś uwagi do swoich sprzętów, do wyposażenia celi, to szybko mu to było wyperswadowane. Nie na forum, nie było bicia, które wszyscy by widzieli. Zapraszali panów do poczekalni, z której wychodzili czerwoni. Nikt nie mówił wprost, że dostał wciry. Na niektórych inne metody nie działają, tylko takie argumenty rozumieją.

Teraz nie ma przemocy i prowokacji, jeśli już, to inteligentne próby zbadania, z kim funkcjonariusz ma tu do czynienia. Takie małe testy, których ktoś mało bystry nawet by nie zauważył. Mądrzejsi ludzie wchodzą w te rozgrywki, pokazują oddziałowym, szczególnie nowym, kim są i jak można z nimi rozmawiać.

– To, co się tu nie zmieniło, to to, że nam tu nie wierzą. Założenie jest takie, że kombinujemy. To chore. Na szczęście są tu funkcjonariusze, którzy mnie znają i wiedzą, że nie mam w zwyczaju kombinować – mówi Marcin.

To, co musi być problemem dla świeżaka, to współosadzeni. Marcin źle wspomina pierwsze chwile w tym otoczeniu, mówi, że wciąż się nie przyzwyczaił do obowiązujących tu reguł.

– Wszyscy tu na ciebie patrzą jak na potencjalną ofiarę. Idziesz na spacer, a wokół same drapieżniki. Kto to jest? Nowy. Za co siedzi? Nie daj Boże za coś, co nie jest tu dobrze widziane.

Kiedyś obowiązywał taki porządek: nowy na celi pokazuje dokumenty i wszyscy wiedzą, kim jest i za co siedzi. Teraz administracja tego unika, odradza, ostrzega. – Różnie w życiu bywa, nie wiemy, co się wydarzyło. Na podstawie artykułu trudno ocenić sytuację. Jak się trafia chłopak z takim czy innym artykułem, a administracja go jakoś schowa umiejętnie, to on sobie poradzi, on i jego rodzina. Wszyscy myślimy zawsze o rodzinach ofiar, ale osadzeni też mają rodziny i one też przeżywają dramat. Okoliczności bywają bardzo różne, a społeczeństwo skreśla bez litości.

Według Marcina najważniejsze jest, żeby na początku odbywania kary usiąść i spisać, co się zamierza osiągnąć. On tak zrobił: na kartce zapisał język, skończenie szkoły, dobrą formę fizyczną i relacje z rodziną. Po dwunastu latach odsiadki uważa, że wszystko udało mu się osiągnąć – poza szkołą, ale już za rok matura.

Marcin mógłby być więziennym mówcą motywacyjnym, mógłby pisać podręczniki o życiu za kratami, a przynajmniej takie sprawia wrażenie na półmetku wyroku. Odwołuje się do psychologii grupy, zaleca empatię i stawianie się w roli funkcjonariuszy, powtarza, jak ważne jest zrozumienie, że ci ludzie wykonują pracę, którą należy szanować. Z czasem przyznaje, że ułożenie sobie strategii przetrwania zajęło mu kilka lat, że nie przyszedł tu z gotowym

pomysłem na siebie i że tej listy celów nie spisał sobie zaraz po zamknięciu, na gorąco, w areszcie.

Nie umiem ocenić, na ile to, co mówi jest prawdą, a na ile jest to ciągłe zdawanie egzaminu na wzorowego więźnia.

– Tu trzeba przywdziać maskę – deklaruje sam, chociaż chodzi mu o coś innego, bo za chwilę dodaje: – Maskę twardziela, gościa nieugiętego, który twardy kark ma. Taką maskę każdy musi przywdziać na początku, bo faktycznie najsłabsze ogniwa są szybko wyłapywane i mają tu trudno. Nie byłem taką osobą na wolności, ale musiałem się nią stać. Idę na spacer, na łaźnię, obserwuję to nowe środowisko i widzę, jakie zachowania tu obowiązują, co jest oczekiwane. Najgorsze, że takiej maski nie można zdjąć.

Marcin mówi, że na wolności uchodził za osobę zgodną, spolegliwą, zdolną do kompromisu. Taką postawę trudno zachować za kratami – realia więzienne wielu odreagowuje złością lub buntem. Nie osiągają w ten sposób żadnego celu poza narobieniem sobie wrogów wśród funkcjonariuszy i współosadzonych. A Marcin ma jeden cel: jak najszybciej wyjść. Jego metoda: unikanie problemów, współpraca z wychowawcami, pokora, uprzejmość na co dzień, dystans w kontaktach ze współosadzonymi. Pomaga mu wsparcie od rodziny, psychiczne i finansowe.

– To jest bezcenne. Jakbym się miał liczyć z każdą kawą, z każdym papierosem… – Macha ręką z niechęcią. – Ja nie palę akurat, ale widzę tu ludzi z codziennym dramatem papierosowym: czy mi wystarczy ta paczka do końca miesiąca? Narasta frustracja. Pójdę, gdzieś pożyczę – ale to oznacza kombinatorstwo, zastanawianie się, z kim dobrze żyć, komu nie mogę podpaść. Ja mam ten komfort, że nie muszę. Mogę jednemu czy drugiemu powiedzieć w twarz: gościu, nie lubię cię, nie możesz mi niczego zaoferować, śmigaj swoją ścieżką i daj mi spokój. Jak ktoś przychodzi do mnie i o coś prosi, bo wie, że mam dobrą sytuację materialną, to pytam: mam ci pożyczyć

czy dać? Pożycz. OK, pożyczam. Jakby powiedział, że mam dać, tobym dał. Ale chce pożyczyć, po dwóch tygodniach znowu chce pożyczyć i ja znowu pożyczam. Nigdy nie pożyczam trochę – od razu paczkę kawy, paczkę makaronu. Taki ktoś szybko mnie zaczyna omijać, bo wie, że ma sporo do oddania.

To jego sposób na lawirowanie w warunkach więziennych. Nie chodzi, nie upomina się, nie kłóci. – A musi pani wiedzieć, że tu pierdoły urastają do takiej rangi, że trudno uwierzyć. Afery są z takich pierdół, idą tu bójki o takie pierdoły. Wychowawcy muszą potem kombinować, robić jakieś przerzutki. Chory świat.

Damian

W więzieniu początek nie zdarza się raz. Zmiana celi, oddziału, jednostki, nowe twarze, nowi funkcjonariusze, nowe porządki. Damian nie jest świeżakiem w Iławie, ale właśnie debiutuje na nowym oddziale. Jest postawnym, rudym brodaczem, pokrytym tatuażami, również więziennymi: kropka pod lewym okiem oznacza grypsującego, a kreska-kropka-kreska na nadgarstku to przerwa w życiorysie, czyli symbol odsiadki.

– Jaka będzie cela? – W jego głosie słychać napięcie, nerwowo ociera pot z czoła, przestępuje z nogi na nogę.

– Mieszana. – Wychowawca siedzi za biurkiem, zaczyna przeglądać dokumenty, które Damian ze sobą przyniósł.

– No to mamy problem, panie wychowawco, nie mogę mieszkać z grypsującymi.

– Nie ma wyboru, Damian. Nie ma wyboru. Ale mam tu twoją teczkę, możemy sobie pogadać. O, samochody. Same fajne samochody, Damian!

– No tak wyszło.

– No nie, Damian?! „Osadzony odmówił uczestnictwa w programie Bezpieczne Drogi”. Samochodziarz?

– A nawet tego nie pamiętam, to chyba na początku było.

– Negatywna ocena. Co to było w tym dwa tysiące siedemnastym? W zdarzeniu uczestniczyłeś.

– Bójka pod celą.

– W celi, Damian, w celi – przekłada wychowawca z grypsery na polski.

– Ale potem był spokój.

– Teraz też będzie spokój, co? Co się stało, że na kolegę poszedłeś?

– To on na mnie poszedł, broniłem się.

– Z akt to ty krystalicznie nie wyglądasz. Podoba mi się, że chodzisz do szkoły. Nie pracujesz?

– Nie, bo chodzę do szkoły.

– Ale to nie jest żaden problem połączyć, Damian, wielu tak robi. Dam ci czas do jutra na przemyślenie.

– To ja się zastanowię.

– Widzisz, Damian, jak chcesz, to potrafisz. Jeszcze twój wywiad zobaczę. Ile ci zostało do końca szkoły?

– Pół roku, ale będę drugi kurs działał, już rozmawiałem z dyrektorem.

– Damian, czy ty kredyt też wyłudziłeś?

– Nie, nigdy.

– Bo masz 286. – Wychowawca dopytuje o numer, pod którym w kodeksie karnym kryje się oszustwo.

– A to leasingi, większość samochodów w leasingach była.

– Wiesz, że ty byś nawet nie siedział, gdybyś się z kuratorem kontaktował?

– Wiem. Jakieś osiem miesięcy miałbym chyba.

– Damian, jakie ty masz wykształcenie z wolności?

– Zawodowe.

– Zawód jaki?

– Stolarz. Chociaż ze szkół to wszystkie zwiedzałem, liceum też.

– Człowiek orkiestra. Ale nie pokończyłeś?

– Areszt był na trzeciej klasie, jakoś tak wyszło.

– Damian, powiem ci tak: dam cię do celi mieszanej, ale to jest dobra cela, wydająca – zachęca wychowawca. Chodzi mu o prace przy wydawaniu posiłków: jasny znak, że choć grypsera, to współpracuje.

Brodacz wie, że nie wygra, ale próbuje.

– Naprawdę nic się nie da z tym zrobić?

– Mam dwie cele do wyboru, druga też wydająca, ale tam byś siedział jeden na dwóch grypsujących.

– Jeszcze gorzej.

– Wcale nie. Jednego na pewno znasz ze szkoły. Teraz z nimi był starszy człowiek, biegali przy nim. Nie był grypsujący. On idzie w transport, gdyby nie szedł, toby miejsca nie zwolnił.

– A ta druga?

– Pięć osób. Grypsujący, niegrypsujący, ze szkoły pewnie znasz. Nie stawaj okoniem. Nie wiesz, nie znasz, a się stawiasz. Po co te problemy? Z tobą, Damian, da się rozmawiać i tego się trzymajmy, rozmawiajmy. Spróbuj. Ja cię muszę trochę poobserwować.

– No wiadomo.

– Wywiad nie jest zły, ty już masz troszeczkę tej kary odbytej. Złe emocje poszły, wiek robi swoje, trzydziecha na karku. Mnie te wasze subkultury nie interesują. Wszyscy są równi, ja podziału nie akceptowałem i nie będę akceptował.

– Ja tak samo myślę.

– Mnie interesuje, czy z kimś się da rozmawiać, czy chce pracować, czy chce być na półotwartym. Mam nadzieję, że ty się zastanowisz i jutro przyjdziesz i powiesz: wychowawco, ja chcę do pracy.

– No może, jakby się dało do sprzątania korytarzy…

– No, u nas się akurat nie da sprzątania korytarzy, ale coś znajdziemy. Warunki masz, żeby coś ponosić, różne rzeczy możesz robić. No dobra, Damian, jakieś pytania?

– Nie.

– To cela 13.

Kolejny oddział, kolejna cela, kolejny wychowawca, funkcjonariusze, współosadzeni. Kolejny raz opowiedział przestępczy życiorys, kolejny raz wyklepał odpowiedzi na te same pytania. Nie szukał krzesła, nie przeszkadzało mu, że tylko on stoi, ani to, że jeszcze ktoś tego słuchał.

*

– Widzę pani zakłopotanie. Chodzimy po tym kryminale, waha się pani, czy tu można wejść, gdzie stanąć, kogo o co zapytać. Gdzie się pani nie ruszy: kraty, sama pani nie przejdzie, ktoś musi wpuścić. Tu telefon zabierają, do torebki zaglądają, ktoś przeszukuje.

Do listy więziennych niedogodności wymienianych przez psycholożkę z Zakładu Karnego w Iławie dodałabym jej przenikliwe spojrzenie. Mówi o sobie „psycholog”. W innej pracy może i byłaby psycholożką, w więzieniu takie kobiece słowa są źle widziane – tłumaczy. Jako psycholog oczekuje szacunku, na który nie mogłaby liczyć psycholożka (a ode mnie oczekuje zrozumienia, kiedy przy autoryzacji swoich wypowiedzi prosi o ukrycie imienia i nazwiska).

– Swoje emocje może pani pomnożyć razy dziesięć i to będzie mniej więcej to, co czują osadzeni, kiedy są tu po raz pierwszy. Oni często potem nie pamiętają, jak ta pierwsza cela wyglądała, nie wiedzą, czy dostali wszystko, co powinni, czy nie. Są pochłonięci świadomością, że są w odosobnieniu.

Za murami więzienia można się znaleźć na trzy sposoby.

Sposób pierwszy: tymczasowe aresztowanie do sprawy na wniosek prokuratora. Chodzi o to, żeby odizolować domniemanego sprawcę od otoczenia, współuczestników, ofiary. Dlatego trafia do aresztu. Jeśli potrzebuje pomocy psychologa, dostaje wsparcie.

Sposób drugi: osoba z wyrokiem stawia się sama lub jest przywożona przez policję do odbycia kary.

Sposób trzeci: osadzony z innego więzienia ma na przykład sprawę w sądzie w Iławie i w związku z postępowaniem musi się tu zatrzymać.

Gdy pytam więźniów o znane im zakłady karne, często okazuje się, że w ramach jednego wyroku poznali ich kilka, czasem zatrzymując się tylko na kilka dni. Samochody Służby Więziennej robią rocznie nawet kilkanaście milionów kilometrów.

Psycholożka z Zakładu Karnego w Iławie pracę w Służbie Więziennej zaczęła od aresztu. Mówi, że nigdy wcześniej nie widziała tylu płaczących mężczyzn. Opowiada: – Praca psychologa w areszcie jest najczęściej interwencyjna, słuchamy i wspieramy: „Rozumiem, że pan się znalazł w trudnej sytuacji". Jeśli płacze, mówię: „Widzę, że pan płacze, smuci się pan". Wtedy czasem pojawia się złość: „A co mam robić?!". To są wszystko naturalne emocje, ci ludzie mają prawo tak się czuć, mogą się czuć na przykład pokrzywdzeni i potraktowani niesprawiedliwie. W areszcie buchają emocje, jest ich bardzo dużo. Złość jest naturalna, ale pod złością zawsze coś jest: obawa, lęk, wyrzuty sumienia.

[2] Motta kolejnych rozdziałów to przepisy zawarte w kodeksie karnym wykonawczym.

Sprawy wiary

Art. 73. § 1. W zakładzie karnym utrzymuje się dyscyplinę i porządek w celu zapewnienia bezpieczeństwa i realizacji zadań kary pozbawienia wolności, w tym ochrony społeczeństwa przed przestępczością.

– A wie pani, że ten podział na gitów i frajerów, który my tu mamy, jest charakterystyczny dla naszej części Polski? Na południu, w Krakowie czy Tarnowie, nie pyta się nowych osadzonych o stosunek do grypserki, ale o preferencje klubowe, Wisła czy Cracovia – opowiada kierownik penitencjarny z jednego z zakładów karnych na Mazowszu. – Te preferencje bierze się pod uwagę przy umieszczaniu w celi, chociaż według przepisów powinniśmy kierować się wiekiem osadzonych i na przykład tym, czy palą.

W czasie pierwszych 48 godzin odbywania kary osadzony musi dwukrotnie odpowiedzieć na pytania dotyczące nieformalnych struktur subkultury więziennej: czy uczestniczy, czy chciałby, jak postrzega. Pierwszy raz jest pytany o to w czasie wywiadu środowiskowego, drugi raz podczas rozmowy wstępnej z wychowawcą lub psychologiem. Odpowiedzi zostają zanotowane, z czasem będą aktualizowane, jeśli osadzony zmieni zdanie lub pracownicy uzyskają dodatkowe informacje: czy ten grypsujący jest szeregowy, czy znaczący, czy pełni funkcję przywódczą.

– Jeśli przychodzi małolat, taki czasem nawet siedemnastolatek sądzony jak dorosły, i mówi, że jest grypsujący, to ja go pytam – bo

bywam złośliwy – czy on się grypsowania nauczył na boisku, czy na balkonie. A on wtedy mówi przeważnie, że ma kolegów i od nich wszystko wie. Dla nas to jest trudna sprawa, bo z założenia mamy na celu odwodzenie od uczestnictwa, ale też musimy brać to pod uwagę przy obsadzaniu cel. Generalnie niewskazane jest umieszczenie kogoś takiego tylko z grypsującymi.

Kierownik penitencjarny nakreśla mi zasady więziennej logistyki: jeśli mamy celę pięcioosobową i dwóch gitów na trzech frajerów, to jest w porządku, każdy ma swoje towarzystwo. Dodatkowo przy celi powyżej czterech osób bywają już dwa stoliki i nie ma problemu z tym, że grypsujący nie zje przy jednym stole z frajerem, więc frajerzy będą jedli na łóżkach. Dwóch grypsujących na czterech frajerów czy dwóch na dwóch nawet – to przeważnie działa. Problem jest z celami trzyosobowymi. W takim Opolu Lubelskim są tylko trójki i jedynki. Z trójkami jest problem: jeśli cela mieszana, to zawsze dwóch do jednego. Ani samotny frajer, ani samotny grypsujący w takim układzie to nie jest dobre rozwiązanie.

Pytanie o przynależność to wciąż jedno z pierwszych, które pada, kiedy osadzony wchodzi do celi, szczególnie mieszanej. Wtedy trzeba się zadeklarować.

– Zdarza się też, że to środowisko kogoś odrzuca, bo ten ktoś na przykład się pruje, czyli donosi. Trzymamy wtedy solówki, czyli osoby grypsujące, które nie mogą mieszkać z innymi grypsującymi.

Kiedyś, żeby móc należeć, trzeba było mieć odpowiednie więzienne doświadczenie, dobrą opinię w środowisku, odpowiedni paragraf. Damscy bokserzy, drobne złodziejaszki, przestępcy seksualni nie mieli szans. Teraz, jak mówi funkcjonariusz, decydują pieniądze, więc nawet artykuł 197 z dwójką czy trójką, jakieś gwałty zbiorowe, mogą grypsować, jeśli ich na to stać.

– Kiedyś chodziło o lojalność i zasady, teraz pieniądz o wszystkim decyduje, powiem pani. Zdarza się, że ktoś przychodzi i mówi: wie

pan, ja mam pięćdziesiąt lat, grypsuję od dwudziestu, ale teraz to już nie jest grypsowanie. Pan mi tam zmieni w papierach.

Edward

O grypsujących pytam każdego, z kim rozmawiam. Zawsze słyszę, że to prehistoria. Że są jeszcze takie dinozaury, że mają te swoje zasady, ale nikomu nie przeszkadzają. Jak chcą jeść osobno – niech jedzą. Ręki nie podadzą? Nie muszą.

Sprawdzam więzienne statystyki:

W 2017 roku odnotowano 43 „drastyczne przejawy podkultury więziennej", zaangażowanych uczestników: 122, w tym dwa przypadki gwałtu. Pozostałe 41 – znęcanie się.

W 2018 roku: 42 „drastyczne przejawy podkultury więziennej". Zaangażowanych uczestników: 117, w tym 1 gwałt i 41 przypadków znęcania się.

To kompletny wyciąg ze statystyk, nie koncentruję się na gwałtach, nie szukam znęcania, nie zależy mi na eksploatacji stereotypowych patologii więziennych. Takie są rubryki oficjalnego raportu Służby Więziennej, innych opcji tabelka nie przewiduje. Liczby prowokują wyobraźnię: jak organizowane i przeprowadzone są te „drastyczne przejawy podkultury więziennej", skoro wyraźnie są to wydarzenia grupowe, a nie starcia jeden na jednego? Czy „zaangażowany uczestnik" to tylko napastnik, czy ofiara też? Czy faktycznie w te zdarzenia są zaangażowani jedynie grypsujący, czy frajerom nie zdarzają się takie sytuacje? Znajomy funkcjonariusz obrazowo, choć anonimowo, proponuje scenariusz: ktoś komuś podpadł. Wcale nie jest powiedziane, że frajer gitowi, w dzisiejszych rozwydrzonych czasach stara wiara nie jest dominującą siłą. Konieczny jest jednak przedstawiciel podkultury, żeby zdarzenie trafiło do tej tabelki, no i niezbędny jest konflikt. Skonfliktowane strony spotykają się na

spacerze, żeby sprawę rozwiązać szybko i skutecznie, napastnik ma ze sobą pięciu kolegów. I tak się pojawia w tabelce jedno zdarzenie zakwalifikowane pod znęcanie, bo przecież nie gwałt, i siedmiu uczestników, bo napastnik, ofiara i pięciu kolegów, prosta matematyka.

Na szczęście poznaję Edwarda.

Jeśli w więzieniu można być eleganckim, zadbanym mężczyzną – Edward taki jest. Czarne polo, szpakowata fryzura muśnięta żelem, wąsik. Nonszalancki, szarmancki, uroczy. O grypsowaniu mówi „wiara" lub „przynależność".

– To było bardzo dawno temu, pani jeszcze malutka była. – Kłamstewko oczywiste, acz miłe, Edward od lat nie rozmawiał z kobietą, która nie byłaby pracownikiem więzienia, dba więc o takie detale. – Czasy były inne, inne było odbywanie wyroku, inni skazani, inni funkcjonariusze. – W jego głosie słyszę smutek.

Edward jest w więzieniu od dwudziestu lat. Wcześniej jako zawodowy kierowca miewał tylko kontakty z drogówką, co najwyżej.

– Stało się, jak się stało. Człowiek prowadzi normalne życie rodzinne i raptownie spada na samo dno. Morderstwo, najgorszy artykuł, 148. Wiadomo, jak to jest traktowane po drugiej stronie. Sam to potępiam, ciężko się z tym żyje. Kara to kara, ale tu… – Stuka się zamaszyście w klatkę piersiową. – To jest cały czas. I nie jest lekkie. Gorsze niż bicie.

Opowiada, że kiedy trafił za kraty, bicie było na porządku dziennym. Wiedział, jak się zachować, zapewnia. Nie miał kryminalnych doświadczeń, ale miał kolegów i sąsiadów z epizodami. Chociaż o szczegółach pobytu w więzieniu nie wypadało wówczas rozmawiać, wiadomo było, kto się za kratami zachowywał niestosownie i należy mu się za to odtrącenie również na wolności.

– Tak jak każda instytucja ma jakieś swoje tajemnice, tak i my mieliśmy swoje. Teraz jest inaczej, podobno cała bajera jest w Internecie – wzdycha tak ciężko, że nie mam serca, żeby mu powiedzieć, że to prawda. Grypserski słownik przeczytać może każdy.

Zakaz opowiadania o doświadczeniach więziennych to pierwszy z wielu, o których powie mi Edward. Przy okazji po raz kolejny zapyta, czy mogę napisać o nim tak, żeby nikt go nie rozpoznał. Czasy już niby nie te, ale o wizerunek trzeba dbać do końca.

Najważniejsza zasada: nie można okazać strachu.

– Jeśli ktoś chce tu normalnie funkcjonować, nie wylądować na dnie, to trzeba pokazać, że jest się silnym. Przynajmniej wizualnie. Każdy jeden, który nie jest psychopatą albo wyrachowanym przestępcą, będzie czuł strach. Nie ma takiego, żeby na początku się nie bał.

Nie tylko strach przed więzieniem trzeba było zamaskować. Emocje związane z popełnionym przestępstwem też nie były dobrze postrzegane.

– Ja za coś przykrego bardzo siedzę, za osobę, która dużo dla mnie znaczyła. Naprawdę ciężko z tym funkcjonować, ale trzeba przynajmniej stwarzać pozory. Wypadłbym na mięczaka, a taki nie miał prawa funkcjonować w tym środowisku. I to nie ja jeden tak funkcjonowałem. Większość się tak zachowywała. Byli tacy, co nie umieli się powstrzymać, nieraz szloch było słychać. Wyśmiewany był taki, odsuwany na bok.

Edward od razu powiedział, że chce grypsować.

Było lato, koniec lat dziewięćdziesiątych. Grali przy blacie w karty. Czterech ich siedziało. „Petka”, czyli teoretycznie pierwszy raz karani. Teoretycznie, bo praktycznie byli już karani, ale ich wyroki uległy zatarciu. To byli tacy, co siedzieli w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Większość bez koszulek, na odsłoniętych

ramionach prężyły się tatuaże, które Edward wciąż pamięta, jakby je widział dziś. – Przedstawiłem im, do czego chcę przynależeć. Powiedzieli mi, żebym siadał na taborecie przy oknie. I tak usiadłem bez słowa, a oni grali w karty jeszcze dwie godziny. Skończyli, jeden podszedł do mnie i musiałem się okazać… – Zamyśla się, szuka w pamięci zrozumiałych dla mnie słów. – To zaświadczenie, na jakiej podstawie zatrzymany, jaki zarzut. Pokazałem. No i pytania: skąd jestem, z jakiej dzielnicy. Tak się złożyło, że w tym czasie siedziało wielu chłopaków, których znałem, ale to mało znaczyło.

Po burcie, czyli przez okno, poszło kilka rozmów na temat Edwarda. Chwilę zajęło czekanie na opinię z wolności. Po dwóch tygodniach przyszła odpowiedź: może przynależeć. – Nie zrozumie pani tego – zastrzega, ale próbuje mi wytłumaczyć, jak życiem na wolności można zapracować na dobrą opinię w więzieniu. Nie chodzi o udział w bijatykach czy przestępcze sukcesy. Ważne są zasady, jakimi się człowiek kieruje, honor, lojalność. Praworządny obywatel też się może wykazać. Edward żył, jak trzeba, chociaż bez przemocy, a nawet z pogardą dla kradzieży.

– Tak się to odbyło. Potem nauki, szkolenie, co mogę, na co nie mogę sobie pozwolić… Ale identyfikacji na pewno żadnej nie będzie? – przerywa. – No dobrze. W tamtych latach to miało sens i zasadność. Nie miałem prawa prowokować funkcjonariusza lub niegrzecznie się do niego zwrócić, ale jeśli on się do mnie niegrzecznie zwracał – a faktycznie w tamtych czasach inaczej nie było – moim obowiązkiem było… naubliżać mu, pocisnąć z nim. Wtedy to miało sens, teraz to uległo troszkę wypaczeniu, bo inni są funkcjonariusze, inni osadzeni, inne relacje.

Wylicza kryminały, w których siedział: Lublin, Tarnów, Chełm, Krasnystaw.

– W Tarnowie było najgorzej, nie było tygodnia, żeby nas dwa lub trzy razy atanda nie pobiła – wspomina spotkania z uzbrojonym

w hełmy i tarcze zespołem funkcjonariuszy gotowych do bezpośredniego starcia. Rozmawiamy w jednym z najmłodszych zakładów karnych w Polsce. W jego przestronnych, słonecznych wnętrzach trudno sobie wyobrazić sceny ze wspomnień Edwarda.

– Wszystko wcześniej to były stare kryminały. Tu przyjechałem w dwa tysiące trzynastym roku, zobaczyłem oddział i pomyślałem, że jestem w jakimś hotelu robotniczym. Pod celę wszedłem: łóżeczka, drabinka ładna, ładne ściany, podłoga ładna. Na starych pod celą połowy parkietu nie było, robactwo wychodziło.

Cela Edwarda została zaprojektowana zgodnie z wymogami europejskich przepisów. Precyzują one, jakie warunki bytowe należą się osadzonym, od metrażu przypadającego na osobę po humanitarne traktowanie i poszanowanie. Respektowania przepisów pilnuje monitoring i kontrole. Na ręce więziennictwu patrzy Rzecznik Praw Obywatelskich, komisje takie i inne, fundacje. Osadzonych nie napełnia już przerażeniem łomot biegnącej korytarzem atandy, nie doskwiera chłód, głód ani robactwo.

– Teraz jest na odwrót: pewna grupa skazanych źle się odzywa, prowokują ich, a potem się dziwią, że są jakieś dziwne sytuacje. Zwracam uwagę, załóżmy, takiemu młodemu narybkowi, który źle się odzywa do funkcjonariusza: „Nie prowokuj go, bo przez to, że ty się źle odzywasz, przyjdzie po ciebie atanda i ja ci będę musiał pomóc. Pomogę ci, ale ty poniesiesz tego konsekwencje w naszym gronie". Nie rozumieją tego.

Tłumaczy: funkcjonariusze to są wrogowie, ale należy ich szanować, szczególnie jeśli oni zachowują się z szacunkiem. Kilka razy zdarzyły się bunty osadzonych, w których Edward odgrywał rolę negocjatora.

– Starałem się, żeby nikt za dużo nie stracił i każdy trochę ugrał.

To był może 2016 rok, jak cele mieszali. Był tym, który tłumaczył młodym, że nie tędy droga, że tylko się nabawią wyroków i wyjadą stąd w czerwonych wdziankach – dla niebezpiecznych – a i tak nic nie uzyskają. Takie teraz bunty, takie teraz myślenie.

Obecnie Edward nie widzi powodów do walki. Wspomina czasy, gdy więźniowie dostawali spleśniałe i zarobaczone jedzenie. Kiedy nie było środków czystości, a mycie dołka, czyli głębokiego talerza, polegało na jego dokładnym wycieraniu. Gdy inni osadzeni narzekają na tylko dwie rolki papieru toaletowego w miesiącu, Edward śmieje się, że tę drugą przecież dopiero niedawno dołożyli.

Grypsujący mieli obowiązek dbania o higienę własną i otoczenia, nawet gdy z cudem graniczyło zdobycie koniecznych do tego narzędzi. Inni szli w ich ślady, więc było czyściej niż teraz.

– W tamtych latach szacunek coś znaczył – wzdycha Edward i opowiada, że do więzienia zjechał, mając już trzydzieści sześć lat, nie był więc małolatem. Szacunek za kratami rozdzielany jest jednak według stażu odsiadki, a nie wieku. W efekcie w środowisko wprowadzał Edwarda ponad dekadę młodszy grypsujący, któremu i tak należał się respekt.

– Nieraz mnie to w środku gryzło, denerwowało, że ja muszę różnych jego uwag słuchać. Nieraz myślałem: co ty, gówniarzu, wiesz o życiu? Ale nic z tym zrobić nie mogłem. Bywało, że coś źle powiedziałem, bo niektóre słowa są zabronione, to ponosiłem tego konsekwencje, na przykład łatę drewnianą poczułem na sobie, żebym zapamiętał.

Nie wiem, które zabronione słowa zdarzyły się Edwardowi, bo łata go nauczyła tak skutecznie ich unikać, że po dwudziestu latach trudno nam się o tym rozmawia. Doczytuję później, że słowo „chłopiec” jest zakazane, że jak już padnie, odpowiedzieć trzeba frazą „Chłopcy to u szewca kołki strugają”. „Czerwony” można

powiedzieć pogardliwie o kimś lub o czymś, ale jako nazwa koloru słowo pojawić się nie może. „Daj” jest zabronione bez względu na kontekst, bo w więzieniu „dawanie” kojarzy się tylko z jednym. Na cenzurowanym jest wszystko, co może łączyć się z homoseksualizmem. W Internecie to doczytuję, jak na złość Edwardowi.

Kiedyś grypsowało 70 procent osadzonych, teraz na 600 więźniów w tym zakładzie do subkultury należy może 70 osób – ostrożnie szacuje Edward, zastrzegając, że nie ze wszystkimi pawilonami ma kontakt. Zdarza się, że pojawiają się nowi, ale to głównie osoby penitencjarnie doświadczone, przenoszone z innego zakładu. Kandydatów do grupy jest niewielu, zresztą Edward nie ma najlepszego zdania o więziennej młodzieży.

– Teraz ci młodzi są zupełnie inni, bo zupełnie inaczej jest na wolności. Inny jest styl ubierania się, rozmowa jest inna, nie ma szacunku jeden do drugiego. Tak to się w ostatnich latach zmieniło, coś strasznego. Są rozbrykani. Jakby tak dostali od czasu do czasu, toby się może czasem zastanowili, dobrze by im to zrobiło. A tak, to wiedzą, że nic im nie grozi. Zamkną ich najwyżej do izolatki, gdzie będą leżeć całymi dniami. Ciężko jest teraz cokolwiek zrobić, żeby w tym więzieniu była harmonia. Jedno wielkie rozwydrzenie.

Tradycyjnie grypsujący mają obowiązek trzymać fason – odpowiedni styl życia, nienaganny wygląd. Dlatego Edward nosi się na czarno, schludnie, elegancko. No i nie bawi się w narkotyki, bo grypsującym nie wolno. Chociaż w dzisiejszych zepsutych czasach i grypsującym się zdarza.

Zapotrzebowanie osadzonych na używki Edward tłumaczy prosto: nie wszyscy sobie radzą z zamknięciem.

– Kiedyś samobójstw było więcej. Może ludzie nie dawali sobie wcześniej rady, nie wytrzymywali tego i dlatego się wieszali? Teraz jest tego mniej, bo inne ucieczki wybierają, ćpają.

Szukamy powodów tej ucieczki. Sugeruję wyrzuty sumienia, jednak Edward uświadamia mi naiwność takiej koncepcji. Zaznacza, że spotyka niewielu ludzi ze swojego artykułu, dla których przestępstwo mogłoby być największym ciężarem, więc nie ma pełnego obrazu.

– Jakieś kradzieże, wyłudzenia, handel narkotykami – przychodzą tu na luzie, weseli, rozbrykani. Kolegów tu szybko poznają, moment i się dogadują, bo w temacie ćpania zawsze dojdą do porozumienia. A wystarczyłoby, żeby się kordon ustawił po jednej i drugiej z pałami, a oni mieliby przez to przebiec, to by zmiękli, zmiękliby całkowicie. Nie daliby rady, prosiliby – nie bijcie!

Edwardowi pomaga praca. Pracuje od dwunastu lat. Najpierw w więziennej bibliotece, od dwóch lat w kuchni. Pierwsza praca była nieodpłatna, obecnie dostaje niewielką wypłatę. Nie tylko odciążył bliskich, ale może nawet pomóc: co miesiąc przesyła 100 zł, raz jednej, raz drugiej córce.

Powody odbywania kary uniemożliwiają Edwardowi pracę poza więzieniem. Po dziewiętnastu latach odsiadki zmieniła mu się grupa – z zamkniętej na półotwartą. Oznacza to, że może chodzić we własnych ubraniach, ale przez chwilę było to też jednoznaczne z pozwoleniem na krótkie, kontrolowane wyjścia za bramę.

– Na wyjściach zewnętrznych byłem z wychowawcą jakieś czternaście razy, ale były te incydenty w Warszawie: dwóch, co miało niepowrót, czyli oddalili się z miejsca pracy – wtedy została wstrzymana praca wolnościowa dla artykułu 148. Potem ten, co tak postąpił w Warszawie… ten, co swoją partnerkę i dziecko… Od tej pory zostały wstrzymane wyjścia tym, którzy nie mają jeszcze grup otwartych przepustkowych. Trzeba przebywać w obrębie murów. To też jest niedobre. Widzi pani, ja tutaj po dwudziestu latach czuję się jak ryba w wodzie, nie oszukujmy się. A po tamtej stronie? Nic nie wiem. Do głupiego urzędu pójdę, nie będę umiał nic załatwić. Powinno tak być, żeby się dało wdrożyć w życie wolnościowe. Odbyć

wyrok i wyjść, jak ktoś nie ma zaplecza, nie ma rodziny? Ciężko mu przecież będzie.

Zostało mu 70 miesięcy – mówi precyzyjnie. Ma dokąd iść. Jest rodzina, dwie córki. Studia pokończyły, jedna dwóch wnuków mu urodziła. Nie odwiedzają ojca w więzieniu. Młodsza była raz, ale bardzo źle to zniosła. Te druty, mury, funkcjonariusze, to robi wrażenie. Druga próbowała, dowód zdała, ale się wycofała.

– Udane córki, na ludzi wyszły. Chociaż ja im przecież życie zmarnowałem – mówi.

Długi czas zajmował się origami. Z dumą wskazuje półki na ścianach pokoju spotkań, w którym rozmawiamy. Nad naszymi głowami precyzyjnie poskładane z papieru smoki, niektóre jak żywcem wyjęte z obchodów chińskiego Nowego Roku, inne podobne bardziej do dinozaurów. Mienią się wzorami i kolorami, bo zrobił je z opakowań po kawie i ciastkach.

Czytał też książki, ale już mu się znudziło. Teraz film czasem obejrzy. Zajęcia są tu różne, ale ostatnio na niczym nie był. Do psychologa czasem zajrzy, ale raczej na pogawędkę niż pracę nad problemami – nie jest nauczony, żeby rozmawiać. Znużony się czuje, zmęczony tym siedzeniem.

*

Najpiękniejsze są stare kryminały. Te przestrzenie, detale. Gwiaździsty układ korytarzy we Wrocławiu, ostre łuki w Raciborzu, Wołów, Kalisz piękny, chociaż nieczynny. Ulubiony? – Może Toruń? – zastanawia się Piotr Kochański, który od 1977 roku fotografuje polskie więzienia dla „Forum Służby Więziennej”. W dawnej redakcji tej gazety zdjęcie spektakularnej, ażurowej, okrągłej klatki schodowej z Torunia zajmowało całą ścianę, niemal dwa na dwa metry.

– Mam całą serię z Torunia. Jak zobaczyłem to pierwszy raz, to nie mogłem stamtąd wyjść. Ciągle planuję pojechać tam ze statywem, przygotowany, żeby z ręki nie robić.

Kiedy pytam go, jak opisałby więzienie komuś, kto go nigdy nie widział, mówi: – Pokażę ci Wronki.

Oglądamy zabytkowy zegar na korytarzu, równie stary, ale pieczołowicie odnowiony dzwon, wronę ułożoną z kostki brukowej na dziedzińcu. Okalają ją przedwojenne zabudowania, typowe niemieckie budownictwo.

Jego zdjęcia więziennej architektury wiszą potem w dobrych miejscach, zdobią gabinety, czasem ukazują się jako albumy na kolejne jubileusze jednostek. Był już i kalendarz z najpiękniejszymi więzieniami – jak mówi fotograf – na świetnym papierze wydrukowany, zdjęcia można było wyciąć i spokojnie powiesić samodzielnie, jak ktoś jest wielbicielem więzień. Był i przewodnik po polskich więzieniach: jego zdjęcia, krótkie opisy, co za jednostka, czy zakład karny, czy areszt, ile osób może pomieścić. Na pniu się rozeszły, dlaczego dodruku nie było – nie wie.

Nowe zakłady karne też bywają atrakcyjne: w Suwałkach futurystyczny szklany korytarz, którym strażnik chodzi i spogląda na spacerniaki. Zwyżki w kształcie spodków w Opolu Lubelskim, też do kontroli terenu. Na ekranie jak w kalejdoskopie zmieniają się kolejne korytarze, przejścia, schody, elewacje usiane zakratowanymi oknami lub przesłonięte blindami, umajone drutem kolczastym mury. Między nimi zdjęcia cel i tu bez względu na wiek placówki wszystko wygląda podobnie. Wszędzie, gdzie się da, poupychane rzeczy osadzonych, na każdej dostępnej powierzchni suszy się pranie i pasiaste ręczniki z nadrukiem: ZK. Przepisy mówią o trzech metrach kwadratowych na osadzonego, nie w każdej jednostce takie przestrzenie są realne. – Bieda straszna w tych celach – mówię. Staram się namówić Piotra na podzielenie się przemyśleniami na temat ludzi tak żyjących.

Siermięga – zgadza się ze mną w ocenie warunków w więzieniu, ale na temat osadzonych mówi niewiele. – Ja tych ludzi nie znam. Zdaję sobie sprawę z tego, że pewnie dziewięćdziesiąt dziewięć procent z nich ma coś na sumieniu. Co? Nie wiem, nie pytam. Współczucie budzą rodziny, te dzieci. Widzenia robią wrażenie. A jak patrzę na te mordy? Nie myślę: dobrze ci tak. Ale nie mam też szczególnego współczucia.

Współczuje czasem funkcjonariuszom, gdy patrzy na ich warunki pracy. Na oddziałowe na warszawskim Grochowie stłoczone w pomieszczeniu przypominającym kiosk. – Tam nie ma gdzie czajnika postawić, a one muszą papiery wypełniać – mówi.

Żal mu dzieci, które rodzą się i spędzają pierwsze chwile życia za kratami. Krzywaniec, Grudziądz. Pokazuje zdjęcie: cztery kobiety z wózkami, za nimi funkcjonariusz. Plac zabaw, piękna zieleń, za drzewami widać siatkę. Dziewczynka w różowym kapeluszu, chłopiec nad miską kaszki, kobieta w dresie huśta dziecko, inna poprawia czapeczkę jakiemuś maluchowi.

– To nie musi być nawet jej dziecko, one się tymi maluchami wspólnie zajmują – tłumaczy. Dodaje, że najtrudniej jest, kiedy fotografuje matki w Krzywańcu, a po kilku latach w Grudziądzu widzi znajome twarze.

Szkoda mu osadzonych, które czekają na jego zdjęcia. Zwykle wzbraniają się, kiedy widzą fotografa na oddziale, ale szybko się oswajają, proszą o grupowe, o zdjęcia z tą i z tamtą koleżanką. Tylko jak im je przekazać? Dostępu do poczty elektronicznej nie mają, możliwości dostarczenia wydruków nie ma fotograf, może wysłać pliki do wychowawcy, ale co on wtedy z nimi zrobi? Do rodzin nie chcą wysyłać zdjęć, wolałyby grypsy przekazywać, ale Piotr za bardzo lubi swoją pracę na takie układy.

Kolejne zdjęcia: duże męskie ręce skręcają kwiaty z bibuły. Dziergają ośmiorniczki z włóczki. Zbijają karmniki dla ptaków.

Trzymają pędzle, książki, instrumenty muzyczne.

– Cuda robią te ręce, w których wcześniej był nóż czy siekiera. To są czasami niesamowicie zdolni ludzie. Kobiety robią aniołki przed świętami, robiłem z tego materiał. Pazury zrobione, w pazurach ten aniołek, a podwinięty rękaw ujawnia napis na przedramieniu „Zajebać wszystkich". Takiego zdjęcia nikt mi nie puści, ale jak mam przejść obok, jak coś takiego widzę? Dla siebie robię.

Od 1977 roku Piotr towarzyszy z aparatem dziennikarkom i dziennikarzom „Forum…" – niegdyś „…Penitencjarnego", obecnie „… Służby Więziennej". Od tamtej pory zdążyło się zmienić więziennictwo, osadzeni, gazeta, wymagania wobec zdjęć, warunki pracy.

Przyznaje, że na początku nie zdawał sobie sprawy z tego, co będzie fotografował. Pierwsze zlecenie: nieistniejące już więzienie na Rakowieckiej.

– Jak wszedłem tam pierwszy raz, to zapomniałem, gdzie jest przesłona, a gdzie migawka. Chrzęst kluczy, labirynt korytarzy, tylko kolejne i kolejne kraty zamykają mi się za plecami. No i twarze tych zbójów. Cały czas próbowałem sobie przypomnieć, jak ja tu szedłem, jak stąd wyjść. I wiedziałem, że nawet gdybym pamiętał drogę, to wszystkie kraty się za mną zamknęły, nie ma wyjścia.

Potem było już łatwiej. Inne wtedy panowały porządki w więzieniu. Jak opowiada, kiedy otwierała się cela i wchodził z oddziałowym, wszyscy osadzeni stali na baczność. Nikt nikogo nie pytał o pozwolenie, potrzebne było zdjęcie – to je robił. Mówi, że miał obiekcje przy zdjęciach twarzy. Myślał wtedy, że to ich sprawa, co zrobili, a on nie powinien tego nagłaśniać, szczególnie w gazecie, której nie mieli prawa czytać. Ale miał też konkretne zadania i mało czasu, a o prawie więźniów do ochrony wizerunku nikt nie myślał.

Bo twarzy być na zdjęciu już teraz nie może: prawo chroni wizerunek osadzonych i ich bliskich. W ramach tej ochrony i tatuaże są na cenzurowanym, w końcu po nich też można człowieka zidentyfikować. Osadzeni znają swoje prawa, bywa, że protestują na widok aparatu. Bywa niesympatycznie. Krzyczą, przeklinają.

Nie tylko osadzonych denerwuje obecność fotografa. Funkcjonariusze też boją się czasem upublicznienia wizerunku. Z jednej strony rozumie ich strach przed tym, co ich może spotkać na ulicy, kiedy rozejdzie się, gdzie pracują, obawy przed zemstą. Z drugiej strony wie, że zdjęcia to jego praca i ma prawo je robić. Bo jeśli i funkcjonariuszy będzie unikał, co mu zostanie? Kraty?

Mówi, że z biegiem czasu obrósł w odporność na więzienne dźwięki, pokrzykiwania, na cele, korytarze, bramy, druty. Że ma już te kryminały obfotografowane z każdej strony. Za każdym razem jednak rusza na obchód i szuka smaczków, nawet jeśli tylko dla siebie. I myśli, że ma szczęście, bo to nie jest w dzisiejszych czasach częste, żeby lubić swoją pracę.

Musi być tanio

Art. 109. § 1. Skazany otrzymuje trzy razy dziennie posiłki, o odpowiedniej wartości odżywczej, w tym co najmniej jeden posiłek gorący, z uwzględnieniem zatrudnienia i wieku skazanego, a w miarę możliwości także wymogów religijnych i kulturowych oraz napój do zaspokajania pragnienia. Skazany, którego stan zdrowia tego wymaga, otrzymuje wyżywienie według wskazań lekarza.

§ 2. Minister Sprawiedliwości określa, w drodze rozporządzenia, wartość dziennej normy wyżywienia oraz rodzaje diet wydawanych osobom osadzonym w zakładach karnych i aresztach śledczych, uwzględniając w szczególności wiek, rodzaj wykonywanej pracy, stan zdrowia oraz wpływ warunków izolacji więziennej na zasady żywienia.

W 2018 roku w polskich więzieniach osadzonych było średnio 74 077 kobiet i mężczyzn. Średnio, bo skrupulatne statystyki więzienne informują o liczbie osadzonych w każdym miesiącu, a potem sumują dane z roku i dzielą na dwanaście. Gdyby się tej średniej liczbie przyjrzeć dokładnie, widać by było i 74 896 ze stycznia, i 72 204 z grudnia, i kilka miesięcy w międzyczasie, kiedy liczba osadzonych przekraczała 75 000.

W tym czasie Inowrocław ze zbliżoną liczbą ludności był czterdziestym dziewiątym polskim miastem pod względem zaludnienia. Utrzymanie penitencjarnego odpowiednika Inowrocławia kosztowało w 2018 roku łącznie 3 127 507 zł, co oznacza 115,67 zł

dziennie, 3518,31 zł miesięcznie i 42 219,68 zł rocznie na jednego mieszkańca. Zrzucił się na to budżet państwa i fundusze unijne.

Część tych pieniędzy pochłonęły wynagrodzenia dla ponad 26,5 tysiąca pracowników jednostek penitencjarnych, mundurowych i cywilnych[3]. Większość pieniędzy idzie jednak na utrzymanie osadzonych: jedzenie, opieka zdrowotna, koszty budynków.

Warunek jest jeden: ma być tanio.

1.

Wyżywienie jednego więźnia, dorosłego mężczyzny, kosztuje w Polsce minimum 4 zł dziennie. W Iławie wychodzi 4,01 zł dziennie na osobę. Mniej byłoby niehumanitarnie.

– Kawy, herbaty, owoców czy słodyczy nie dostaną tu ponad normę – mówi psycholożka z Iławy.

– Owoc jest jeden dziennie i jest to jabłko – dodaje kwatermistrz.

– Najzdrowszy polski owoc!

– Najtańszy. Czasem, jak ktoś ma nadmiar i musiałby wyrzucić, to nam przekazuje, żeby się nie zmarnowało.

– Chleb biały, najprostszy. Masła nie ma, jest margaryna, bo tańsza. Jogurt się czasem zdarza.

– Ale to tylko dla diet.

Stoimy w oknie dyżurki, za oknem budynek kuchni i magazyn. Miała być piekarnia, miał odpaść jeden kontrahent, ale pomysł upadł. Z pieczywem już jakiś czas kombinują, swego czasu okazało się, że taniej wychodzą bułki niż chleb. Na drugim końcu Polski słyszałam od osadzonych opowieści o tych kajzerkach, ale nie jako oszczędności, ale niespotykanym luksusie.

– Tu mamy jadłospis. – Kwatermistrz sięga po drobno zadrukowaną kartkę. – To jest dieta podstawowa: dziś zupa koperkowa, ryba smażona, purée, kapusta kiszona, napój owocowy.

PW to podstawowa wegetariańska: zupa pieczarkowa z makaronem, gulasz sojowy w sosie brokułowym, napój owocowy. PR – podstawowa religijna: ryba smażona, kapusta kiszona. Bezrybna – mieliśmy kiedyś skazanego, który od śladowych ilości ryby dostawał wysypki. PJ – podstawowa świadków Jehowy, WJ – podstawowa wegetariańska bez jaj, lekkostrawna, cukrzycowa. Dwanaście, trzynaście diet – wylicza. – Myślę, że Marriott ma mniej. I to nie są wszystkie. To jest rozpiska na nasz oddział, bo takich tu mamy osadzonych. Na innych oddziałach jest inaczej, łącznie nawet dwadzieścia pięć diet wychodzi. Dla niektórych mamy jeden z tych wariantów, ale zmiksowany, bo na przykład mają problem z przełykiem.

O diecie zdrowotnej decyduje lekarz. Jeśli ktoś chce zmienić sposób żywienia ze względów religijnych czy światopoglądowych, musi uzyskać zgodę dyrektora więzienia. Gdy zdarzył się wśród iławskich osadzonych wyznawca judaizmu, dostawał jedzenie zamawiane z firm zaakceptowanych przez gminę żydowską. Rozmowy w tej sprawie prowadził Centralny Zarząd Służby Więziennej.

W dziale kwatermistrzowskim pracują dwie panie odpowiedzialne za takie ułożenie menu, żeby osadzeni byli zadowoleni i żeby koszty się zgadzały. Koszty, bo więzienie podlega ciągłym kontrolom, więc wszystko w tabelkach musi grać. Zadowolenie, bo dzięki temu chociaż ten jeden temat nie pojawia się w skargach osadzonych. Rozmawiając z kwatermistrzem z Iławy, zgodnie z prawdą mówię, że o tutejszym wyżywieniu słyszałam od osadzonych tylko dobre opinie.

– Wiem, że chwalą jedzenie, przecież nadzorujemy ich listy. Piszą, że jest i schabowy, i kurczak, i ryż, i leczo – mówi kwatermistrz.

2.

– W szpitalach mają gorzej i trzeba brać to pod uwagę – mówi Edward, grypsujący, który nie może przeboleć upublicznienia bajery w Internecie. Każdego dnia marzy o golonce. Od dwóch lat pracuje w kuchni, więc nie ma w tej sprawie złudzeń. Pamięta moment, kiedy z menu wyleciała zupa mleczna, bo była za droga. Nie narzeka ani na jadłospis, ani na pracę. Przecież jesteśmy tu. Puka w stolik dla podkreślenia tego „tu". Golonkę zje na wolności.

O jedzeniu mowa, więc warto zaznaczyć: Edward nie siedzi w Iławie.

– Czwarta dziesięć, może piętnaście – idę. Kuchnia raptem po drugiej stronie, dwie minuty drogi. Rozkładamy śniadanie, pieczywo, ile porcji na oddział trzeba. Gotujemy herbatę. Odbierają to garowi i rozwożą po celach, a nam kierownik wydaje z magazynu towar potrzebny do zrobienia obiadu.

Kierownik to funkcjonariusz magazynier żywnościowy. Od obieraka, przez garowego, który nakłada porcje na plastikowe więzienne talerze (względy bezpieczeństwa!), po wydawkę – poza magazynierem i szefem kuchni pracują tu tylko więźniowie.

– Robimy surówkę, ziemniaki czy kaszę, mięso lub sos – w zależności, co ma być na obiad. Gotujemy, a w międzyczasie, jak ktoś nie ma co robić, to przygotowuje kolacje, które damy z obiadem – mówi Edward i zaczyna skomplikowaną wyliczankę: część osadzonych kończy pracę o 14.00 i dostaje obiad o standardowej porze. O 15.20 wychodzą na indyki i na piekarnię, dla nich są przygotowane od razu kolacje do zabrania, ich decyzja, czy wezmą, w pracy mogą dostać lepszy posiłek. Ci, co dopiero po 15.00 wracają z pracy wolnościowej, obiad dostaną razem z kolacją. Kolacja wydawana jest wcześnie, skoro Edward kończy pracę o 16.00 lub 17.00, a przecież po przygotowaniu posiłków trzeba jeszcze posprzątać kuchnię. Następny dzień ma wolny, potem znowu do pracy.

3.

Zakład Karny we Wronkach szuka lekarza ogólnego do ambulatorium, to samo Wrocław, Tarnów, Tarnowskie Góry, Wołów i Bydgoszcz. Pielęgniarki/pielęgniarze potrzebni są w Areszcie Śledczym w Krakowie, Gdańsku, we Wrocławiu i w Strzelcach Opolskich. Jeśli chodzi o lekarzy specjalistów, w Bydgoszczy poszukiwany jest neurolog, a w Krakowie konsultant dermatolog i psychiatra. Umowy o pracę na cały lub – najczęściej – częściowy etat, umowy cywilnoprawne, różnie.

Ogłoszenia nie dziwią, gdy zestawi się je ze statystykami.

W 2018 roku wykonano dla 74 tysięcy osadzonych 150 tysięcy badań analitycznych w jednostkach penitencjarnych i niemal 160 tysięcy poza nimi.

77 tysięcy badań radiologicznych w zakładzie i 35 tysięcy poza nim.

Prawie 27 tysięcy zabiegów fizjoterapii za kratami, 400 na wolności.

Wykonano 86 testów na HIV z wynikiem pozytywnym, w tym 27 to nowo odkryte przypadki.

Wykryto 485 przypadków gruźlicy, 1300 przypadków wszawicy, 1100 świerzbu, 126 innych chorób zakaźnych.

Lekarze przyjmujący na terenie więzienia udzielili 1 319 329 porad, w tym ponad 877 tysięcy w ambulatorium.

Odbyto 23 tysiące konsultacji z dermatologiem w więzieniu, a 1000 osób trzeba było zabrać na wizytę poza terenem zakładu.

Wydano 485 orzeczeń lekarskich z adnotacją „Nie może być leczony w zakładzie karnym”.

O takie orzeczenie wcale nie jest łatwo. Kilka lat temu była fala samouszkodzeń oka – nie było wtedy więzienia, które mogło przyjmować takich pacjentów, więc konieczne były przerwy w karze

i leczenie na wolności. Teraz oczy można leczyć za kratami, a jeśli konieczny jest szpital, to konwój, kajdanki ręce-nogi, pilnowanie chorego w placówce, powrót do więzienia.

O służbie zdrowia rozmawiam z kilkunastoma osadzonymi. Wszyscy powtarzają, że mają świadomość uprzywilejowania, nawet jeśli świadczona jest tylko podstawowa opieka w ramach NFZ. I tak na wolności o specjalistę byłoby trudniej.

Jednocześnie najwięcej skarg składanych przez więźniów dotyczy działania służby zdrowia. Bo nie dostał pomocy, która była potrzebna. Bo za długo czekał na wizytę. Bo lekarz potraktował lekceważąco. Bo do szpitala został odwieziony w sposób niehumanitarny, czyli w kajdankach.

Nie słyszę tych skarg, ale jedną czytam: poważny wiek, poważna choroba, a do lekarza w kajdankach ręce-nogi.

– Widzieliśmy już takich dziadków, którzy próbowali jeszcze uciekać ze szpitala oknem z pierwszego piętra. Jeden niedawno dostał przerwę w karze, leżał w szpitalu z glejakiem i poszedł. Myślę, że tu akurat nieświadomie, miał już zaburzenia – opowiada psycholożka z Iławy, a wychowawca dopowiada: – W czasie konwoju obowiązują konkretne przepisy. Muszą być kajdanki zespolone, chyba że dyrektor zadecyduje inaczej.

W Iławie osadzeni mogą korzystać z pomocy pielęgniarskiej codziennie od 7.00 do 15.00, dyżur jest też w soboty i niedziele. W ambulatoriach pracuje łącznie dziesięć osób, w tym dwóch mężczyzn, z czego jeden na terapeutycznym. W areszcie od ponad trzydziestu lat pracuje pani Basia, która, jak mi mówi, często pamięta dziadków i ojców obecnych osadzonych. Lekarze pracują na kontraktach lub cząstkowych etatach, nikt na całym. Przychodzi na przykład laryngolog, neurolog czy dermatolog, przyjmuje zapisanych

pacjentów, góra dwadzieścia osób. Jeśli trzeba kardiologa, diabetologa, pulmonologa, rezonans, rentgen – konwój.

– Idzie wiosna, lato, zaczną grać w piłkę, będą zdarzenia. To są takie trochę dzieci. Nikt na wolności nie poszedłby do lekarza z tym, z czym oni przychodzą. Dla nich to jakaś rozrywka, mogą wyjść z celi. Krosta wyskoczy, kaszelek, katarek, zadarty paznokieć, coś boli. Z takimi sprawami przychodzą.

Jest piękną, młodą kobietą, onieśmieloną pytaniami. Pracuje w ambulatorium, które w sezonie przeziębień przyjmuje prawie osiemset wizyt osadzonych. I nie chodzi tu o opiekę pielęgniarską nad całym więzieniem, tylko trzy oddziały, dwa piętra. Wiosną liczba przyjęć spada do sześciuset. Najbardziej chorzy przychodzą rzadko.

– Niektórzy mają stałe leki, bo cukrzyca, astma, nadciśnienie albo łuszczyca na przykład – to wszystko dostają – wylicza pielęgniarka. – Suplementację: witaminy, leki przeciwbólowe, gripeksy mogą sobie kupić w kantynie. Jeśli potrzebują czegoś spoza oferty, jeśli jest taka konieczność, mogą napisać prośbę o sprowadzenie leków.

Można przyjmować suplementy, które nie są obowiązkowe, można się zaszczepić. Wiele można, jeśli osadzony ma pieniądze. Jeśli go stać, pisze prośbę, odpowiedni specyfik zostaje zamówiony i zaaplikowany. Niektórzy, żeby mieć środki, starają się zza krat o rentę lub orzeczenie o niepełnosprawności. Tak jak na wolności wypełniają dokumenty, stawiają się na komisji. Problem bywa z tym, że muszą tego sami pilnować. – Czasem któremuś orzeczenie wygasa, on z tym nic nie robi, a potem ma pretensje do nas: zamknęliście mnie, wszystko o mnie wiecie i nie mogliście dopilnować mojego orzeczenia? – opowiada pielęgniarka.

Można też zrezygnować z leczenia. W iławskiej placówce są osoby zarażone wirusem HIV, które odmawiają przyjmowania leków. Mają do tego prawo, tak jak pozostali mają prawo do farmakologii i współpracy z lekarzem.

4.

Pytam o samookaleczania.

– Bardzo mało. W zeszłym roku na palcach jednej ręki można policzyć – mówi pielęgniarka. – Jedna próba samobójcza też była, ale to na oddziale terapeutycznym. Trudno ocenić, na ile to było teatralne i demonstracyjne, na ile faktycznie były to problemy natury emocjonalnej. Cięcia po przedramionach, ewentualnie jakieś połyki – to są najczęstsze rzeczy teraz. Widziałam kiedyś pana, który sobie notorycznie robił długopisem dziurę w brzuchu, czasem wbitki z igieł, ale to raczej recydywa. Obecne pokolenie więźniów woli pisać skargi i prośby, W ten sposób rozładowują swoje negatywne emocje – i uprzykrzają nam życie

Niezadowoleni osadzeni piszą do sędziego, do dyrektora, do sądu penitencjarnego. Bezpośrednio do ministerstwa i ministra sprawiedliwości też się zdarza, najczęściej jednak skargi idą do inspektoratu. Każda jednostka podlega pod jakiś inspektorat, osadzeni zazwyczaj wiedzą, pod jaki, i tam piszą. Skargi wracają do zakładu, pracownicy piszą wyjaśnienia dla przełożonych.

Zaglądam w statystyki. Samoagresje w 2018 roku, dane dla całego kraju:

223 przypadki łącznie
208 prób samobójczych
12 samouszkodzeń
3 przypadki odmowy przyjmowania pokarmu
Przyczyny samoagresji:
13 – działalność sądu, prokuratora
40 – działalność administracji
170 – inne

Statystyka przewiduje jeszcze dwa warianty uzasadnienia: uczestnictwo w subkulturze więziennej i presja subkultury więziennej. W 2018 roku nie było takich przypadków.

Statystyk zbiorczych dotyczących skarg nie znalazłam, na zasadzie ciekawostki wyciągają takie dane niekiedy lokalni dziennikarze. Dzięki temu dowiaduję się, że na biurko dyrektora Zakładu Karnego w Zamościu trafia rocznie około 300 takich podań, w jednostce w Hrubieszowie ponad 200, w Wadowicach – więcej niż 100[4].

5.

– Czasem tylko skargi działają. Tam rządzi strach i głupie przepisy – mówi Wanda, która co prawda już wyszła z więzienia, ale wciąż się denerwuje, gdy mówi o warunkach bytowych za kratami. Niemal nie przestaje się ruszać. Jest szczupła i energiczna, cały czas gestykuluje, ale też świetnie pracuje głosem.

Znakomicie oddaje dramaturgię zdarzeń, kiedy opowiada o swoim najtrudniejszym momencie za kratami. W celi pojawiła się nowa dziewczyna – z wszami w odzieży, z wszawicą głowową, ze świerzbem.

– Dlaczego nie została gdzieś przetrzymana w odosobnieniu? Dlaczego nikt nie dopilnował, żeby do celi weszła czysta? Jak to możliwe, że pielęgniarka zapowiedziała, że jej nie dotknie? Przecież to jej praca! – Wandę i przy mniej podnoszących ciśnienie tematach roznosi energia, teraz nie może usiedzieć na krześle, punktując kolejne niedociągnięcia więzienników. Każdy element tej historii stoi w sprzeczności z obowiązującymi ich procedurami. – Ta dziewczyna była zupełnie niepełnosprawna. Ja jestem całkiem sprawna, ale jakby mi dali tubkę pasty i kazali się wszędzie wysmarować, to nie dałabym rady. A osoba niepełnosprawna? Pielęgniarka powinna to

zrobić, bo jest od tego, żeby ludzi pielęgnować, w zakładzie karnym też.

Wanda mówi, że to ona i koleżanki z celi zaopiekowały się nową. Zapewnia, że funkcjonariusze wiedzieli, że wprowadzili do celi osobę chorą, ponieważ wszystkie zostały objęte kwarantanną, co wyszło na jaw, kiedy do jednej z dziewczyn przyszedł prawnik i nie mógł się z nią spotkać.

– Po prostu nas z tym zostawili.

Wanda wspomina, że jedna z kobiet z celi była farmaceutką, przed wyrokiem pracowała w sanepidzie. Wiedziała, co robić przy świerzbie – przede wszystkim codziennie zmieniać i prasować pościel. Nowa w celi pojawiła się ze swoją pościelą z oddziału przejściowego. Gdy przyszedł dzień zmiany pościeli, zdjęły poszewki ze wszystkich łóżek, spakowały do jednego worka i wystawiły, zgłaszając oddziałowej, że ich pościel musi być wyprana osobno.

– Oddziałowa nam ten worek wrzuciła z powrotem i powiedziała, że mamy izolację, więc nikt nam pościeli nie wypierze. Zrobiłam awanturę, przyszedł wychowawca, oddziałowa, w końcu kierownik ochrony. Zabrali nam tę pościel, ale to było już po napisaniu pisma do sanepidu.

Wanda mówi, że to był ten jeden jedyny raz, kiedy wyszła z siebie: kopała w drzwi, krzyczała.

– Powiedziałam im potem: sami tego chcieliście, zachowywałam się jak osoba w więzieniu. Nie powiedziałam, że najpierw siedziałam na podłodze i pół godziny płakałam. Przecież to po prostu było nieludzkie.

Wanda otwiera szeroko oczy, kiedy pytam, czy za to wszystko spotkała ją jakaś kara. – Żadnej kary nie było, przecież miałam rację. No i pismo do sanepidu było skutecznym straszakiem.

Lista zarzutów Wandy wobec systemu penitencjarnego ma znacznie więcej pozycji niż jedna historia ze świerzbem. W więzieniu

niczego nie wolno – stwierdza. Bo telefon tylko raz dziennie i tylko na pięć minut, z których zostają trzy, jak się już wpisze numer i doczeka połączenia. Bo w tej chwili, jak mówi, nawet paczki higienicznej wysłać do osadzonej nie można. A co ona tam ma? Paczkę podpasek miesięcznie daje więzienie, jak zabraknie, a raczej zabraknie, można sobie kupić w kantynie.

– Ceny w kantynach więziennych są bardzo wysokie, to jest tak razy trzy mniej więcej. Jak higiena, to taka lepsza drogeria, nie Hebe i nie Rossmann. Osiem tamponów w zależności od firmy dziewięć–dwanaście złotych.

Bywały ludzkie oddziałowe – wspomina. Takie, które pytały, czy którejś nie brakuje podpasek i jak trzeba było, to dawały więcej. Albo pomagały w przekazywaniu między celami, albo chociaż nie przeszkadzały, jak się nadmiar zostawiało dla innych w łaźni.

– Ja sobie nie wyobrażałam, jaki to jest problem, jak się nie może zaspokoić swoich podstawowych potrzeb higienicznych. Kobieta może wziąć prysznic dwa razy w tygodniu. Nawet jeśli ma okres. OK, jest miska. Jak trzeba, to sobie człowiek z miską daje radę. Ale czy puszczanie codziennie do łaźni to byłby taki poważny problem?

Wylicza: jedna łazienka, cztery prysznice, sto dwadzieścia kobiet na oddziale. Nawet na półotwartym czy otwartym, kiedy mogą wychodzić z cel, nie mogą po prostu iść się umyć. Limit to limit. – To nie może chodzić o zużycie wody przecież – zastanawia się Wanda. – To jest upodlenie kobiety, człowieka – mówi. Móc wziąć prysznic, kiedy się chce, zrobić pranie w pralce, mieć zapas bielizny – odsiadka sprawiła, że Wanda już wie, jakie to są przywileje.

– To nie może być kwestia pieniędzy – mówi. Nie pamięta, ile miesięcznie państwo wydaje na osadzonego, wie tylko, że dużo. Zastanawia się, jak te pieniądze są wydawane, skoro na najbardziej podstawowe rzeczy brakuje. A może to nie braki finansowe, ale brak chęci? Pamięta ludzkich funkcjonariuszy, wspomina dobrze

wychowawczynię, oddziałową – osoby, którym się mimo wszystko chciało.

– Ja wiem, że to jest ciężka praca. Za żadne pieniądze nie chciałabym tam pracować.

6.

Mogło być tak, że któregoś dnia na spacerze szlag ich trafił. Bo siedzą w celi całymi dniami, a jak przychodzi godzina pozornej wolności, szansa na rozprostowanie nóg, to z każdej strony mają ogrodzenie, a w płucach same brudy. Pokrztusili się raz i drugi, wymienili na ten temat kilka gniewnych zdań, że niby kryminał, a jak w komorze gazowej. Ktoś gdzieś usłyszał, może w telewizji widział, może w gazecie czytał, że celebryci pozywają państwo za smog. Jak Szczygły i Stuhry mogą, to czemu nie oni, jak tu zdrowie tracą, a bardziej niż ktokolwiek nie mają gdzie uciekać?

Mogło być też tak, że ktoś gdzieś usłyszał, może w telewizji widział, może w gazecie czytał, że celebryci pozywają państwo za smog. I tak jak brudu w powietrzu szczególnie nie czuli, tak zapach pieniędzy od razu rozpoznali i zrobili z tym, co trzeba.

Mogło być jeszcze jakoś inaczej, ale fakty są takie, że dwaj więźniowie z Zakładu Karnego nr 1 w Strzelcach Opolskich stwierdzili, że smog na spacerniaku zagraża ich zdrowiu, i skierowali sprawę do sądu. Chcieli pozwać Skarb Państwa, stanęło jednak na gminie. Za zamach na zdrowie każdy z nich chce dla siebie trzy tysiące złotych, oczekują też wpłaty dwóch tysięcy na konto jednego z Domów Dziecka.

W połowie grudnia 2019 roku informację tę podaje „Nowa Trybuna Opolska”, za nią media ogólnopolskie.

Komunikat porasta w komentarze zainteresowanych sprawą instytucji. Najpierw reaguje pozwana gmina: zapewnia, że co jak co,

ale troska o jakość powietrza jest priorytetem i są w tej sprawie podejmowane kroki. Na dowód liczba wymienionych kopciuchów i zapowiedź dalszych działań.

Więzienie też wypowiada się w tej sprawie, bo czemu nie, rzadko się zdarza taka luksusowa dla jednostki sytuacja, żeby nie musiała się tłumaczyć, gdy osadzonym coś nie pasuje. Komunikat Zakładu jest bardziej neutralny, potwierdza, że składanie skarg na warunki bytowe to częsta praktyka. Pocieszająco dodaje, że najczęściej żale osadzonych są bezzasadne.

Opolski Alarm Smogowy daje do zrozumienia, że wierzy w czystość intencji wprost proporcjonalną do zanieczyszczenia powietrza w regionie. „Jesteśmy pod wrażeniem świadomości wpływu złej jakości powietrza na zdrowie wśród osadzonych w zakładzie w Strzelcach Opolskich" – piszą na Facebooku. Było nie było, zwykły człowiek nie pozywał jeszcze nikogo za powietrze w tym kraju, więc w Strzelcach Opolskich może się rozpocząć rewolucja, w którą włączy się reszta Polski, nie tylko ta penitencjarna.

„Roszczeniowa patologia", „trzeba było nie kraść", „a na wolności na pewno sami palili śmieciami" – oceniają sprawę internauci. „Lepiej by im było na Syberii", sugerują jedni, „w kopalni" – podpowiadają inni. Między bardzo i bardziej gniewnymi opiniami przewija się: „mają rację" i „wszyscy powinniśmy złożyć takie pozwy".

Mogło być więc różnie, ale może w sumie dobrze się stało?

7.

W roku szkolnym 2017/2018 maturę w więzieniu zdało 89 osób. Kursy zawodowe skończyło ponad 13 tysięcy skazanych. Znacznie więcej przeszło szybkie szkolenie z więziennego życia.

– Umiesz zrobić buzałę?

– No! Ja na celi pizzę robię!

Krystian ma dwadzieścia kilka lat i tylko pozornie jest wyluzowany. Psycholożka w tej rozmowie jest niezbędna, wie, że chłopak nie będzie rozmawiał z obcą osobą. Zadaje mu proste pytania dotyczące więziennego życia, zaśmiewają się wspólnie z odpowiedzi, droczą.

– Co to jest zacier?

– Wino!

– Na szczęście to śmierdzi i od razu czuć, że któryś kombinuje.

– Gdzie czuć?!

Psycholożka upiera się, że zacieru ukryć nie można, Krystian – że wielokrotnie mu się udało. Kiedy ostatnio? Dawno, okazuje się, bo Krystian alkoholu generalnie nie bardzo. Ale przepis pamięta: chleb, jabłka, miód. Odstawienie na tydzień–dwa i gotowe.

– Ale są tacy, co robią. Nagle takich ilości jabłek potrzebują! Zdrowy tryb życia chcą prowadzić, więcej witamin chcą, tak to tłumaczą. I to trzeba obserwować, bo jak już zrobią ten zacier, to rzygają, zatrują się, nie daj Boże – tłumaczy psycholożka, a Krystian potwierdza: po nadmiernym spożyciu trudno zapanować nad żołądkiem.

– Tym bardziej że to nie jest alkohol destylowany – zauważa psycholożka, czym wywołuje protest chłopaka.

– Oj, można destylator zrobić – mówi. – Lufki do palenia się zwija, potem ogrzewanie, grzałką, jak są na innych kryminałach, albo buzałą, to się skrapla. Jak to w Ameryce mówią – księżycówka!

W więzieniach nie przemija moda na nielegalne samoróbki: maszynki do tatuażu oraz buzały, czyli grzałki, które mogą bardzo szybko zagotować wodę, ale też równie szybko wywalić korki albo kogoś uszkodzić. Rośnie więc podejrzliwość funkcjonariuszy, gdy osadzony zamawia lampkę, nalegając na jak najdłuższy kabel, bo gniazdko ma daleko od łóżka, albo gdy gwałtownie rośnie zużycie prądu. Więźniowie rozbierają dostępny w celi sprzęt, wyrywają

przewody ze ścian, organizują dostawy nielegalnych części za pośrednictwem tych, którzy wychodzą do pracy na wolności. Tu kawałek kabla ma wartość.

Są i pozytywne warianty rękodzieła. W więziennych celach honorowe miejsce zajmują żony, dzieci i rodzice oprawieni w misterną plecionkę z plastiku przypominającą rybią łuskę. Schludnie poukładane opakowania po kawie, folijki, pozłotka, sreberka z czekolady czekają na kolejny odcinek więziennego *Zrób to sam*. Rękodzieło za kratami to sposób na zabijanie czasu i wyrażanie uczuć: przywiązania do rodziny, sympatii dla funkcjonariuszy. Prezenty wędrują do bliskich, zdobią korytarze, pokoje wychowawców. Zmieniają cele w domy. Trendy zmieniają się, osadzeni uczą się nowych technik raczej od siebie nawzajem niż na zajęciach plastycznych. Teraz na czasie jest origami, ta moda obejmuje cały kraj, na papierowe wytwory natykam się w każdym więzieniu. Wcześniej popularne było lepienie z chleba.

Krystian chciałby mieć w celi piasek do usypywania mandal. W więzieniu odkrył buddyzm, medytację i książki. Zaczął też pisać: najpierw bajkę, potem autobiografię, takie polskie *My, dzieci z dworca ZOO*. To dlatego psycholożka chciała, żebyśmy się poznali i porozmawiali o pisaniu. Przekonuje, że to dla chłopaka bodziec, że będzie o tym myślał przez kilka dni, że to go ożywi. Wydaje się i bez tego aktywny, startuje w konkursach więziennych – teraz czeka na wyniki konkursu na list do ofiary swojego przestępstwa. Za kratami jest od sześciu lat.

– Wcześniej to ja tylko ćpałem – mówi.

Psycholożka dopowiada, że przez pierwsze cztery lata z chłopakiem nie było kontaktu. Efekt wieloletniego uzależnienia. W więzieniu trafił na terapię, której pewnie nigdy by nie miał na wolności. Narkotyki nadal mu się śnią. Nawet dziś opowiada nam sen o przerzucaniu kokainy motorówką.

Chłopak blokuje się przy pytaniach osobistych, ale chętnie opowiada o życiu w więzieniu. Pokazuje umieszczony na nadgarstku tatuaż symbolizujący wyrok, czyli przerwę w życiorysie: kreska-kropka-kreska.

– Jak często wychodzisz z celi?

– Zależy, jaki jest dzień. Czasem raz dziennie, na spacer. Dwa razy, jeśli na spacer i do telefonu. Trzy razy, jeśli mam szkołę.

– Ile osób w celi?

– Pięć.

Tu znów odzywa się psycholożka: – Staramy się dobrać tak osadzonych, żeby pasowali do siebie w celi, ale nie każdego da się dopasować, a gdzieś mieszkać musi.

– Jak ten ostatni u nas. Mania natręctw. Ja szklankę tu, a on trzy centymetry przesuwa, bo dalej musi stać. Chodził, jakieś szpary w oknach robił. No psychopata. – Krystian łapie się za głowę.

– Ale z panem Adamem dogadywaliście się bardzo dobrze. A ile on miał lat? Po pięćdziesiątce był?

– Pięćdziesiąt cztery, tyle co mój ojciec. On jest taki bardziej inteligentny, bo po tych studiach i w ogóle, gadać się dało normalnie, a nie jak inni, jakieś afery albo opowieści, z kim to on na śledczym siedział, a za co siedzi. Tego się słuchać nie chce.

Krystian chce zrobić maturę, potem studia, pracować w Monarze, pomagać uzależnionym. Na razie usiłuje oswoić matkę z buddyzmem i ma na to sposób: porusza ten temat w ostatniej minucie rozmowy telefonicznej, rozłącza się, zanim ona zdąży zacząć krzyczeć. Krystian był pierwszym skojarzeniem psycholożki, kiedy zapytałam ją o sukcesy w pracy.

8.

Granatowe ogrodniczki to strój roboczy, zielona kamizelka informuje, że więzień jest pod nadzorem, pomarańczowa – że może się samodzielnie poruszać po określonym obszarze. Może na przykład sprzątać plac bez nadzoru, ale nie może zajrzeć do kuchni, bo zostanie od razu zdjęty ze stanowiska. Swoboda ma tu ciasne granice.

Magazyn żywnościowy, kuchnia, pralnia, warsztat, remonty i transport należą do działu kwatermistrzowskiego. Pracują osadzeni – tak jest taniej, ale też ogólnie lepiej: praca to zajęcie i drobne wynagrodzenie dla więźniów. Kwatermistrz w Iławie zarządza pracą dwudziestu pięciu osadzonych i świadomie dawkuje sobie informacje na ich temat. – Wiem, za co kto siedzi mniej więcej, ale się nie zagłębiam. Pewnie byłoby ciężko, gdyby się wiedziało wszystko – mówi.

Pod jego kierownictwem remontują, budują, uczą się przy okazji montażu suchej zabudowy, podwieszania sufitów, tapetowania. Na korytarzach więzienia odsłaniają czerwoną cegłę, chociaż stukali się w głowy, kiedy pojawił się pomysł skuwania tynku. Teraz im się podoba to połączenie starego z nowym. Mniej trafioną realizacją są różowe ściany w świetlicy, osadzeni nie chcą tam chodzić. Kwatermistrz daje im czas na oswojenie z kolorem i rozważa pokrycie jednej ściany farbą tablicową. Będzie jak u Szelągowskiej.

Niektóre firmy, zanim wprowadzą swoje produkty do galerii handlowych czy na stadiony, testują je w więzieniu. Jeśli umywalka czy sedes przetrwa tutaj, da sobie też radę w publicznym szalecie. Teraz Iława testuje oprawy oświetleniowe, które mają być odporne na uderzenia. Zniszczenia się zdarzają, ale nie obciążają podatnika.

– Jak wiemy, że osadzony coś zniszczył, to robimy meldunek o szkodzie i obciążamy kosztami. To, że on nic nie ma, nie znaczy, że nie jesteśmy w stanie ściągnąć należności. Komornik wchodzi na rodziny – opowiada kwatermistrz. – Mamy jednego skazanego, który

tak kopał w drzwi, w klapę w tych drzwiach, że deski poodpadały. Śmiał się nam w twarz, że nic mu nie zrobimy, bo on nic nie ma. Po miesiącu przyszedł do mnie, żebym podał numer konta, że matka zapłaci, żeby tylko komornik zostawił jej telewizor. Jeden, drugi przypadek, że rodzina musiała płacić, poszło to w eter i teraz osadzeni zastanowią się dwadzieścia razy, zanim coś zniszczą.

Takie białe drzwi w celi to jest papier, jedno uderzenie i dziura. Kosztują 120 zł, ale do tego trzeba doliczyć koszt wymiany, stolarza, bo trzeba je przyciąć, robi się z tego niezła suma.

Taki meldunek to trzy strony A4, na których trzeba wszystko opisać. Jak już meldunek jest gotowy, osadzony ma się pod nim podpisać. Bywa, że odmawia. Wtedy trzeba dołożyć notatkę, że więzień w obecności takiej i takiej osoby odmówił złożenia podpisu. Dalej to idzie z urzędu.

Te papiery to ważna i zajmująca część pracy funkcjonariuszy, ale tylko jedna z wielu. W 2018 roku Służba Więzienna 1302 razy natrafiła na środki zagrażające bezpieczeństwu lub porządkowi. Rozmawiam o tym z psycholożką i oddziałowym. Przerzucają się anegdotami:

– Pamiętam babcię, która w staniku chciała wnieść na widzenie jakieś ruskie anabole i była bardzo zbulwersowana, że nie można. Wnuczek powiedział jej, że to witaminy – opowiada psycholożka.

– Najgorzej było z paczkami żywieniowymi – dodaje oddziałowy. Teraz paczek nie ma, można osadzonemu wysłać e-paczkę, czyli zrobić zamówienie, które zostanie skompletowane w kantynie i dostarczone. Ciasto od mamy czy pierogi od żony już do więźnia nie dotrą.

– Wszystko po to, żeby nie było niespodzianek. Mieliśmy wafelki z haszyszem na przykład. Pięć kilogramów tuż przed świętami. Byłaby impreza – mówi oddziałowy.

Innego rodzaju paczki są wciąż możliwe, więc teraz w tym obszarze trwają wzmożone przeszukania. Trochę w ramach autopromocji, trochę ostrzegawczo Służba Więzienna opowiada w mediach społecznościowych o najbardziej spektakularnych znaleziskach: laurkach od dzieci wykonanych za pomocą substancji psychoaktywnych, nielegalnych środkach schowanych pod znaczkiem na kopercie.

– W dezodorantach czasem jest powciskane, że nic nie widać – mówi psycholożka.

– Słyszałem ostatnio, że jest taki nowy patent: odzież, bielizna nasączona – dodaje oddziałowy. Psycholożka potakuje, też o tym słyszała. Funkcjonariusze więziennictwa współpracują z policją, muszą być na czasie, jeśli chodzi o najnowsze patenty. Za najlepsze źródło informacji uważają jednak osadzonych.

– Mamy ucha – potwierdza oddziałowy.

Ucha się znikąd nie biorą, ich wypracowanie to kolejny element pracy funkcjonariuszy i pracowników cywilnych więzień, zaraz obok pilnowania, dbania o bezpieczeństwo, przewidywania i szukania zagrożeń. Na facebookowych grupach dla funkcjonariuszy nikt nie napisze, że utrzymanie osadzonego kosztuje za mało, ale każdy się zgodzi, że za mało jest pieniędzy na pracowników. W tej instytucji problemy kadrowe to zagrożenie bezpieczeństwa, tylko jak to wyjaśnić podatnikowi?

– Najbardziej przykre jest to, że my tu wykonujemy mnóstwo pracy, a społeczeństwo tego nie widzi. Sukcesy policji, strażaków, służby granicznej – media pokazują. A u nas? – wzdycha kwatermistrz z Iławy.

Pytam, co jest tu sukcesem.

– Chronimy społeczeństwo przed elementem aspołecznym. Gdybyśmy ich wszystkich wypuścili…

Psycholożka dodaje: – My tu sukcesów jako takich nie mamy. Wygrane małe bitwy – tak o tym myślę. Fajnie, jak coś się udaje, ale to, czy będzie sukces, to nie od nas zależy.

Sukces byłby wtedy, gdyby osadzeni tu nie wracali.

[3] Nie jest to część znacząca – mówią mi funkcjonariusze, borykający się z nadgodzinami, odwoływaniem z dni wolnych i urlopów, słowem: brakami kadrowymi. W zrozumieniu specyfiki ich pracy i frustracji pomaga świadomość prawie 150 ataków na funkcjonariuszy w czasie służby w 2018 roku.

[4] Leszek Wójtowicz, *Wybijcie mi zęby, czyli na co skarżą się skazani,* „Kronika Tygodnia", 09.01.2018, https://www.kronikatygodnia.pl/wiadomosci/8110,wybijcie-mi-zeby-czyli-na-co-skarza-sie-skazani (dostęp: 28.02.2020); Bogumił Storch, *Wadowice: Więzienie zasypane lawiną skarg,* „Gazeta Krakowska", 23.03.2016, https://gazetakrakowska.pl/wadowice-wiezienie-zasypane-lawina-skarg/ar/9780921 (dostęp: 28.02.2020).

Dni inaczej płyną

Art. 67. § 3. W oddziaływaniu na skazanych, przy poszanowaniu ich praw i wymaganiu wypełniania przez nich obowiązków, uwzględnia się przede wszystkim pracę, zwłaszcza sprzyjającą zdobywaniu odpowiednich kwalifikacji zawodowych, nauczanie, zajęcia kulturalno-oświatowe i sportowe, podtrzymywanie kontaktów z rodziną i światem zewnętrznym oraz środki terapeutyczne.

Olsztyn, ulica Opolska, Oddział Zewnętrzny Aresztu Śledczego. Bramowemu zostawiam telefon, mam pozwolenie na wniesienie dyktafonu i aparatu (którego nie użyję).

Przy pierwszej rozmowie nie użyję, bo nie wypada.

– Proszę pani, to są normalni ludzie – odpowie na trzy kolejne pytania dotyczące pracy więźniów Arkadiusz Barski, funkcjonariusz ds. zatrudnienia.

Codzienność tych normalnych ludzi mieści się na kilku kartkach A4, które przyniósł Barski. Dzisiejsze wskaźniki, jeszcze ciepłe. 299 osadzonych, do pracy wychodzi 98. Dla tych, którzy nie wychodzą (bo nie mogą, bo jeszcze nie zasłużyli, bo wyrok wciąż zbyt poważny, bo nie ma powodu), w OZ-ecie też jest praca: bezpłatna na rzecz placówki lub odpłatna dla firm współpracujących.

Praca jako forma resocjalizacji ma się nieźle od dawna. Program „Praca dla więźniów” ogłoszony w 2016 roku ma na celu przede

wszystkim doprowadzenie do sytuacji, gdy osadzeni nie tylko nie będą obciążali budżetu państwa, ale wręcz przyczynią się do jego zwiększenia.

Pierwszy rok programu i już sukces, o którym informuje komunikat na stronie internetowej Służby Więziennej: „Wskaźnik powszechności zatrudnienia osadzonych przekroczył niespotykaną wcześniej wartość 52,8%. (…) Nigdy w historii III RP nie pracowało tylu skazanych”[5]. Najważniejszy wskaźnik na kartkach Barskiego to powszechność zatrudnienia. W olsztyńskim areszcie wynosi on 73 procent, w okręgu, do którego poza Olsztynem należy też między innymi Iława i Barczewo – niemal 60 procent. Trzeci wynik w Polsce. Ludzi do pracy zaczyna brakować. Olsztyński areszt ogranicza zatrudnienie wewnątrz zakładu na rzecz pracy na zewnątrz. To na zewnątrz dochodzi do najbardziej dochodowych i kluczowych współpracy, jak tej z Pocztą Polską: dzięki niej 500 z 74 000 skazanych pracuje między innymi przy sortowaniu przesyłek.

Barski mówi, że wytypowali dla mnie sześciu.

Tadeusz

Siada przede mną, składa ręce w piramidkę i mówi, że nie ma tremy, bo z mediami jest obeznany. Już wiem, że nie zrobię zdjęcia. Nie w tej prezesowskiej pozycji, nie w gabinecie dyrektora, nie na tle meblościanki z paprotką.

Więzienną kurtkę nosi jak designerską marynarkę, taki schludny, taki zaczesany – modne wygolenie z lewej, modna falka z prawej. Nie potrzebuje pytań. Ma być o pracy? Będzie.

– Miałem zaszczyt pracować dla lokalnego potentata branży drobiarskiej, firmy Indykpol SA.

Ja tego nie opiszę, myślę. A jeśli opiszę, to nikt w to nie uwierzy. Tadeusz to więzienny prymus, aktywista, weteran podobnych

spotkań. Dbając o odpowiedni poziom dramaturgii, opowiada, jak na jakiejś pogadance zapytał tych z wolności: „Jak myślicie, ile lat jestem zamknięty i za co siedzę?”. Zgadywali, ale nikt nie trafił. Dwa lata, przekręty komputerowe, malwersacje finansowe? Byli w szoku, gdy się dowiedzieli, jaka jest prawda.

Tadeusz ma trzydzieści cztery lata i od trzynastu odbywa karę za zabójstwo. Do więzienia trafił młodo, od razu za najcięższe przestępstwo. Mówi, że był zafascynowany grupą starszych osób i łatwymi pieniędzmi. Kradzieże, napady rabunkowe, porwania – wymienia jednym tchem. Któregoś porwania ktoś nie przeżył i czterech ich zamknęli. Trzech jest już na wolności. Mogło być dwadzieścia pięć lat, ale były okoliczności. Sąd powiedział, że ten człowiek jest do naprawienia – tak to opowiada. Który już raz to opowiada? Przekonuje, że już bardziej naprawiony być nie może. Liczy na zwolnienie warunkowe.

– Codziennie rozmawiam z człowiekiem, którym byłem wtedy – mówi, jakby cytował resocjalizacyjne broszury.

Za chwilę na podobną melodię opowie, jak przekonał swoją matkę, że nie powinna się obwiniać za jego zwichnięty życiorys: – Mamo, powiedziałem, ty jesteś łukiem, a ja jestem strzałą. Strzała leci w kierunku, w którym ją łuk wypuścił, ale dzieje się tyle rzeczy po drodze, wpływy atmosferyczne na przykład, że strzała może nie trafić w przeznaczone miejsce. Mimo że z łuku wyszła prawidłowo.

Tadeusz wie, co powiedzieć: o sobie dobrze, niekoniecznie skromnie, o funkcjonariuszach przyjaźnie, ale z szacunkiem – w końcu to od nich zależy, ile jeszcze wniosków o wcześniejsze zwolnienie w jego sprawie powstanie.

Kilka lat temu wygrał Festiwal Sztuki Więziennej. Zrobił film o pracy osadzonych na rzecz Domu Pomocy Społecznej w Iławie. O tej pracy mówi najwięcej i najchętniej. Na przykład o tym, że w niedzielę najważniejsza jest msza. Najpierw musi być pytanie: kto chce do

kościoła. Druga sprawa: do którego. W Iławie do wyboru są trzy. A może nad Jeziorak, kaczki będziemy karmić?

Przyznaje, że z mieszkańcami Domu Pomocy Społecznej łatwo nie było: – Plują, wyzywają, ale nie odpowiesz agresją, wiesz, że to tylko choroba. Ktoś ci ubliża, a ty spokojnie, uśmiech numer pięć. Przecież każdy z nas może tam kiedyś trafić.

Program, w którym brał udział, „Pomagam, bo lubię", miał trwać trzy miesiące, skończyło się na sześciu, ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych. Później jeszcze wpadał, bo zdążył się przywiązać.

O podopiecznych DPS może mówić bez końca. O pani, która miała sto sześć lat. O emerytach, których dzieci przyjeżdżają rzadko i tylko po pieniądze. O sparaliżowanym po wypadku mężczyźnie, którego przekonywał, jak ważne jest, że może mówić.

W więzieniu Tadeusz postanowił nie tracić czasu.

– Dziesięć lat przebywałem w zakładzie typu zamkniętego, bez możliwości zatrudnienia, dwa widzenia w miesiącu. Wtenczas musiałem polegać na wsparciu rodziny, chociaż człowiek był dorosły i chciał sam sobie radzić. Teraz jest praca i komfort psychiczny, że nie obciążam nikogo. Za swoje błędy płacę sam.

Za błędy, ale i za książki. W więzieniu nauczył się angielskiego. Kupował podręczniki, zgłębiał tajniki ekonomii. Miał pomoce naukowe i mentora; siedem lat dzielił celę z osadzonym za przekręty finansowe. – Wybitny człowiek – mówi o nim z szacunkiem.

Tadeusz ma plany na przyszłość, dziecko w drodze oraz świetne notowania u kierownictwa zakładu. Wie, co i jak powiedzieć, żeby dobrze wypaść, wie, jak zrobić wrażenie.

Krystian

Przenoszę się do sali widzeń. Przenoszę się i już wiem, że znowu nie zrobię zdjęć.

W centrum uśmiechnięty osioł z zadziornie uniesioną nóżką. Spogląda w lewo, może wygląda przez okno na sąsiedniej ścianie, a może patrzy na skrzynię ze złotem, wyraźnie powiązaną z wiszącą nad nią koślawą tęczą. Z prawej strony Shrek obejmuje Fionę, na niebie nad nimi klucz ptactwa. Nad scenką góruje Jezus Chrystus na drewnianym krucyfiksie, wyjęty z zupełnie innej bajki.

Na drugiej ścianie Kubuś Puchatek – trudno ocenić, czy to ta sama czy inna, równie niewprawna kreska. Malowidło z pewnością wykonali osadzeni. Może kilku, może jeden. Może jeszcze tu są, może ich dzieci bawią się pod tym Shrekiem.

Pod ścianą piętrzą się pluszaki, na półce leżą książeczki. Stolik i kolorowe krzesełka czekają na małych artystów. Dla najmłodszych dzieci przygotowano nawet fotelik do karmienia.

– To wspólne, więc nikt nie szanuje. Urwało się zabezpieczenie tego krzesła, to ktoś je po prostu położył, żeby wyglądało jak zwykle. Mój syn z tego wypadł, potłukł się – mówi Krystian.

Siedzimy przy stole, widzę go na tle tej bajkowej ściany, nad jego głową przebiega tęcza i dlatego wiem, że o zdjęcie nie poproszę. Krystian ucieka wzrokiem, uśmiecha się krzywo, trochę nieśmiało, trochę pogardliwie. Z założenia jest na nie. Nie jak nieufnie, niechętnie, niestety. Każdą odpowiedź zacznie od jakiegoś nie, ale ze zdania na zdanie będzie łagodził przekaz. Wystarczy poczekać, by ujawniło się coś dobrego, coś na tak.

Syn. Za dwa tygodnie będzie miał dwa lata. – Akurat na przepustce będę – mówi, a to nie koniec dobrych wiadomości: za dwa miesiące skończy odbywanie kary. Krystian w tej sprawie, jak w każdej, zachowuje umiarkowany optymizm. – Mam termin na 1 kwietnia, jeszcze się może okazać, że prima aprilis.

Raz już wyszedł. Ma dwadzieścia cztery lata i za sobą łącznie cztery lata odsiadki. Pierwszy raz do więzienia trafił zaraz po opuszczeniu Domu Dziecka. Za co? – Za to, co zawsze. Za kolegów – uśmiecha

się gorzko. Kiedy wyszedł pierwszy raz, miał w kieszeni 6,40 zł. Nic dziwnego: zakład karny przekazuje wychodzącemu kwotę pozwalającą na powrót do domu. Krystian mógłby iść tam pieszo. O ile na transport nie potrzebował fortuny, na życie już by się coś przydało. Na rodziców nigdy nie mógł liczyć, ale koledzy czekali. Wiedzieli, skąd wziąć pieniądze, co szybko skończyło się dla Krystiana drugim wyrokiem. Teraz to wyjście ma wyglądać i potoczyć się inaczej. Chce zostać na wolności.

– Jak siedziałem pierwszy raz, to wychodziłem z niczym i do niczego. Odwiedzin nie miałem. Raz matka przyszła, raz ojciec. A teraz mam żonę, dziecko. Mam dla kogo wyjść. – Krystian mówi, że znajomych nadal ma, ale zamierza nie korzystać z ich pomocy. – Dość się już nasiedziałem.

Start ułatwią pieniądze zarobione w czasie odbywania wyroku. – Dobrze by było, gdyby ich nie zabierali. Siedemdziesiąt procent biorą. Na przykład teraz: dziewięć dni pracy, zarobiłem osiemset złotych, a sześćset zabrał zakład – wylicza.

O tym, że zakład zabiera, powie mi każdy, z mniejszą lub większą niechęcią. Potrącenia wynikają z zapisów kodeksu karnego wykonawczego: 45 procent wynagrodzenia uzyskiwanego przez osadzonych przeznaczone jest na Fundusz Aktywizacji Zawodowej Skazanych, 7 procent na Fundusz Pomocy Postpenitencjarnej, do tego składki, podatek i ewentualne inne zobowiązania. FAZS to środki na budowę hal produkcyjnych w zakładach i zwrot dla inwestorów (35 procent kosztów wraca do firm, które dają osadzonym pracę). W Internecie pod tymi informacjami wysypują się czasem wątpliwości: że wyzysk, że niewolnictwo.

Krystian liczy też jednak, ile zostało mu w sumie, i to jest jakiś początek, choć potrzeby są spore: jego żona mieszka z rodzicami, on się tam wprowadzać nie chce, bo dorosły jest – mówi. Jest objęty programem 164, może liczyć na pomoc Miejskiego Ośrodka Pomocy

Społecznej i Urzędu Pracy, doradztwo zawodowe. – Czekam na rozwój wydarzeń.

Krystian pracuje w Indykpolu.

– Najgorsze w tej pracy jest to, że jadę do pracy koło domu. Widzę okna z jednej strony, jak wracam – to z drugiej.

Dodaje optymistycznie, jak na siebie, że da się to przeżyć, bo są widzenia, rodzina co tydzień przychodzi. Są przepustki i może wtedy dom obejrzeć nie tylko w drodze do pracy.

Łukasz

– Pani myśli, że to do druku pójdzie, że to ludzie przeczytają, że to kogoś zainteresuje, że uwierzą? Jak ja dziadkowi opowiadam, jak tu jest, to się za głowę łapie i mówi, że przecież ty tu jesteś za karę, to czego się dziwisz? Marudzić nie ma co, trzeba odsiedzieć. Jeszcze jedenaście dni.

Łukasz mówi, że swoje odsiedział z nawiązką, nawet z należnych przepustek nie skorzystał. Jego dziadek, jedyna rodzina, nie ma już sił na podróże, wnuka więc nie odbierze. Łukasz to AA, więc nie jest wiarygodny i nie może opuścić więzienia bez opiekuna. Chore to trochę, westchnie, ale bez szczególnego żalu. Ma żywą mimikę, skomplikowane uzębienie, urok cwaniaczka. Mówi szybko, kręci się na krześle, jakby go parzyło, raz po raz zanosi się śmiechem.

Zrobił kurs rozbioru drobiu, który był warunkiem wcześniejszego zwolnienia. Jedenaście dni zostało, powtarza. Dwa lata i trzy miesiące za nim. Tym razem. Pierwszy raz go zamknęli w 2009 roku, posiedział, wyszedł i po pięciu latach wrócił. Rozbój. Głupota. Impreza. Alkohol. Dopalacze.

Od początku skrucha i posłuszeństwo. Wiedział, jak się urządzić w więzieniu.

– Od początku pracuję, od razu chciałem. W związku byłem, to mi zależało na przywilejach, wnioskach nagrodowych, widzeniach intymnych. Szybciej, łatwiej można wyjść, wiadomo, jak to jest.

Co zrobić, żeby dostać pracę w więzieniu? Zgłosić chęć i czekać. No i mieć trochę szczęścia. Łukasz ma kolegę z Białołęki, który rodzinę ma na utrzymaniu, to i praca by mu się przydała. Dzień po Łukaszu przyjechał, ale dla niego roboty cały czas nie ma. Może zbyt natarczywie się o tę pracę stara? I tak bywa.

Łukasz takich problemów nie ma, choć trudno mi wyobrazić sobie, żeby o pracę ubiegał się inaczej niż natarczywie. O tym, jak dobrze, że jest praca, będzie mówił co trzecie zdanie.

– Najpierw mnie na wydawkę wrzucili, ale prosiłem, żeby mnie na płatny dali, to dali na remontówkę. Do Łodzi na terapię pojechałem, to od razu na wydawkę wskoczyłem. Tu przyjechałem, to się postarałem o Indykpol, ten kurs rozbioru drobiu zrobiłem. Ja z Giżycka jestem, tam też są kurczaki, to może pójdę do roboty później. Tylko teraz te jedenaście dni się postarać.

Na wolności była praca zawsze, bo Łukasz pracować lubi i umie – zapewnia. Ma trzydzieści dwa lata, dziesięć lat doświadczenia zawodowego. Głównie budowlanka. Zanim tu trafił, też nie potrafił usiedzieć na miejscu.

– Ja przed tą powałką to do pracy, potem na obiad, dziadkowi opowiadałem, co słychać, i wychodziłem. Wracałem późno, spanie, od rana powtórka. Na wolności czekałem na weekend, tu czekam na poniedziałek. W niedziele nie wiem, co robić. Wczoraj zrobiłem sobie nawał rzeczy, od siódmej na nogach, jakieś pranie, poćwiczyć, podsmażyć, pogadać, prośbę napisać na poniedziałek. I tak o, cały dzień.

Przyznaje, że są i inne niedziele, takie, że się leży cały dzień. I telewizor. I spać. Ale ile tak można? Dlatego ta praca taka cenna.

– Praca daje satysfakcję, przyznam pani szczerze. Nawet w tym Indykpolu. Ciężko nie jest. Jak dla faceta to nawet lekko. Chociaż zależy, co kto robi. Ja mam konfiskatę, podwieszanie tych indyków. Pierwszy dzień było ciężko, drugi dzień było lżej, trzeci już obojętnie. To jest obóz pracy, ale i tak wyjście stąd…

Macha ręką z rezygnacją. Żeby wyjść z zakładu, bierze wszystkie dni, z sobotami włącznie. Gdyby nie święta, to też by wtedy robił.

Pracuje na drugą zmianę. Wstaje, apel, potem śniadanie. Ogarnia się, ćwiczy, do administracji się przejdzie. O dwunastej już go nie ma. Wraca, gdy wszyscy śpią. Je i też się kładzie. Kolejny dzień zleciał.

– Jedenaście dni, jedenaście dni! Wrócę dziś z pracy i już tylko dziesięć będzie.

Poza szybszym upływem czasu praca daje też pozory normalności – a przynajmniej ja tak to sobie wyobrażam. Łukasz dyskutuje:

– Czy dwudziestu siedmiu chłopa w autobusie na dwadzieścia jeden osób to jest normalne życie?

– Tak – potwierdzam, myśląc o moim zawsze zapchanym porannym tramwaju.

– Wie pani, widziałem tych cywilów w Indykpolu, jak wysiadają ze swojego autobusu. Faktycznie mają ścisk, tłum ich tam był.

No bo właśnie, cywile w Indykpolu.

– No patrzą na nas trochę inaczej, ale i tak lepiej niż na Ukraińców. I tych Mołdawian, Gruzinów, co tam są. To na pewno. Bo tam jest tego wysyp, naprawdę wysyp mazi wszelakiej. I na nas trochę lepiej patrzą, może nie lubią obcokrajowców. Z nami się dogadać idzie, mówi się „zrób to”, to idzie i robi, a takiemu Ukraińcowi trzeba pokazać, wytłumaczyć.

Niektórzy w Indykpolu po trzydzieści lat pracują. Łukasz kręci głową z niedowierzaniem. – To dla mnie chorzy ludzie są.

Brygadzistki za to chwali z zapałem. Brygadzistów, tych cywilnych, też. Chociaż nadzór, jak nie w zakładzie, to w Indykpolu, jako taki mu nie odpowiada. – Z tego Auschwitz do tamtego Auschwitz. – Wyraźnie podoba mu się ta obozowa analogia.

Wyjście do pracy daje szansę na normalną rozmowę, o wszystkim, o życiu. W innym tonie te rozmowy, gładkie takie, tonem niższym, w końcu tu są kobiety. O więzieniu Łukasz wolałby im nie opowiadać, ale bliski koniec wyroku sprawia, że odsiadka wszystkich w Indykpolu interesuje.

– Pytania mi takie jak pani zadają: co potem, co planuję. Mówią mi: „Tylko nie wracaj, bo ty dobry chłopak jesteś". Brygadzistka do mnie „Synuś, synuś", bo ona ma syna Łukasza.

Jedenaście dni. Co potem?

Może najpierw weekend z dziadkiem, tylko siebie mają. W poniedziałek urząd pracy. Zastanawia się, czy powiedzieć, że siedział. Za pierwszym razem powiedział, potem problem był. Coś sobie na czarno znalazł, po jakimś czasie na umowę. Prawo jazdy chce zrobić. A potem może Szwecja albo Norwegia. W Szwecji ma rodzinę, w Norwegii jest przyjaciel. Do Holandii by mógł jechać, ale lubi palić, to lepiej nie. Woli się nie pchać.

Jedenaście dni. Ponad dwa i pół tysiąca na początek będzie w kieszeni. Jakieś wnioski nagrodowe. Pójdzie do kuratorki, też może coś wpadnie. Jeśli osadzony wychodzi z pieniędzmi, nie należy mu się dodatkowa pomoc od państwa na start. Ale i na to Łukasz zamierza znaleźć sposób.

Kończymy, bo biegnie do pracy. Wstaje i biegnie.

Andrzej

Andrzej nie szuka sposobu, tylko winnego. A raczej winnej. Właściwie już ją znalazł. I o tym chce mówić, a nie o pracy.

Nieśmiały olbrzym. Brodaty, wycofany. Siedzi prosto, sztywno, daleko. Mechanicznie odpowiada na pytania. Zajmuje się radiowęzłem i biblioteką.

– Ja jestem z zawodu blacharz-lakiernik. Ze zdrowiem trochę podupadłem i żadnej pracy wykonywać nie mogę. Pani Beata, wychowawczyni, mówiła, żebym siedział na oddziale, ale wiadomo, nudziło się. To powiedziała, żebym chociaż tu przychodził, przy książkach pomógł.

English, czyli Paul Benjamin z *Ucieczki z Alcatraz*, miał taki wózek, którym rozwoził prasę i książki więźniom. Andrzej też ma taki. I biblioteki w więzieniach faktycznie działają jak na filmach.

– Książki są w środy i czwartki, trzeba się przejść po pawilonach, zamówienia zebrać. Dyżurny jest na każdym pawilonie, to do niego znoszą zamówienia i książki, które już chcą oddać. Ja chodzę po dyżurnych i zbieram od nich, a potem rozwożę każdemu książkę, jakiej potrzebuje.

Czytelnictwo w więzieniu trudno mu ubrać w jakieś reguły. Były momenty, że brali dużo, teraz mało, chociaż święta. A może dlatego, że święta? Tematy? Różnie. Bestsellerów trochę jest, trochę sensacji. Zamyśla się.

– Jeden to książki tylko o myśliwych zamawia, śmiejemy się, że pewnie kłusownikiem był.

Ile? Półtora roku za nim. Większość w olsztyńskim OZ-ecie, niewielka przerwa na terapię w Suwałkach. I jeszcze ponad rok został. Luty 2019, najprawdopodobniej.

– Nie będzie się już jeździło pod wpływem więcej.

O to poszło. Trzy razy w ciągu roku złapany na prowadzeniu po alkoholu. Nad motywami jazdy po pijanemu raczej się nie zastanawia, ma za to teorię, która wyjaśnia wpadkę:

– Z żoną się rozchodzę. I te kontrole to były związane. W takim miejscu, w lesie? Wiedzieli, którędy jadę. Jak się jeździło do innych

panów, to mąż był zbyteczny. Trzeba się było pozbyć gościa. Jak poszła, to nawet dzieci zostawiła. Teraz moja matka z nimi siedzi. Czekam na sprawę rozwodową. I muszę jak najszybciej stąd wyjść.

Dzieci mają jedenaście i czternaście lat. Andrzej jeździ do nich na przepustki i stara się jakoś sprawy ogarnąć. Najlepsze są przepustki trzydziestki – o dziesiątej rano w sobotę wychodzi, ma wrócić o szesnastej w niedzielę. Na początku ktoś musiał odbierać, teraz już jest samodzielny.

Przepustki i praca są ze sobą powiązane.

– Ja przepustki i pracę dostałem razem. Praca to ułatwienie. Zaufanie ktoś ma, że nie pójdę, nie wypiję.

Zaufanie to wartość na OZ-ecie. Andrzej nie miał z tym problemów – nigdy nie był karany, ma dobre opinie kuratorskie. Sprawdza się w pracy. Inaczej patrzą.

Drugie zajęcie Andrzeja to radiowęzeł. Radiowęzeł ma dwie zmiany – cztery i pół godziny od siódmej trzydzieści lub cztery godziny od jedenastej. Jak rano, to najpierw komunikaty poranne. – Przychodzimy na siódmą trzydzieści. Ogłaszamy pracę, wychodzą na wolnościową. Ogłaszamy, kto ma przyjść na bramę, bo po niego przyjechali. Są komunikaty, jak jest szkoła albo jak przychodzą goście, jacyś sportowcy. No różnie.

Jak ktoś nie wychodzi do pracy, to ma zajęcia na miejscu, na przykład sprzątanie. Są jednak tacy, co mówią, że przyszli tu wyrok odsiedzieć i nie chcą nic więcej robić.

– Są takie gwiazdy, karierę robią więzienną. – Kręci głową z niedowierzaniem i ze współczuciem. – To jest masakra, jak się nic nie robi. W tygodniu jakoś leci. Ale sobota, niedziela? Święta to tragedia.

O karierze więziennej zdaniem Andrzeja myślą głównie młodzi, tacy, co wiedzą, że jak wyjdą, to wrócą. Dbają o odpowiedni wizerunek.

– Na wolności się robotą nie zhańbił, to i tu się nie zhańbi. Jak raz siedzi za kradzież, to i za kradzież wróci. Nie myślą o przyszłości. Nie chcą dorabiać. Bo jak tu się pracuje, to część pieniążków bierze zakład karny. I to im nie pasuje.

Poza zawodowymi bandziorami Andrzej dostrzega tu jeszcze grupę rozpieszczonych synków: to są osoby, którym mamusia z tatusiem dawali, a jak nie dawali – to ukradł. Andrzej tłumaczy, że jak ktoś pracuje w więzieniu, a ma komornika, to z wypłaty tego komornika spłaca. I tak go przecież kiedyś musiałby spłacić, prawda? Prawda. A niektórym jakoś to przeszkadza. Przykryje się taki kocem i leży. Krzykną „obiad!", to pójdzie. I wróci pod koc. Widać, co kto robił na wolności. Widać takich, co pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat mają i pracują, bo mają to we krwi. Jak ktoś od małego nic, to będzie miał trzydzieści i nic nie zrobi. Andrzej mówi, że to wynosi się z domu.

Sebastian

Sebastian to błyskotliwy facet w średnim wieku. Szpakowaty. Broda jest, wąsów brak. Na oko drobny przedsiębiorca, człowiek interesów. Mówiąc, nachyla się w moją stronę, dużo się śmieje. Każdą bardziej krytyczną uwagę szybko nadrabia refleksją, że przecież to więzienie. Każdą pozytywną opinię równoważy skargą. Narzekania przeplata skruchą, załamuje ręce, po chwili wybucha śmiechem.

Pracuje na poczcie przy rozładunku. Czuje, że powinien mówić o pracy dobrze, tak wypada. Nie wychodzi mu to jednak za bardzo.

– Różnie jest, tak powiem. Grudzień był strasznie słaby. Teraz troszeczkę mniej roboty. Praca jak praca. Każdy pracuje.

Nie każdy pracuje na nocki, nie każdy po dwanaście godzin.

– Od piątej do piątej ciśniemy. Czasem dwie nocki z rzędu robimy. Wracamy do OZ-etu koło szóstej, a na siódmą trzydzieści wszyscy na apel. My na ten pierwszy niby nie musimy, ale jak nas jest dziesięciu

czy jedenastu w celi, to trudno spać, jak oni wszyscy idą. Ja wstaję przykładowo o dziesiątej lub jedenastej i o siedemnastej znowu do pracy. Trochę wariactwo.

Nerwowo zaśmiał się przy tym „trochę", uciekł wzrokiem.

– Nie oczekuję jakiegoś normalnego podejścia, jak by nie było, siedzę w więzieniu. Ale jak ktoś jest wyzyskiwany, to to nie jest fajne.

O tym, że w więzieniu nie jest się w nagrodę i nie należy marudzić, o tym, że odsiadka powinna uczyć – przynajmniej pokory – Sebastian powie mi jeszcze kilkanaście razy na kilka różnych sposobów. Mówi tak, bo tak myśli lub chciałby tak myśleć, może wydaje mu się, że tak wypada? Wychodzi mu to wiarygodnie.

Na wolności Sebastian handlował autami. Miał swoją firmę, którą teraz prowadzi jego partnerka. Mówi, że własny interes założył po odbyciu poprzedniego wyroku.

– Kiedyś się człowiek w złym towarzystwie obracał. Złe wartości się wybrało w życiu. Wie pani, jak to jest. A potem chciałem normalnie, jakieś terapie były. Sześć lat wtedy przesiedziałem, to nie jest mało.

Na kilka lat podziałało, a potem pomoc w kradzieży. – Bzdura taka – mówi. Na drugą odsiadkę stawił się 18 sierpnia, wyrok – dwa lata z haczykiem. Pracuje na wolności, czyli zakład ma do niego zaufanie.

– Wie pani, nie każdego puszczą. Nas jest tu trzystu. Takich normalniejszych, co można ich do pracy puścić, nie ma aż tak dużo.

Wskazuje ruchem głowy budynek widoczny za oknem. – Tam by panią wpuścili, to by pani zobaczyła. Tam są inni ludzie. Nie to, że tu jest źle. Jestem w więzieniu, nie przeraża mnie to miejsce, no bo trudno. Ale ci ludzie – przerażają. Nic fajnego. No, ale jestem tu za karę, nie w nagrodę. Trudno.

Wtedy też pracował. W przedszkolu, niedaleko.

– Nieodpłatne to było, ale nie ganiali. Ja bym wolał taką pracę. Mi te pięćset złotych, co dają mniej więcej, nie jest potrzebne do

niczego, a wolałbym luźniej. Przykładowo mieć pracę od ósmej do szesnastej. Jak by nie było, tutaj też mam jakieś swoje obowiązki. No i rodzinę mam przede wszystkim. Rodzinie nawet jak nic nie powiem, to i tak wiedzą, że jestem ciągle zmęczony, nerwowy. Wcześniej, jak nie pracowałem, mogłem z nimi gadać godzinami, teraz nie mam siły.

O tym, że wynagrodzenie nie jest dla osadzonych najważniejsze, mówili mi też funkcjonariusze. Dla wielu osadzonych cenniejsze niż pieniądze są swobodniejsze relacje w miejscu pracy. Taki konserwator w szkole, na przykład. Tu z woźną pogada, od kucharki obiad dostanie, z dzieciakami pożartuje. Na dodatek zrobi coś naprawdę pożytecznego, choćby o przykręcenie klapy sedesowej chodziło. Niemal wszyscy osadzeni mają stosowne umiejętności. Decyzję o zatrudnieniu skazanego w placówce oświatowej podejmuje Rada Rodziców. Opłacić muszą tylko jego badania lekarskie, więc interes jest dla nich korzystny. W samym Olsztynie z tej możliwości skorzystało kilkanaście placówek. Tylko lepiej, żeby za dużo o tym nie pisać, bo Rada Rodziców to jedno, a potencjalnie niezadowoleni rodzice to druga sprawa.

– A tu poczta – wzdycha Sebastian, ale też pospiesznie zapewnia, że będzie rozmawiał w administracji, może uda się coś zmienić. Najlepszą motywacją jest wspomnienie grudnia. – Nie wiedziałem, o co chodzi, jak się nazywam. Non stop jedenaście godzin pracowaliśmy.

Nadmiar pracy to niejedyny problem. Zgodnie z przepisami pracodawca ma obowiązek nakarmienia osadzonych w trakcie wykonywania pracy. Szczegółów tego posiłku przepisy nie precyzują. O ile Indykpol jest powszechnie chwalony – i to wcale nie za dania z indykiem – o tyle o Poczcie Polskiej skazani mówią mi tylko źle. Podobno dostają kanapki.

Kantyna to kolejny punkt na długiej liście skarg.

– Wyobraża sobie pani, że przed świętami prosiłem o jakieś specjalne rzeczy, ciasto może, pierogi. Przyszedłem na wypiskę i proszę, że może szyneczka. Co tydzień o to proszę. Ale nie. Na święta nie było nic specjalnego. A przecież tu są ludzie, którzy chcą sobie coś kupić i mają za co. A my sześć kilogramów możemy kupić na tydzień. Po kilogramie bananów, cebuli, kiełbasy. Trzy zostają. Wybieraj.

Gdyby nie było pracy, Sebastian zapewnia, że by się nie nudził. W ping-ponga by pograł, poćwiczyłby, pogotował. Na tym mu głównie zależy. Zajęcia im tu też organizują, na takie kulturalno-oświatowe, KO, chodzą w piątki. Jak ktoś pracuje, ma przepustkę, to może też wyjść na zajęcia na zewnątrz, w piłkę pograć na przykład na boisku niedaleko. Do schroniska chodzili, pieski wyprowadzali.

Wraca jak bumerang Sebastianowa rzeczywistość:

– Szczerze? Jak wychodzę na noc, to mam rozwolnienie, brzuch mnie boli. Nic fajnego. Jak mam tę drugą zmianę na piątą, to przynajmniej przed czwartą muszę wstać, ale o trzynastej kończę, wpół do drugiej jestem z powrotem. Rano wcześnie, wiadomo, ale normalny człowiek jak do pracy idzie, to też wstaje. A na tę nockę… Gdybym miał celę sam albo z kolegą i obaj byśmy tak pracowali, toby było lepiej, odespałoby się. A jak nas jest jedenastu?

Z tej jedenastki trzech pracuje. Jeden w szkole, drugi w Czerwonym Krzyżu, obaj od ósmej do piętnastej. Trzeci jest Sebastian, który zaraz się będzie w tej sprawie uśmiechał, bo dłużej nie wytrzyma.

Trzeci dzień pracy to był może – opowiada. Kierownik z kierowniczką na zmianie. Zebrali wszystkich więźniów i kierownik mówi, że jakby to od niego zależało, toby ich tu nawet godzinę nie było. Chwila, chwila, to po co ja tu jestem? Żeby pan na mnie warczał?

– Ja się wstydzę, że tu jestem. To jest pewnie dobre. Trzeba mieć to za sobą i lecieć dalej. Mógłbym pójść do szkoły. Książki czytam. Nie chcę czasu marnować. Wyjść, żyć dalej, cieszyć się.

Dziś będzie nocka.

Zbigniew

Zbigniew nie wchodzi do pokoju, on się skrada, jakby chciał się schować. Siada na krześle, chociaż wolałby chyba pod stołem. Ma twarz, która opowiada historie, niekoniecznie ze szczęśliwym zakończeniem. Kilkukrotnie przestawiony nos, delikatne tiki: tu powieka zadrży, tam przykurcz przez twarz przebiegnie, wrażenie lekkiego spowolnienia. Kręci się na krześle, kryguje, ucieka wzrokiem.

Pracuje dwa i pół roku. To bardzo długo, mało kto tu tyle pracuje. Jest zadowolony. Od kiedy grupę mu zmienili na półotwartą, od czterech lat, jest wspaniale. No wspaniale, bardzo dobrze. Czas mu prędko leci, zarobi trochę pieniążków. Opłaci mieszkanie, trochę na wypiskę ma i trochę jeszcze odłoży.

Mówi tak miękko, uśmiecha się tak nieśmiało, wstydzi się tak bardzo.

– Jak byłem w Iławie, to sprzątałem na oddziale. Potem dostałem tę grupę półotwartą. Też sprzątałem. Po jakimś czasie, na wiosnę, dostałem zgodę na wyjścia. Pan dyrektor, pani psycholog się zgodzili. Chodziłem na miasto, nad Jeziorak, na stadion chodziliśmy. Wszędzie gdzie się dało chodziliśmy. Na prace porządkowe.

Prace porządkowe to forma bezpłatnej pracy osadzonych na rzecz miasta. Grabią, sprzątają, uczestniczą w robotach drogowych i remontach.

– Do końca jeszcze dwa lata, ale może, kto wie. Za trzy miesiące mam wystąpienie. Osiem lat już siedzę. Zamknęli mnie do Barczewa,

potem do Kamińska, potem znowu do Barczewa, potem do Iławy na terapię. Mieszkam w Lidzbarku, a tu w Olsztynie była moja mama w szpitalu. Napisałem prośbę do pana dyrektora, chciałem być bliżej mamy, kontekst rodzinny. Uwzględnili, jestem tu dwa i pół roku.

Mówię, że mama musiała się ucieszyć.

– Zmarła, zanim mnie przenieśli. Stało się, jak stało.

Chciałabym Zbigniewa przytulić, zaprosić na święta, kupić mu sweter. Niech już tylko nie patrzy na mnie jak dziecko, niech nie wykręca sobie nerwowo palców.

– W sierpniu dwa tysiące piętnastego dostałem się tutaj i się od tej pory trzymam jak ten koziołek. Czas mi leci. Poważanie mam w miarę dobre. Staram się, jak mogę. Byle do tego wystąpienia. Pora do domu. Za swoje grzechy odcierpiałem już.

Co to za grzechy – nie powie. Machnie ręką, spuści wzrok, zaczerwieni się. Rzuci, że nie ma o czym mówić. Nie naciskam.

Dzień Zbigniewa: praca od ósmej do czternastej. Sprząta część administracyjną OZ-etu. Podlewa kwiaty, odkurza, dba, żeby nikomu niczego nie zabrakło – tak to widzi. Kiedyś było zmianowo, ale teraz tylko poranna, jak tłumaczy – długo pracuje, więc przywilej taki ma. Po pracy zaraz obiad. Później kolacja. Czasem do kantyny towar nosi, też odpłatnie.

– Dla mnie korzyść jest taka, że mam pieniądze. Czas mi szybciej idzie. Nigdy nie pracowałem wśród takich ludzi, na takim poziomie. Wcześniej, na wolności, jakieś wykańczanie mieszkań, glazura, terakota, panele, okna, drzwi. Ogólnobudowlana. Środowisko jest, jakie jest. A tu inaczej trzeba podchodzić do wszystkiego. Człowiek nie przeklnie jak na budowie.

Tłumaczy, że najważniejsze jest, by nie poniosło człowieka, gdy wyjdzie z zakładu. Byle zagłuszyć głupie pomysły, byle pamiętać, co jest ważne i jak nadmiar odwagi może zaszkodzić.

Wychodzi z pokoju, a do mnie przychodzi Barski. Zgadza się ze mną, gdy mówię, że Zbigniew to uroczy człowiek. Opowiada, że to ulubieniec wszystkich pracowników, że jak kwiaty przyjdzie podlać, to go z pokoju pół godziny wyrzucić nie można, bo głaszcze liście, mówi do nich. Jednocześnie to jeden z tych ludzi, którym zakład karny najprawdopodobniej uratował życie: nałogi długo by mu nie dały pociągnąć.

– Powiem panu, że ja go strasznie miałam ochotę przytulić.

– A powiedział pani, za co siedzi?

– Nie.

– Może to i dobrze.

Robert i Adam

Na rozmowy o pracy pojechałam do Olsztyna, ale opowieści o pracy usłyszałam też w każdym innym więzieniu. Jeśli bohater pracował, chciał o tym opowiadać.

Jak Adam, który jest zatrudniony w więziennej bibliotece. Po pięciu latach odbywania wyroku dostał taką możliwość. – Niesamowicie to przeżyłem – mówi z namaszczeniem. Długo chodził i dowiadywał się, czy jest zgoda na przydzielenie mu zajęcia. Pierwszy krok należy do wychowawcy, który puszcza wniosek do zatrudnienia. Wniosek weryfikuje ochrona. Funkcjonariusz może zgodzić się lub nie, wie najlepiej, kto się umie zachować, a kto może spowodować kłopoty. – Nie rozumiem ludzi, którzy przychodzą do zakładu karnego i nie szukają pracy. Jak można cały dzień w czterech ścianach siedzieć? Cokolwiek się wymyśli, to albo regulamin wewnętrzny nie pozwala, albo inni osadzeni, bo się im przeszkadza – wzdycha.

Robert, który wciąż pamięta, jak trzeszczała brama, kiedy wchodził, pracuje w piekarni poza zakładem. Śmieje się, że może mu się ten nowy zawód kiedyś przyda. W jego obecnym życiu praca ma

kluczowe znaczenie: zajmuje dzień, nadaje rytm, sprawia, że czas płynie szybciej. Wychodzenie do pracy za więzienne mury ma dodatkowy plus: Robert może mieć więc w szafce w pracy cywilny szampon. Teoretycznie przynajmniej może, ponieważ takie udogodnienie wymaga tu niezłej gimnastyki, bo osadzeni nie mają gotówki. Mogą pobrać swoje pieniądze z depozytu, wychodząc na przepustkę – ale nie do pracy. Nawet gdyby w pracy mieli pieniądze, nie mogliby iść na zakupy i wnieść kupionych rzeczy do celi. Jeśli ktoś z więzienia wychodzi do pracy z paczką papierosów i spali tylko połowę, drugiej połowy nie może przynieść z powrotem.

Dla funkcjonariuszy jest jasne, że osoby pracujące na wolności bywają kurierami zakazanych rzeczy, więc powrót do więzienia wiąże się z drobiazgową kontrolą.

– Jak wracam z pracy, to jest przeszukanie, przejście przez bramki, sprawdzenie butów, rozebranie się prawie do naga, skarpetki sprawdzają nawet. Potem wykrywacz metali.

Robert należy do tych, którzy twierdzą, że nic ich lepszego w więzieniu nie spotkało niż praca.

*

Podobno żeby tabelki z zatrudnieniem grały, potrzebna jest kreatywność. Do sprzątania wyznaczonych jest ośmiu, chociaż miotła jedna. W tabelce dla Warszawy będą ludzie, nie narzędzia pracy, nikt się nie dowie.

Podobno żeby tabelki z zatrudnieniem grały, praca przestała być nagrodą. Rynek pracownika się wytworzył, roszczenia coraz większe, liczba zdarzeń też – raz po raz, a to niepowrót, a to powrót, ale pod wpływem, a to przemyt jakiś przy okazji. Rosną słupki zatrudnienia, ale inne też, tyle że tych tabelek w raportach dotyczących programu „Praca dla więźniów” nikt nie umieszcza.

Piszę „podobno”, bo tylko w nieoficjalnych rozmowach o tym słyszałam. Te luźne wymiany zdań na temat pracy więźniów nabrały ciężaru po głośnym raporcie Najwyższej Izby Kontroli z 10 grudnia 2019 roku.

Marian Banaś został powołany na prezesa Najwyższej Izby Kontroli w sierpniu 2019 roku. Miesiąc później telewizja TVN wyemitowała materiał. Jakaś kamienica, jakieś prostytutki, jakieś miliony, jakiś nepotyzm. Rząd zaczął się od Banasia dystansować. Prezes NIK chciał burzę przeczekać na urlopie, ale gdy okazało się, że nie może liczyć na pomoc kolegów, wrócił. Obwieścił, że sprawy nie będzie komentował, bo mu nie wypada z uwagi na piastowany urząd, i wziął się do pracy. I to jest ten moment, kiedy sprawa zrobiła się ciekawa dla świata penitencjarnego. Na pierwszy ogień poszedł bowiem program „Praca dla więźniów”.

NIK badał działanie programu latem 2019 roku. Mniej więcej miesiąc przyglądali się inspektorzy funkcjonowaniu zakładów karnych i sformułowali na tej podstawie raport. Poprzedni prezes NIK Krzysztof Kwiatkowski znalazł w nim kilka sugestii dla Służby Więziennej. Zespół pracujący dla Banasia na podstawie tego samego raportu przygotował szesnaście zawiadomień do prokuratury w związku z narażeniem budżetu państwa na stratę 152 milionów zł. To już wiadomo, czemu nie ma podwyżek – komentowali funkcjonariusze aktywni na facebookowej stronie Służba Więzienna Okiem Klawisza.

Jak wynika z raportu NIK, pieniądze się rozeszły, bo hale przemysłowe pobudowane przy zakładach karnych, które miały być fundamentem programu „Praca dla więźniów”, były za bezcen wynajmowane przedsiębiorcom. W Zakładzie Karnym w Stargardzie ustalony czynsz był dwuipółkrotnie niższy od ceny rynkowej, w Czarnem trzykrotnie, a we Włocławku aż dziesięciokrotnie. Ponadto w części więzień nie było gwarancji dotyczących

zatrudniania osadzonych albo zakres ich zatrudniania był ograniczony. Prace realizowane dla zakładów powierzane były podmiotom prywatnym wyłanianym w procedurze prostej, ale za to niejasnej – oficjalnie po to, by ułatwić współpracę z biznesem. NIK stwierdził też nierzetelne sprawowanie przez zamawiających nadzoru nad realizacją umów.

O ile takie ogólne zarzuty, nawet podparte liczbami, mogą słabo przemawiać do wyobraźni, o tyle konkretny przykład pomaga zrozumieć, co tu się właściwie działo.

Kilka rurek, kilka płyt, wykopany dół, kupa śmiechu. Tak wygląda tor, na którym w Ośrodku Służby Więziennej w Kaliszu mieli się szkolić funkcjonariusze. Wybudowany w 2018 roku, póki co nieużywany, pochłonął prawie 370 tysięcy zł. Biegły NIK orzekł, że to o 300 tysięcy za dużo. Byłoby pewnie taniej, gdyby inwestycję zrealizowali osadzeni, zwłaszcza że był to element programu „Praca dla więźniów", jednak wykonawca prawie wszystkie prace zlecił firmom zewnętrznym. „Mechanizm korupcjogenny" – stwierdził NIK.

Program „Praca dla więźniów" to duma i radość byłego wiceministra sprawiedliwości Patryka Jakiego, który się nawet doktoryzował z więziennictwa. Zarzuty NIK uznał on za „śmieszne i typowo polityczne". Jaki widział konieczność usunięcia prezesa NIK ze stanowiska, ale bez komisji śledczych i nadmiernego zaangażowania w wyjaśnianie tych śmiesznych zarzutów. Były rzecznik ministra sprawiedliwości Jan Kanthak porównał Jakiego do Kazimierza Wielkiego – zastał Służbę Więzienną drewnianą, zostawił murowaną[6]. Resort zupełnie na poważnie poinformował, że „formułowane przez NIK pod kierownictwem nowego prezesa Mariana Banasia zarzuty są bezpodstawne", ale też dwa dni później zwolnił komendanta Ośrodka SW w Kaliszu[7].

„Program »Praca dla więźniów« jest ogromnym sukcesem" – obwieściło Ministerstwo Sprawiedliwości. Dalej są liczby: „[Program]

pozwolił zwiększyć zatrudnienie do 83 procent skazanych zdolnych do pracy. W 2015 r. zatrudnionych było 24 tysięcy więźniów, a dziś – ponad 37 tysięcy. To przedsięwzięcie bez precedensu w historii polskiego więziennictwa. Nigdy w historii III RP nie pracowało tylu skazanych”[8].

– Zarzuty NIK i ich upublicznienie to dla nas niezrozumiała sprawa – mówi mi anonimowo funkcjonariuszka z dwudziestoletnim stażem. Żeby nie było – program jej zdaniem ma sporo minusów. Jest znaczącym obciążeniem dla kadry penitencjarnej – doszło razem z nim mnóstwo roboty. Jest też kłopotliwy w realizacji, bo wiele kontraktów wiąże się ze sporymi oczekiwaniami biznesu, na przykład pod względem liczby oddelegowanych do pracy osadzonych. Jeśli praca odbywa się daleko od zakładu karnego, nie można do niej wyznaczyć osadzonych, którzy bramę więzienia mogliby przekroczyć tylko w konwoju. – Jesteśmy odpowiedzialni za takie decyzje. Obawiamy się, że skazany wykorzysta sytuację i nie wróci do więzienia po pracy. Trudno tu o zaufanie, wiele może się wydarzyć, a później winą obarcza się nas – tych, którzy skierowali więźniów do pracy. Jesteśmy więc ostrożni.

Rozwiązaniem są hale produkcyjne w więzieniach lub ich bezpośrednim pobliżu. Tam pracować mogą nawet osoby z największymi wyrokami. Jest ich już trzydzieści, wylicza moja rozmówczyni, a może być więcej, bo dyrektorzy zabiegają o możliwość i środki na ich wybudowanie.

Kolejna dyskusyjna – zdaniem psycholożki więziennej, której też zależy na anonimowości – kwestia: kodeks pracy. Osadzeni pracujący w więzieniu nie mają właściwie żadnych kodeksowych praw.

– To jest pole do nadużyć i traktowania osadzonych jak taniej siły roboczej, na przykład po dwanaście godzin na dobę, bo w sumie nic tego nie reguluje – mówi. I tu dochodzimy do innych nadużyć – tych, które pojawiły się w raporcie NIK. Skandaliczne stawki i niejasne

przetargi, które mają zainteresować biznes współpracą z więzieniami.

– Czynsze dla dzierżawców są niskie, bo nie ma dużego zainteresowania otwarciem produkcji za murami, kratami, z dużą fluktuacją kadry o niskich kwalifikacjach – tłumaczy funkcjonariuszka. – Zamieszanie medialne wokół raportu NIK może zniechęcać kontrahentów jeszcze bardziej, bo po co takie kłopoty? Pieniądze pieniędzmi, tu chodzi też o wymiar resocjalizacyjny, tego się nie policzy złotówkami.

– Zatrudnienie jest cenne szczególnie dla osadzonych pochodzących z patologii, bez wzorców pracy w domu, często kończących edukację na szkole podstawowej czy gimnazjum. Zyskują fach, który będą mogli wykorzystać na wolności, wdrażają się w systematyczność, uczą odpowiedzialności. Zarabiają pieniądze, z którymi łatwiej im zacząć życie na wolności – mówi więzienna psycholożka. – Może jak sobie taki recydywista przekalkuluje, że na wolności za taką pracę dostanie więcej niż tu, to w końcu wyjdzie i nie wróci, bo mu się nie będzie opłacało?

[5] *Dzięki programowi „Praca dla więźniów" zatrudnienie skazanych stale wzrasta*, https://www.sw.gov.pl/aktualnosc/centralny-zarzad-sluzby-wieziennej-dzieki-programowi-praca-dla-wiezniow-zatrudnienie-skazanych-stale-wzrasta (dostęp: 28.02.2020).

[6] *„Nie widzę zwiastunów wojny". Kanthak o zapowiedziach szefa NIK, że opublikuje raporty,* Polsat News, https://www.polsatnews.pl/wiadomosc/2019–12–10/graffiti-jan-kanthak-solidarna-polska/ (dostęp: 28.02.2020).

[7] *Bezpodstawne zarzuty NIK wobec wprowadzonego z sukcesem programu „Praca dla więźniów"*, GOV.pl, https://www.gov.pl/web/sprawiedliwosc/bezpodstawne-zarzuty-nik-wobec-wprowadzonego-z-sukcesem-programu-praca-dla-wiezniow (dostęp: 28.02.2020).

[8] Tamże.

Bibliotekarze

Art. 136. § 3. Do wykonywania zadań związanych z zajęciami kulturalno-oświatowymi, z zakresu kultury fizycznej i sportu, dyrektor zakładu karnego może wyznaczyć skazanych wyróżniających się wzorową postawą i zachowaniem.

Plątanina korytarzy obwieszonych plakatami z jasnym przesłaniem: nie marnuj życia, pamiętaj o rodzinie, nigdy nie jest za późno na zmianę. Kraty, schody, kraty, kraty, a na końcu biblioteka.

W każdej bibliotece pachnie tak samo, w każdej wpadające przez okno światło ujawnia drobinki kurzu wirujące w powietrzu.

Cisza, czterech siedzących mężczyzn w okolicach sześćdziesiątki, przed każdym z nich rozpostarta płachta gazety. Józef, Roman, Mariusz i Marian. Kiedy weszliśmy z wychowawcą, poderwali się z krzeseł. Józef, wzruszając ramionami, skomentuje liczbę pracowników: – No może i za dużo nas tu, ale dopóki nikomu to nie przeszkadza…

Roman uważa, że biblioteka to jest najlepsza miejscówka. Wymienia zalety: bliskość książek, które uwielbia. Dobre towarzystwo i atmosferę. Satysfakcję, bo robi się coś dla kogoś. Roman ma chory kręgosłup, miał już operowaną jedną przepuklinę i powinien mieć operowaną drugą, jego prawa ręka nie jest do końca sprawna, a więc mógłby jechać na rehabilitację do Gdańska, ale nie jedzie, bo boi się, że straci tę pracę. Wie, że w Gdańsku byłoby

fajnie, bo już raz był, ale wtedy nie miał biblioteki. – Dyrektor zapytał mnie, czy chciałbym pracować, to powiedziałem, że chcę. W bibliotece? No jasne, marzyłem o tym.

W 2018 roku osadzeni wypożyczyli w więziennych bibliotekach 717 732 książki, co oznacza średnio dziesięć na osobę. – Ale czyta mniej więcej połowa – zauważa ze smutkiem Józef, po czym zgadza się ze mną, że to i tak lepiej niż na wolności. Wiem od Romana, że ze dwa tysiące tytułów prasowych mają, nawet „Playboya". Oprócz tej w Iławie, w której właśnie jesteśmy, w Polsce jest jeszcze 145 więziennych bibliotek, we wszystkich łącznie prawie 1,5 miliona książek. – Bibliotekę mamy, jaką mamy. Wychowawca co roku dostaje jakieś małe pieniądze na zakupy, konsultuje się z nami i uwzględnia nasze sugestie, ale generalnie księgozbiór jest dość stary – mówi Józef.

Kiedy pytam o książki przekazywane w darze przez szkoły czy inne instytucje, przewraca tylko oczami – więcej z tym kłopotu, niż to wszystko warte. Wartościowy jest klub książki – raz w miesiącu dziesięciu osadzonych spotyka się z panią z biblioteki miejskiej, żeby porozmawiać o zadanej lekturze. Przy okazji mogą zamówić coś do czytania z miejskich zasobów, bogatszych niż więzienne.

Na każdym oddziale iławskiego więzienia dostępny jest katalog biblioteki. Więźniowie mogą go przejrzeć i wynotować interesujące tytuły. Kartki z zamówieniami zbiera pracownik biblioteki lub ktoś, kto z danego oddziału wychodzi do jakiejkolwiek pracy, a więc porusza się po terenie zakładu swobodniej niż osadzeni, którzy opuszczają cele tylko na godzinę spaceru. Biblioteka raz na dwa tygodnie roznosi zamówienia. W lutym 2020 roku najbardziej pożądane i najczęściej czytane w iławskim więzieniu książki to trylogia Blanki Lipińskiej, erotyczne powieści bijące rekordy popularności również po drugiej stronie muru. Na kolejnych pozycjach *Gra o tron* Martina, *Miłość leczy rany* oraz *Miłość pokonuje śmierć* Katarzyny Bondy, *Mróz*,

Wiatr, *Upał* Ciszewskiego, *Behawiorysta* Mroza i powieści Grishama, Mastertona.

– Nie zawsze dostanie się książkę, którą by się chciało, może być akurat wypożyczona. Czasem dajemy coś w ramach zastępstwa. Staramy się, ale bywają potem pytania: co ty mi przyniosłeś?! Niektórzy na kartce piszą dwa tytuły, a żadnego nie ma. Lepiej napisać dziesięć, a nawet dwadzieścia, coś będzie na pewno – radzi Józef, który na swojej pierwszej kartce do biblioteki w Iławie wypisał sto pięćdziesiąt tytułów. Wcześniej był w zakładzie w Łodzi, a tam obowiązywał inny system – czytelnicy wypisywali wszystkie interesujące książki, a biblioteka trzymała kartkę i stopniowo dostarczała kolejne pozycje. Jak tu dostali tę listę stu pięćdziesięciu książek, to trzy razy pytali, czy na pewno.

Józef szuka w książkach ucieczki: – Człowiek z innego środowiska trafia do takiej celi na przykład sześcioosobowej. Jeden chce oglądać telewizję, drugi słuchać radia, trzeci coś innego. Nie daj Boże jeszcze – a przeważnie tak było – w tej telewizji *Dlaczego ja*, *Dlaczego ty*. Przecież tego się nie da słuchać cały dzień. Szału można dostać. I disco polo. W kółko. – Józef mówi, że stopery nie działają i tylko książka pomaga się wyłączyć, choć trzeba się tego wyłączania nauczyć.

Innym problemem jest prąd, na którym zakłady karne oszczędzają. Górne światło jest do dziesiątej. Telewizor działa do jedenastej w zwykłe dni, w weekendy do pierwszej w nocy. – Teraz mam już lampkę i jestem niezależny od górnego światła – mówi Józef.

Jest z nami wychowawca, udaje pogrążonego w lekturze. Udaje, bo komentuje niektóre wypowiedzi więźniów. Coś wyjaśnia, coś prostuje. Mimo wszystko na koniec dnia ponad połowa antologii *Obrażenia. Pobici z Polską* za nim. Rozmawiamy w niewielkim pomieszczeniu, w którym kiedyś było radio – zostały po nim

wygłuszenia na ścianach i suficie. Pod ścianą stoi keyboard, ktoś tu czasem gra, więc te warunki akustyczne tak całkiem się nie marnują. Dwa fotele, między nimi szafka pełniąca funkcję stolika. Wychowawca donosi sobie krzesło, potem wychodzi po książkę. Podczas tych jego wędrówek Józef mówi mi, że w obecności takiego świadka nie będziemy szczerze rozmawiać. – Nigdy nie dowie się pani, jak jest naprawdę, jeśli funkcjonariusz będzie słuchał. – Mężczyzna ma szczupłe dłonie, którymi gestykuluje z gracją. Nawet w więziennych niebieskich ogrodniczkach na kraciastej koszuli prezentuje się bardzo elegancko, kiedy zakłada nogę na nogę i długimi palcami stuka w blat, by zaakcentować kluczowe słowa.

– Najpierw wróciłem do książek, które już znałem. *Układ* Kazana, potem *Stąd do wieczności*. *Ojca Chrzestnego* też przeczytałem. – Józef zanosi się chichotem, wspominając ostatnią pozycję. – Teraz dużo książek czytam nowych. Unikam kryminałów, książek lekkich i przyjemnych. Czasem coś biorę, żeby odpocząć od ciężkich, *Stu lat samotności* czy naszego Pilcha. Cenię takie książki, nad którymi trzeba się skupić. Ludzie nie lubią opisów, bo po co tyle kartek marnować na coś, co można dwoma słowami pokazać. Nie, no właśnie nie. – Stuka z mocą w blat szafki.

Książki o religiach – różnych. Józef przeczytał wszystko, co było dostępne w więziennych zasobach, żeby zdecydować, czy wierzy. Ostatecznie uznał, że wierzy. Od tej pory nie wchodzi w religijne dyskusje. Wiadomo, że pytanie o zmartwychwstanie przegrywa z rozumem i nauką, ale jak ktoś wierzy, to wierzy i nie poddaje się dyktatowi rozumu. Mimo że zdecydował się wierzyć, Józef nie przełamał się do czynnego uczestnictwa w życiu religijnym więzienia. Ma uraz z placówki, w której był, zanim został przekierowany do Iławy. Dwa razy poszedł na mszę i zrezygnował. Tu Józef zamaszystym ruchem dłoni zakreśla na stojącej między nami szafce dwie linie. To dwa rzędy ławek. W pierwszym, tłumaczy, siedzi

dwóch grypsujących, w drugim – tłoczy się trzydziestu niegrypsujących. Grzmi:

– Na mszy?! To jest wiara chrześcijańska? Wszyscy jesteśmy równi i na mszy to powinno być widoczne.

(Później wychowawca powie mi, że w Iławie jest inaczej. Wszyscy siedzą razem, grypsujący obok niegrypsujących).

Aktywności religijne to nie tylko udział we mszy, ale też dyskusje, w których Józef nie bierze udziału, bo się do nich nie nadaje – jego skłonność do bycia w kontrze powoduje nerwowość wszystkich zainteresowanych.

– Nie wchodzę w takie teoretyczne rozważania, nie chcę powiedzieć, że głupie, ale jak ktoś potem chodzi z wahadełkiem albo kamieniami uzdrawia…

Wychowawca dyskretnie parska nad książką, gdy Józef opowiada o więziennych modach.

– To są takie fale. Coś odkryją, na coś wpadną i potem ta fala idzie, taka fala nawiedzenia. Jakieś moce nadprzyrodzone na przykład. U nas pół oddziału chodziło z wahadełkami. Leczyli się na korytarzu dłońmi, ja myślałem, że się posikam…

Obaj z wychowawcą ocierają łzy uciechy i ściszają głosy, bo możliwe, że któryś Kaszpirowski podsłuchuje. Taki wywiad to w więzieniu wydarzenie i budzi ciekawość. Józef uspokaja się i kończy: – Czasem człowiek jest po prostu mądry i zarabia na tym. Nie wiem nawet, czy naprawdę wierzy, czy tylko dobrze sprzedaje. Skoro umie tak wykorzystać swoje zdolności, jeśli ktoś mu chce płacić za uzdrowienie, to dobrze. Sam miałem w ręku książkę o uzdrawiającej mocy różnych kamieni. Ja się nie chcę kamieniami leczyć, nie jest mi to potrzebne, ale jak ktoś chce w to wierzyć, niech sobie wierzy.

Długo przekonywał się do książek o miłości. – Nie mogłem tego wziąć do ręki, przełamałem się po trzech–czterech latach. Było to

związane z tym, dlaczego tu jestem. Stendhal, stare romanse, *Anna Karenina*. Nie mogłem wziąć do ręki *Mistrza i Małgorzaty*, bo Małgorzata… No ale to już minęło. Przełamałem się.

Roman, drobny brunet, patrzy na mnie znad wiszących na końcu nosa okularów dalekowidza.

– Niektóre książki przeczytałem jeszcze raz, na przykład *Imię róży*. Do niektórych lubię wrócić, innych nie pamiętam, zlewają mi się. Jestem już na którejś stronie i nagle do mnie dociera, że ja to już czytałem. No ale taki jestem, że czytam dalej, nieraz gnioty muszę doczytać do końca. – Roman mówi, że wszyscy u niego w domu czytali: rodzice, żona, dzieci. – Telewizję mamy na celi, mamy konsolę. Film oglądam dla towarzystwa, ale sam z siebie to nie, programy mnie nie interesują. Wolę w tę książkę wejść. Bardziej się wyłączam z tego, co tu jest.

– Czytanie? Tak średnio – śmieje się Marian, trzeci więzień z biblioteki. Zamieniamy się miejscami, bo nie słyszy za dobrze na prawe ucho. Szeroka, pogodna twarz, jasne, wesołe oczy. Dodaje: – Chodzę do kościoła, stamtąd czasem biorę ładne, ciekawe książki.

W lipcu będzie drugi rok jego życia bibliotekarza. Wcześniej pracował w więziennym ambulatorium. Zmianę na bibliotekę ocenia dobrze, ale głównie dlatego, że wiązała się ze zmianą oddziału. Życie za kratami zaczął od zamku, czyli oddziału zamkniętego: ciasna cela, godzina spaceru. – Tam łatwo się poddać, konieczna jest samodyscyplina – mówi. To tam pracował w ambulatorium, sześć lat. Potem był półotwarty. Teraz – otwarty. Wychodzi do budynku kulturalno-oświatowego do pracy w bibliotece, cela jest otwarta od siódmej do dziewiętnastej, więc można pójść do kolegi lub kolega może przyjść, świetlica jest. Jest lżej. Na każdą taką zmianę trzeba tu jednak zasłużyć – podkreśla.

Mariusz nie ma czasu na czytanie: poza pracą w bibliotece jest też redaktorem więziennej gazetki, organizatorem konkursów

literackiego i plastycznego oraz pracuje nad scenariuszem teatralnym na temat świętego brata Alberta Chmielowskiego.

– Jest pan bardzo zajętym człowiekiem.

– No, dzięki Bogu tak, czas mam tu wypełniony intensywnie. Dzięki temu mogę tutaj zrobić coś pożytecznego.

Chociaż wszyscy moi rozmówcy są w zbliżonym wieku, Mariusz sprawia wrażenie znacznie młodszego od pozostałych. Jest też bardziej zdystansowany i ostrożny. – Ale on nic pani nie powiedział! – podsumował tę rozmowę z wyraźnym podziwem wychowawca, gdy zostaliśmy sami. Takie fakty.

Przyjechałam do Iławy, żeby porozmawiać z więźniami po pięćdziesiątym piątym roku życia. Osoby w tym wieku w warunkach więziennych można uznać za seniorów. Ogólnodostępne statystki dotyczące wieku więźniów w Polsce nie mają progu pięćdziesiąt pięć lat. Jest przedział wiekowy 49–60, a potem szeroka grupa 61+. Łącznie osoby powyżej czterdziestego dziewiątego roku życia stanowiły w 2018 roku 17 procent populacji więziennej.

Jeśli osoba w tym wieku odbywa karę odosobnienia, może być sprawcą najpoważniejszego przestępstwa z zasądzonym dożywociem, od wielu lat przebywającym w więzieniu. Może być także osobą, która nigdy nie przekroczyła tej ostatecznej granicy, ale której bogate doświadczenie kryminalne ułożyło się w wiele lat w odosobnieniu. Może być też tak, że więzienie przydarzyło się pierwszy raz dopiero w jesieni życia.

Jak u Józefa. Miał pięćdziesiąt trzy lata, gdy popełnił przestępstwo, o którym nie mówi wprost. Opowie mi o kłopotach rodzinnych, które zaczęły się, gdy miał pięćdziesiąt lat. Opowie o tym, jak po zdarzeniu wybiegł na ulicę, by policjantom z napotkanego radiowozu powiedzieć, co zrobił. Opowie o pierwszych chwilach w areszcie, gdy kazano mu klęczeć ze skrępowanymi rękami i głową na krześle.

Mówi, że policjanci prowokowali z nadzieją, że wybuchnie, ale nie wybuchł. – Popełniłem zbrodnię i zostałem odpowiednio potraktowany – mówi ze spokojem. Był rok 2013, dostał dwadzieścia pięć lat.

Mówi, że wie, że nie wyjdzie. Wylicza: tata, mama, znacznie młodszy brat. Wszyscy w jego rodzinie umierali na raka. Dlaczego on miałby dożyć osiemdziesiątki?

– Jak przyjdzie czas, to będzie trzeba odejść i nie ma żadnej tragedii. Długo mi zajęło, żeby podejść do tego bez żalu, ale się z tym pogodziłem. Nie rozmawiam o przyszłości, bo jej nie mam.

Jest ich tu więcej – tych, którzy prawdopodobnie nie doczekają końca wyroku. Nie rozmawiają o tym. Nie muszą, bo czują podobnie – twierdzi Józef.

– Ja może jestem bardziej zamknięty w sobie, nie lubię gadać o takich rzeczach. Nie rozmawiamy raczej o tym, co się wydarzyło, bo to każdy indywidualnie przeżywa. Jak byłem na dziale terapeutycznym, to bardzo dużo rozmawiałem z psychologami, tak jak teraz z panią. Bardzo dużo mi to pomogło, pomogło mi się uporać z tym wszystkim – mówi Roman.

Józefowi najtrudniej było pogodzić się z tym, że zostanie pochowany na jakimś przypadkowym miejskim czy wiejskim cmentarzu, w zapomnieniu. Stanie się tak, jeśli po jego śmierci nikt z zawiadomionej przez więzienie rodziny nie będzie zainteresowany odbiorem ciała i pogrzebem. Być może Józef nie ma rodziny, może ma, ale nie podał w więzieniu niczyich danych i nie podejrzewa, żeby udało się kogoś odnaleźć. Być może nie liczy na wybaczenie nawet po śmierci. Zapewnia, że i to przepracował, chociaż potrzebował na to kilku lat.

– We wcześniejszym życiu się z tym nie spotykałem. Ta sytuacja, to środowisko jest tak inne niż to, w którym przebywałem na wolności. Do tej pory jest to dla mnie… – Długo szuka słowa, w końcu mówi,

że nie chce przyjąć tego, gdzie jest. Nie chce tu zawierać znajomości. Tylko z niektórymi. Koleguje się z ludźmi wykształconymi, którzy bywali w świecie, z którymi może powspominać. Nie ma tu dużo takich osób. Na szczęście, bo lepiej, żeby takich ludzi tu nie było.

Jest Roman. On i Józef mieszkają razem. Ostatnio nawet wyjątkowo wygodnie, bo sami w trzyosobowej celi. Roman też ma ciągle przed oczami dawne życie. I też jest tu od 2013 roku. We wrześniu będzie sześć lat. Pół kary. Roman też mi nie powie wprost, za co.

– Jeśli będę do końca wyroku, to będę miał sześćdziesiąt sześć lat, jak wyjdę. Myślę o tym nieraz. Nie wyobrażam sobie. Męska linia mojej rodziny, mój tata i jego bracia, nie przekroczyli sześćdziesięciu pięciu lat. Zbliżam się do tej krytycznej liczby. Źle się nie czuję, staram się przeżyć ten trudny okres, a później zobaczymy.

O tym, co później, Roman mówi ostrożnie, bez optymizmu. To „później" rodzi pytanie: czy ktoś będzie czekał? Stara się pracować nad relacjami. Pisze listy do córki, przez kilka lat odpisywała, przysłała zdjęcia wnuków.

– Na ostatnie dwa czy trzy nie odpowiedziała – przypomina sobie. – Czekam, nie wiem, czy coś się wydarzyło? Mówią, że czas leczy rany, ale nie leczy. Pozwala zapomnieć.

Są i widzenia: brat przyjeżdża, kuzyni. Córki jeszcze nie było. Może jak Roman wyjdzie, to się zobaczą.

Polskie prawo daje człowiekowi drugą szansę: jeśli przez dziesięć lat po odbyciu wyroku nic się nie wydarzy, znowu ma czystą kartę. Gdyby Roman miał kilka lat temu dostarczyć zaświadczenie o niekaralności, uzyskałby je bez problemu, chociaż nie jest w więzieniu po raz pierwszy. Jak mówi, kiedy miał siedemnaście lat, zdarzyła mu się sprzeczka, z której wywiązała się szarpanina, w czasie której jego przeciwnikowi wypadł portfel. Roman zapewnia,

że to nie jego skusiło cudze mienie, ale to on trafił do Iławy za napad z rabunkiem. Cztery lata w więzieniu, a potem trzydzieści cztery lata bez mandatu nawet. Pracę znalazł, rodzinę założył, dzieci na studia wysłał.

– Starałem się, ale nie wyszło – mówi.

Iława wtedy, a teraz: postarzało się towarzystwo, kiedyś więcej było młodych ludzi. Przed laty jeden głośnik na celę, większy rygor – łatwiej było do izolatki trafić. Teraz można by długo wymieniać dostępny sprzęt, ale czy warto?

– Nie patrzę na to, że mam telewizor czy coś. Liczy się to, co się stało, i do końca życia się z tym nie pogodzę. Czekam do wyjścia, bo może coś się jeszcze ułoży na tej wolności. Żyję z dnia na dzień, nie przyglądam się temu. Rodziny brakuje. No i poczucie winy. Cały czas jest. Gaśnie światło i przychodzą te myśli. Po tym się chyba nie da dojść do siebie. To była najbliższa osoba.

Nigdy by nie uwierzył, że to możliwe. Że jest do tego zdolny. Do czego? Mówi, że nawet teraz, po latach, nie umie o tym mówić. Składam jego historię z kawałków.

Mówi, że nie pił, nie palił i nie używał. Że to była najnormalniejsza rodzina. Rodzina, w której zaczęło się psuć, ale wciąż myśleli, że uda się to naprawić. Raz, drugi, dziesiąty, ciągle. Córka mówiła, bo na studiach miała psychologię, że to toksyczna relacja i powinni dać sobie spokój. Może tak trzeba było zrobić, może potrzebna była pomoc z zewnątrz.

– Myśleliśmy, że poradzimy sobie. Najbardziej pokrzywdzone są dzieci.

Marian w więzieniu jest od 2010 roku.

– Najgorsze jest pierwsze pięć lat. No ale nie ma odwrotu i trzeba się starać jakoś to poukładać, żeby drugiemu nie przeszkadzać, żeby iść do przodu. Jeszcze trójeczka – mówi.

Kiedy wyjdzie, będzie miał siedemdziesiąt jeden lat. Mówi, że w więzieniu czuje się bardziej upływ czasu, szczególnie w jego wieku. Szkoda tych lat, człowiek nie jest coraz młodszy – wzdycha. Im bliżej końca, tym gorzej ze zdrowiem. Tymczasem na wolności umierają bliscy: matula odeszła, drugi rok będzie, kobitka odeszła – szósty rok będzie.

Co spowodowało, że Marian się tu znalazł – nie wiem. Wiem za to, że to pierwszy raz.

– Zdarzyło się, niestety. Człowiek czterdzieści lat jeździł tirami, za kółkiem, a tutaj takie… jedno nieszczęście przekreśliło całe życie.

Marian wychodzi na przepustki – uprawnienia uzyskał trzy lata temu. Podkreśla, że na to sobie trzeba zapracować. Pierwszy raz wyszedł, kiedy jego matka była w ciężkim stanie – wstawili się za Marianem psycholożka i kapelan, pojechał na siedem godzin.

– Spotkałem się z rodziną po sześciu latach. Tego się nie zapomni. Wszyscy się zjechali, ksiądz odprawił mszę. Potem były już przepustki po trzydzieści godzin. Jak wychodzę, to jadę do siostry, do jednej, do drugiej, mieszkanie swoje odwiedzić, działkę zobaczyć. Coś w domu chciałoby się porobić, a czasu mało. Najważniejsze, że jest kontakt z rodziną.

Marian chce już na wolność, chociaż nie ma sprecyzowanych planów. Mówi, że to będzie zaczynanie od zera, chociaż ma niezły start. Czekają dwie siostry i brat – na początku pewnie pomogą, ale mają swoje rodziny, sprawy, wnuki. Z plusów: mieszkanie jest, emerytura będzie. Może jakaś praca się znajdzie. – Nie boję się wyjścia – mówi z mocą.

Markotnieje, gdy pytam o dzieci: są, ale kontaktu od dawna nie ma. Jakoś w latach osiemdziesiątych to się rozwiało. Może spróbuje odbudować te relacje, może.

Mariusz jest w zamknięciu od szesnastu lat. Ile jeszcze? Trudno powiedzieć. Ma już prawo do ubiegania się o przedterminowe zwolnienie, ale wymaga to wsparcia Zakładu Karnego. Na razie więzienie nie podjęło starań w jego sprawie. Jak mówi, każdego dnia ma nadzieję i każdego dnia pracuje na dobrą opinię. Jeśli przyjdzie mu czekać do końca zasądzonej kary, spędzi w Iławie jeszcze kilka lat. Nie rozmawiamy o tym, co się stało. Mówimy o przepustkach, których jeszcze nie było.

– Odwiedziłbym rodziców, przyjeżdżają do mnie od szesnastu lat. Takie mam marzenie.

Wzorem dla Mariusza jest święty brat Albert Chmielowski. Malarz, który został zakonnikiem, by pomagać najbiedniejszym. Pierwszy raz Mariusz zetknął się z tą postacią jeszcze w Areszcie Śledczym w Gdańsku – kapelan zaprosił go do udziału w jasełkach, w których jedną z postaci był brat Albert. Mariusz uczestniczył też w pisaniu scenariusza sztuki. Później na konkurs sztuki więziennej organizowany w Sztumie wysłał swoją sztukę na temat Chmielowskiego. Teraz pracuje nad jej rozwinięciem, chce zaangażować artystów i narratora.

Jeszcze bardziej chce jednak wyjść z więzienia i iść ścieżką brata Alberta.

– Tak jak wcześniej chcę prowadzić działalność budowlaną, z tym że w warunkach pomocy, żeby angażować do pracy osoby, które potrzebują wsparcia. Bezdomnych na przykład. W moim mieście jest ich bardzo dużo. Zatrudniałem ich już wcześniej, ale chcę to robić na większą skalę. Chcę pomagać wyjść z bezdomności, pomóc też osobom po więzieniach, żeby mogli się zatrudnić, utrzymać i funkcjonować. Dużo jest takich osób, którym trzeba pomóc.

Zanim trafił do więzienia, nie interesował się sztuką ani teatrem. Mówi, że to paradoks więzień – w takim miejscu pojawia się natchnienie. Cud.

Razem z wychowawcą pracuje nad trzecią edycją konkursu literackiego. Jego zasady są proste: trzeba napisać wiersz będący odbiciem przeżyć wewnętrznych z więzienia lub z wolności. Z edycji na edycję rośnie liczba uczestników.

– To taka nasza działalność, wydobywanie talentów artystycznych i uwalnianie przeżyć wewnętrznych. Żeby człowiek nie został tu sam ze swoimi problemami, żeby mógł podzielić się nimi z innymi. To taka niszowa sztuka, ale bardzo cenna, bo jest w tych trudnych warunkach w więzieniu.

Mówi, że w warunkach więziennych człowiek bywa postawiony pod ścianą, a to przekłada się na przeżycia duchowe. Na każde pytanie odpowiada rzeczowo i wyczerpująco. Opowiada o inicjatywach, omawia obowiązujące procedury i zasady, przekazuje informacje. Jeśli temat wymaga bohatera, Mariusz powołuje anonimowego człowieka lub grupę, z którą się wyraźnie nie identyfikuje. Nie wpisuje siebie w szereg osadzonych, pozostaje niezależnym bytem, narratorem wszechwiedzącym, którego nie dotyczą opisywane zjawiska i zdarzenia.

Tak opowiada mi też o gazetce, „Blindzie". Ukazuje się co miesiąc lub dwa. Mniej więcej dwadzieścia stron, kolportaż na terenie Zakładu. Mariusz pokazuje najnowszą: artykuły historyczne obok psychologicznych, wieści z więzienia obok tych z wolności. Coś o sporcie, coś o samochodach. Jak mówi redaktor, treści takie jak artykuł o napędach hybrydowych to próba przybliżenia osadzonym obecnych realiów wolności, żeby nie byli bardzo do tyłu po wyjściu. Mariusz mi gazetę wręcza, a wychowawca po spotkaniu zabiera – bo ochrona danych osobowych.

Blinda to maskownica, którą montuje się w oknie celi, żeby więźniowie nie komunikowali się ze sobą. „Blinda" to maskownica, której używa Mariusz, żeby nie komunikować się ze mną.

Józef uważa, że wiek jest ważny, gdy chodzi o budowanie pozycji w więzieniu, i nie działa na korzyść seniorów. Ważne są też pieniądze i gangsterski dorobek, którego żaden z moich dzisiejszych bohaterów nie ma. Opowiada Józef:

– Jak osadzony ma pieniądze, dużą pomoc z domu, to nawet jak nie będzie szanowany, kupi sobie spokój. Temu kupi ciasto, temu papierosy i tak wyrabia sobie pozycję. Najgorzej jest, jak ktoś jest starszy i bez pomocy – jest przegrany od początku do końca, nic sobie nie załatwi. Ja nie mówię o Bóg wie czym, tylko o koleżeńskiej pomocy. Nie ma mowy, nic nie dostanie. No chyba że jest gangsterem, że grypsuje. Oni się trzymają razem, pomagają sobie.

Roman dodaje, że problemem wizerunkowym bywa też oddział, do którego więzień zostaje przypisany.

– Inni więźniowie inaczej odbierają tych z terapeutycznego: że degeneraci, debile, wariaci. Wcale tak nie jest. Po prostu miałem chwilę załamania, ale wyszedłem z tego.

Roman, gdy uświadomił sobie, co zrobił, próbował popełnić samobójstwo, przez co dostał skierowanie na oddział terapeutyczny. Józef trafił do więzienia w stanie głębokiego szoku, prosto do szpitala psychiatrycznego. Potem przenieśli go na oddział zamknięty do Iławy.

– Trafiłem do celi z człowiekiem, z którym tu się liczono. On mi dużo pomógł. Mieszkałem z nim, on mnie polubił, to ustawiło moje relacje z innymi.

Człowiek, z którym się liczono, oznacza tu osobę, o której powiązaniach wszyscy wiedzieli. Nie musiał nikomu nic opowiadać – jego znajomości z gangsterami z pierwszych stron gazet nie były tajemnicą. Jak coś powiedział na oddziale, to wszyscy go słuchali. Gdyby ktoś inny tak powiedział, to zareagowaliby śmiechem lub brzydkim słowem, ale on był grypsujący. Nawet jeśli na boku ktoś na niego psioczył, to nigdy w twarz.

Chociaż kłóci się to ze wszystkim, co wiadomo o grypsujących, ten akurat polubił świeżaka.

– On się mną zajął. Nie wiem, dlaczego to zrobił. Najpierw mieszkałem z nim, potem wziął mnie na celę trzyosobową z dwoma grypsującymi. Wszyscy się dziwili. Nigdy mu nie schlebiałem, mówiłem mu prawdę, nieraz się pokłóciliśmy. Nie kłóciliśmy się tak, że się nie odzywaliśmy, od razu wracaliśmy do normalności. Tematy polityczne i społeczne poruszaliśmy, był człowiekiem inteligentnym. Może dlatego lubił ze mną porozmawiać?

Przez kilka pierwszych lat pobytu w więzieniu Józef myślał głównie o śmierci. Nie widział sensu w dalszym życiu, tkwił w odrętwieniu, był skoncentrowany na tym, co się stało. Znajomość z celi zapewniła mu nie tylko spokój za kratami, ale też pomogła stanąć na nogi.

Czym można sobie zajmować czas w więzieniu, jeśli nie wybierze się zaangażowania kulturalnego jak Mariusz? Nawet bibliotekarzom książki nie wystarczą. Gdy ma się perspektywę ponad dwudziestu lat w zamknięciu, jak Józef, sprawa organizacji czasu wolnego staje się kluczowa.

– Wszyscy młodsi osadzeni przeważnie uprawiają tę kulturystykę, ciężary. Na każdym oddziale są ciężarki, przyrządy. Oni to robią chętnie, bo chętnie robią to ci wyżej postawieni gangsterzy i ci niżej postawieni naśladują. Kółko się zamyka, ale to jest dobre. Gorzej jest ze starszymi.

Józef po kilku latach otępienia zaczął biegać. W podstawówce miał osiągi w biegach na szczeblu krajowym.

– Od kiedy biegam, inaczej myślę. Co miałem przemyśleć przez te trzy czy pięć lat, już przemyślałem i dalej się tym nie zajmuję. Bolały mnie stawy, nawet w rękach, łokcie, a przez bieg wszystko się rozruszało, już nie boli. No i przede wszystkim: inaczej myślę, inna jest kondycja psychiczna. Ci, którzy machają tymi tonami żelastwa –

niech machają. Nawet minimalne uprawianie sportu w więzieniu jest bardzo ważne.

Poza bieganiem jest jeszcze angielski – kiedyś Józef znał język, dużo zapomniał. W więzieniu wypożyczył książki, przypomina sobie. Wie, że nigdy mu się to do niczego nie przyda, ale to dobre ćwiczenie szarych komórek.

– Mam takie porównanie: w pracy w komputerze wbijamy na przykład listę czytelników. Jak przyszedłem, to nie mogłem zapamiętać naraz imienia, nazwiska i imienia ojca więźnia. Musiałem kilka razy patrzeć, po kolei wbijać. W tej chwili raz czytam, od razu wbijam.

Janek z domu chorych

Art. 122. § 1. Przy kierowaniu do pracy uwzględnia się w miarę możliwości zawód, wykształcenie, zainteresowania i potrzeby osobiste skazanego.

Że zupa jest niesmaczna, pani Wanda stwierdza jeszcze przed spróbowaniem. Pierwsza łyżka tylko potwierdza przypuszczenia.

– Czemu ta zupa taka kwaśna?

– My dajemy to, co kuchnia robi, kochana. Tam szefa trzeba pytać.

Salowa zostawia drugie danie i wychodzi.

– Rozmawiałyśmy o wolontariuszach.

– No właśnie. Zgrzeszyłabym, jakbym coś złego o nich powiedziała.

Pani Wanda ma dziewięćdziesiąt trzy lata. Na pobyt w siedleckim Domu Opieki Społecznej zrzuca się z dziećmi. Dzieci i wnuki robią kariery w Warszawie, o czym pani Wanda opowiada chętniej niż o swoim życiu w Siedlcach. Skoro jednak ma być o wolontariuszach, to będzie. Poprawia się na łóżku, przesuwa korale na szyi, szuka w pamięci.

Czekałam, aż się obudzi, aż zje, aż usłyszy. Pani Wandzie nakładają się na siebie czasy, miejsca, twarze. Zaczyna o Domu, kończy gdzieś daleko, pięćdziesiąt lat wcześniej. Bo co jest teraz? Łóżko, wózek, telewizor. – To nie po mojemu – wzdycha. Ale tak, wolontariusze.

Wie, że ci chłopcy są z zakładu karnego. Czy miała jakieś obawy w związku z tym? Ależ skąd. Czy pytała ich kiedyś, za co trafili do

więzienia?

– Wiadomo, że oni za cichy chód nie siedzą, ale takiego wyrafinowanego zbója bandyty to ja tu nie widziałam. Handel narkotykami, proszę pani. Albo dał komuś raz, a dobrze.

Według pani Wandy mają wyczucie, są usłużni i pracowici. Ta pracowitość sprawia, że są w ciągłym ruchu, przez co pani Wandzie trudno jest zapamiętać twarze czy imiona. Lepiej z pamięcią u Ani, która mieszka naprzeciwko.

Przechodząc od jednej pani do drugiej, na korytarzu spotykam Janka, który pyta, czy nie jestem głodna, bo jeśli tak, talerz zupy zawsze się dla mnie znajdzie. Nie jestem.

Ania to jest inny świat, ale żeby to zrozumieć, trzeba stanąć w progu siedleckiej placówki. Widać stąd jej mieszkańców. O kulach, na wózkach, drepczą w hallu, przysiadają, pojedynczo, parami, trójkami, rozmawiają, czekają. Tu zawsze się na coś czeka, teraz na mszę, a potem na występy młodzieży, która przyjedzie razem z jedną z firm fundujących świąteczne paczki dla seniorów, w końcu za tydzień święta. Ci, którzy kręcą się w hallu i na korytarzach, to zdecydowana mniejszość. Pozostałych widzę przez otwarte drzwi pokoi, gdzieś w hałdach białej pościeli. Leżą, często śpią, rzadziej oglądają telewizję. A pokój Ani to mieszkanie, a nie szpitalna sala. Radio gra przeboje, a ona siedzi przy stoliku i ozdabia bombkę.

Ania jest młoda, krótko ostrzyżona, bardzo ładna i bardzo tu nie pasuje. Mieszka w Domu od sześciu lat, sama ma może trzydzieści.

– Ja jestem totalnie zaskoczona, jacy oni są oddani. Czasem prosimy o coś panią opiekunkę, a ona potrafi powiedzieć: nie teraz, nie mam czasu. Od chłopców nigdy nie usłyszałam, że nie teraz.

Ania opowiada o małych trudnościach codzienności: że coś z szafy trzeba wyjąć, stolik przestawić, do lekarza się przygotować.

O osadzonych nie mówi się tu inaczej niż chłopcy albo wolontariusze. Więźniowie – tak mówią tylko pracownicy ośrodka. Tylko czasami, bo nie jest to dobrze odbierane przez mieszkańców. Poza chłopcami w Domu bywają też wolontariusze z miasta, jednak oni tylko zabiorą kogoś na spacer, porozmawiają, książkę poczytają. Zmienić pampersa potrafi jeden. Z więzienia – wszyscy. Cokolwiek trzeba zrobić przy mieszkańcach – potrafią i robią.

– Nigdy nie byłam świadkiem, by chłopcy kłócili się między sobą czy z kimś, chociaż pracownicy potrafią przegiąć. Każdy ma swoją wytrzymałość i nie można nikogo zajechać, a oni czasem po prostu wrzucają zadania bez końca. Chłopcy zawsze grzecznie.

Janek – ten, który chciał nalać mi zupy – temat grzeczności widzi inaczej. Mówi, że praca w Domu przekreśliła nauki wyniesione z dzieciństwa: że do starszych osób to tylko proszę pani, proszę pana, bardzo proszę.

– Tu tak nie można. Dzieci są lepsze niż ci ludzie. Tu trzeba grzecznie, ale stanowczo. W dobrym tego słowa znaczeniu trzeba ludzi zmuszać, żeby wykonywali jak najwięcej ruchów. Wielu chciałoby położyć się i czekać na śmierć. Ubierz mnie, ogól mnie, przewiń mnie. A tak nie można. Stanowczo, ale grzecznie trzeba zmusić: sam się ogól, sam się umyj.

Janka spotykam w administracji, właśnie przyszedł do pracy i dowiedział się, że chcę z nim porozmawiać. Idziemy na piętro do świetlicy. Przejście z Jankiem korytarzami ośrodka wygląda zupełnie inaczej niż moje samotne spacery tam. W przelocie zagląda do pokoi, wita się z pielęgniarkami, do kogoś zawoła „Królowo!”, komuś obiecuje, że niedługo przyjdzie. Gdy my zaczynamy rozmawiać, pracownicy ośrodka mają odprawę, a na korytarzu rozlega się przenikliwe wołanie, które potrwa dobre pół godziny: „Proszę pani! Pani!”. Nie wiem, czy woła mężczyzna, czy kobieta. Słucham głosu

z korytarza uważniej niż Janka. Słyszę, że wołającą osobę ktoś uspokaja, że pani ma zebranie, ale zaraz przyjdzie.

Janek mówi, że do Domu trzeba się przyzwyczaić.

– Do starszych ludzi, do zapachu, do tego, co trzeba tu zrobić. W innych miejscach płacą, więc stoją z batem: pracuj, pracuj, pracuj. Do tego też trzeba się przyzwyczaić. W DPS-ach czy hospicjach jest inaczej, nie płacą, z batem nikt nie stoi, więc wydaje się, że to łatwa praca.

Wołanie z korytarza nie ustaje. Na „Pani!", w którym wydłużone w nieskończoność są wszystkie samogłoski, nakładają się odgłosy mszy.

– To jest bardzo ciężka praca. Trzeba ludzi wysłuchać, zrozumieć, trzeba wiedzieć, jak z nimi rozmawiać. Jest mało ludzi do pracy, cztery opiekunki na ponad sto osób i te ponad sto osób trzeba najczęściej co półtorej godziny przekręcić. Czy pani wie, co to znaczy? Z boku na plecy, z pleców na drugi bok i tak dalej, bo nie może za długo leżeć bez ruchu. Osoby nieaktywne trzeba na wózek posadzić i zaprowadzić na antresolę, wymienić podkłady, wymienić pieluchy. Śniadanie – trzeba nakarmić. Obiad – to samo.

Ania mówi, że mieszkańcy, gdy muszą poprosić o pomoc, wolą zwrócić się do chłopców, nie tylko dlatego, że oni nie odmawiają. Mężczyźni – twierdzi Ania – czują się często skrępowani, gdy zajmuje się nimi kobieta, a na innych panów niż wolontariusze z więzienia w takim zakresie liczyć nie można.

Janek ma zastrzeżenie:

– Ja na przykład przyjąłem taką zasadę, że jak kąpię mężczyznę, to mówię od razu: nie umyję ci tyłka, fiuta, za przeproszeniem, i jajec. Dostanie ode mnie gąbkę, ja mu tę gąbkę namydlę, ale musi sam to wykonać. Bo raz, że jestem z więzienia i nie przystoi mi, żebym to robił. A dwa, że to jest jedyna jego aktywność i jak tego nie zrobi, to cały dzień nic nie zrobi.

Anię zaskakuje, z jaką łatwością chłopcy adaptują się do warunków Domu. Z jaką pokorą znoszą chociażby zapach. Nigdy nie słyszała słowa skargi. O zapachu Janek mówi, że jest: starości i choroby. Bywało gorzej. Jedna pacjentka nie zgadzała się na amputację nogi, która jej gniła. Całe piętro śmierdziało. Przyzwyczaił się. W Domu są osoby starsze i chore psychosomatycznie, czyli takie, których fizyczne niedomaganie ma związek z psychiką. Często te dwie sprawy występują jednocześnie. Starości towarzyszy demencja, zaburzenia psychiczne, alzheimer. Od Janka słyszałam o kłótniach. Czasami wyszukują sobie problemy tam, gdzie ich nie ma. Śmieszne sprawy, a im podnoszą ciśnienie, przeżywają to potem. Ty komuch jesteś, ty ubek, ty esbek. Jakieś stare sprawy. Trzeba ich pogodzić, a nie tylko wejść i rozgonić towarzystwo, przecież oni potem mają jakoś razem na tej stołówce siedzieć.

Ania opowiada o sąsiedzie zza ściany, który potrafi krzyczeć i dzwonić dzwonkiem całymi dniami i nocami, i nieraz bił opiekunki. Zdarza mu się przyłożyć znienacka, bo na przykład sznurowadło jest zawiązane w złą stronę.

– Uwielbiam, jak idzie do niego Janek i mówi: „Panie Darku, ale panie Darku, proszę nie krzyczeć, bardzo proszę nie dzwonić tym dzwonkiem, ja wszystko zrobię, co pan chce”. On go załatwia uprzejmością i ten człowiek po prostu głupieje. Janek tymczasem wszystko przy nim robi, sadza na wózek czy kładzie do łóżka, pogada do niego i on się uspokaja. Janek jest dobrze zbudowany, nigdy nie musi stosować siły, cały czas spokój. Grzecznością, uprzejmością kładzie faceta na łopatki. Czasami płaczemy ze śmiechu, jak tego słuchamy.

Ania mieszka tu z mężem. – Wspaniały człowiek! – mówi o nim pani Wanda. Podejrzewa, że jest po wypadku, chodzi z laską. Ania opowiada o padaczce:

– Któregoś dnia mąż miał atak, a on ma bardzo silne ataki, takie z utratą przytomności. Kto był pierwszy do ratowania mojego męża? Chłopcy! Byłam w szoku, bo myślałam, że nie będą wiedzieli, co trzeba zrobić, a oni od razu na boku w pozycji bezpiecznej, łyżka w zęby. Teraz się tego podobno już nie praktykuje, ale i tak dzięki temu Marek nie odniósł większych szkód, a upadł w łazience. Byli z nim do przyjazdu karetki. Pracownicy przyszli później, bo część była na raporcie, część czymś zajęta.

Janek mówił mi o Ani, że to taka dziewczyna, która wyszukuje sobie męskie fryzury w Internecie, a on ją strzyże. Janek nauczył się strzyc w więzieniu. Swoją aktualną, siedmioletnią odsiadkę zaczął w Sztumie, najcięższym – jak mówi – zakładzie w Polsce. Tam został fryzjerem i tam też rozpoczął żmudne starania o dobrą ocenę: w przypadku fryzjera polega to na tym, żeby nie przekazywać rozmów, nie robić przenosów. Mówi, że nie robił.

Z opowieści Janka wynika, że więzienną rzeczywistość poznaje trochę przez przypadek, a trochę za niewinność. Wspomina o czasach głośnych procesów, gdy poważnych przestępców puszczano wolno, a ich żołnierzy wsadzano na osiem lat. Chwilami coś się w jego historii nie składa, jak choćby wtedy, gdy mówi, że pierwszy raz siedział rok, teraz siedem lat, a przez te odsiadki, sankcje i inne takie nie był w domu na święta od dwunastu lat. Zastanawiam się, na ile gorliwie mieszkańcy Domu wnikają w taką matematykę.

Ania: – Ja ich o to pytam, nie mam żadnych oporów. Oni mnie zagadują o moją chorobę, jak ostatnio: jedziemy razem windą i pytają, na co choruję, dlaczego mam takie krzywe nogi. Mnie to nie przeszkadza, otwarcie mówię, żartuję na ten temat, ale za to ja ich pytam o więzienie. Za co siedzą, jak tam jest. Jak rozmawiam z tymi chłopakami, to wiem, że trafili do więzienia, bo na przykład zamordowali kogoś. Ale wiem też, że niektórzy z nich mieli naprawdę

bardzo ciężkie dzieciństwo, naprawdę trudne życie. Opowiadają mi o tym w miarę chęci i możliwości. Wiadomo, że nie można nikogo przyciskać.

Nie przyciskam Janka. On zresztą narzeka, że nie wszyscy mieszkańcy znają umiar. Nie brakuje głupich pytań, jak choćby o to, jak sobie w więzieniu radzi bez dziewczyny. Janek ma dwoje dzieci z dwiema kobietami, co oznacza sporo problemów, więc panie w jego opowieści to raczej źródło frustracji i rozczarowania niż obiekty tęsknot i nadziei. Podejrzenia wobec mężczyzny odbywającego karę odosobnienia są jednak jakie są, również w Domu. Ani mąż na przykład był o Janka zazdrosny, na szczęście już to sobie wyjaśnili.

W Domu przeważają staruszkowie. Młodych ludzi takich jak Ania jest kilkoro. Chłopcy to dla nich cenna odmiana towarzyska: można porozmawiać, pożartować z kimś w swoim wieku. Dla Janka młodzi ludzie w Domu to zjawisko trudne do zrozumienia i zaakceptowania. O Sylwii opowiadali mi oboje.

Janek: – Sylwia, młoda dziewczyna, zainteresowania swoje miała, komputery i Internet, ale miała też całkowity zanik mięśni. Któregoś razu przyszedłem i słyszę, że zmarła przy kolacji. Jak przy kolacji, pytam, przecież obiad normalnie zjadła? Obiad normalnie, ale jak jadła kolację, to opadła jej głowa, nie mogła jej podnieść i się udusiła. Tak ją choroba załatwiła, nie można mieć do nikogo pretensji.

Chłopcy chodzili jak struci – opowiada Ania. Nie mogli uwierzyć, że ktoś tak młody po prostu umarł. Widać było, że przeżywają żałobę. Oni się z Sylwią bardzo zżyli, często do niej zaglądali, pogadali, pośmieli się. Dla nich to był wstrząs i szok.

Dla Janka nie była to pierwsza śmierć w Domu. Tę pierwszą też dobrze zapamiętał.

– Przyszedłem do pracy i pytam, czy dziś tego pana golę, a dziewczyny mówią, że nie, bo zmarł, ale jeszcze go nie zabrali. Mówię: co wy gadacie? Wchodzę do pokoju. Faktycznie, zmarł, przykryty leży. Wchodzę do pokoju socjalnego, a one rozmawiają, że jak przyjadą z prosektorium, to pościel zabieramy do wyparzenia, łóżko ortopedyczne do tego pokoju, tu wjeżdża normalne łóżko, na to łóżko wchodzi ten pacjent. Myślę, że kurde, zmarł facet, a one gadają tylko o tym, że dziś na jego łóżku będzie spał następny. Jak tak można?

Teraz wie, że inaczej się nie da. Ania mówi, że tu się nie da nie współczuć, nie można się nie zmienić. I że chłopcy zmieniają się tylko na lepsze. Opowiada o świątecznych paczkach dla chłopców, których przygotowanie wymusili na dyrekcji mieszkańcy. Dom kupił kosmetyki, a mieszkańcy dorzucali do tego coś od siebie: słodycze, maszynki do golenia. Janek opowiada o innych nagrodach za swoją pracę:

– Idę do tej pracy trzy czy cztery kilometry. Wychodzę z Zakładu Karnego i idę, to jest mój czas. Idę, myślę. Ograniczony jestem, wiadomo, mam wyliczone: o tej wychodzę, o tej mam dojść. Nie wiadomo czego to ja w tym czasie nie zrobię, ale idę sobie przez miasto wśród ludzi. Dlaczego jeszcze nie chciałbym zmieniać pracy? Mimo że jestem więźniem siódmy rok i każde pieniądze się przydadzą, bo rodzina utrzymuje, a ile można utrzymywać? Przychodzi do mnie pani dyrektor, szef kuchni czy szef działu i mówią: w sobotę przyjdziesz i cała góra jest dla ciebie. Nie mówią, co mam zrobić, bo ja wiem, co mam zrobić. Ktoś mnie docenia, ktoś mi daje klucze, idę do magazynku, biorę wózki, biorę środki chemiczne, nikt mnie nie kontroluje, nikt za mną nie łazi. Przeszkolili mnie i zaufali. Na kuchni jest mała obsada, zostawiają klucze i mam owoce przynieść z magazynku, wędliny. Wiedzą, że plasterek wędliny im nie zginie. Ja zapytam, jak będę chciał zjeść. Wchodzę na

stołówkę i mówię „dzień dobry”, a te panie po siedemdziesiątce cieszą się, że jestem, nawet jeśli mylą moje imię. Muszę czasem im powiedzieć, że coś robią źle, że nie wolno, potrafią potem przyjść, przytulić, przeprosić. Trzeba wiedzieć, że na wiele rzeczy nie można pozwolić. Jak jedna wymyśli, że będzie na stołówce zbierać szklanki, to druga zacznie zbierać talerze, a trzecia półmiski i jedna pobije szklanki, druga talerze, a trzecia – półmiski. Nie można na to pozwolić, a jednocześnie trzeba pamiętać, że ona się chce czuć potrzebna. Jak przychodzi do mnie taka pani i mówi „Załatw mi bananka”, to jak ja jej tego bananka załatwię, to ona się będzie chciała odwdzięczyć i pomóc mi z naczyniami. Trzeba jej pomóc to zrobić, ale tak, żeby było bezpiecznie. I dla mnie to wszystko to jest nagroda.

Za pracę w Domu, tym i innych, więźniowie nie dostają pieniędzy. Dostają obowiązki, wyzwania, stres, obciążenie psychiczne, ale też relacje, adresy, na które chce im się później wysyłać kartki. Ania mówi, że nawet gdy osadzeni przestają tu pracować, pamiętają. Wpadają do ośrodka, wracając z przepustek, nawet jeśli mają już tylko chwilę, by przebiec się po pokojach i wyściskać mieszkańców. Nie zapominają też, gdy kończy się wyrok. Pamiętają o urodzinach. Ania trzyma kartki, które dostaje, bo jak wyrzucić pocztówkę wyklejoną suszonymi przez takiego chłopaka kwiatami?

Janek mówi, że kiedy miał szlaban na pracę w Domu, codziennie myślał o mieszkańcach ośrodka. Czy ta się pokłóciła z tamtą? Zesrał się dziś Strzałek czy się nie zesrał? Janek mówi o sraniu i każde słowo lepi z czułości.

Jest taki pan na przykład, który stracił obie ręce, ale nałóg zachował. Podpalenie papierosa, włożenie do ust, wyjęcie, strzepnięcie popiołu, włożenie, wyjęcie i tak do końca. Ania nie może się nadziwić, jak to jest, że chłopcy nigdy przy tym nie tracą

cierpliwości. Mówi, że oni się przywiązują do tych staruszków. Może przez podobieństwo? Mieszkańców Domu, tak jak osadzonych, bliscy najczęściej odwiedzają na początku wyroku. Potem tygodnie spędzone na czekaniu na odwiedziny zlewają się w miesiące. W którymś momencie okazuje się, że mają przede wszystkim siebie nawzajem.

Janek: – Największa głupota, jaką tu widziałem. Przyjeżdża taka rodzina w końcu. Idzie do sklepu, kupują owoce i słodycze i wpychają to mieszkańcowi do szafki, kiedy ta osoba ma uczulenie na fruktozę, bo jest stara i nie może jeść owoców, a poza tym cukrzycę i dietę, nie może jeść słodyczy. A oni kupią te owoce i słodycze i uważają, że to rekompensata za to, że oddali tu rodziców. Ja bym tego też nie wiedział. Jakbym miał kogoś w Domu, tobym przywiózł soki, owoce, słodycze.

Wolontariat tu nauczył go, że nie można koncentrować się na zabezpieczaniu przyszłości i dobrostanu dzieci. Ważniejsze jest zapewnienie sobie starości, która nawet gdy przyjdzie choroba, nie skończy się tutaj. Tu można malować kolorowo ściany i grać w szachy, ale to jest smutne miejsce.

Janek ma dużo „kiedyś". Kiedyś był nerwowy. Kiedyś mawiał, że nie jest zupą pomidorową, żeby go wszyscy lubili, powtarzał też, że mu nie zależy, żeby ktoś go znał. Teraz unika awantur, nawet gdy ktoś się o nie prosi. Teraz wie, że czasem jak się poczeka, to można się doczekać czyjejś refleksji, zrozumienia, przeprosin.

– Każdemu mogę teraz powiedzieć, że spokój jest wart więcej niż wszystkie pieniądze. Jak ktoś myśli, że w więzieniu jest fajnie, święty spokój, nad niczym się człowiek nie musi zastanawiać, to nawet ma rację. Nie zastanawiam się nad tym, co zjem – bo dadzą, kto zapłaci za prąd, kto zapłaci za wodę – bo zapłacą. Jeśli jednak ktoś ma

chociaż trochę ambicji i honoru, to ma tyle powodów do zastanawiania się, że szok.

W Domu Janek nauczył się też, że ludzie starzy i chorzy nie zawsze są sympatyczni. Bywają wredni, zgorzkniali, nieszczęśliwi. Janek porównuje mieszkańców ze swoim ojcem, który ma sześćdziesiąt pięć lat, żonę, dzieci w wieku szkolnym, pracę, do której chodzi, chociaż cukrzyca go wykańcza. A w Domu? Janek widzi tu przepaść – jak mówi – fizyczną, moralną i etyczną.

– Nie miałem ojca w domu, bo był w pracy. Wracał, jadł, kładł się spać i szedł do pracy. A tu widzę faceta, który całe życie przesiedział w Domu Pomocy, całe życie na państwowym garnuszku. On mówi, że płaci, to wymaga. On nie płaci, on przez alkoholizm dostał miażdżycy i amputowali mu nogi. Nie oceniam, takie są fakty. Nigdy nie pracował, jeździ sobie na wózku. Tu był taki chłopak, dwadzieścia siedem czy osiem lat, opiekunka go w końcu do domu przygarnęła. Miał takie odleżyny, że pięść wchodziła, żadnego zdrowego organu, wszystko od alkoholu. Jak przychodziła jego rodzina, stawiałem przed nim śniadanie, mówiłem „jedz", a on mówił „nakarm mnie". Ja mu na to „nie nakarmię cię, miałeś siłę pić, to masz siłę jeść". Rodzina chodziła na skargę do opiekunek, do przełożonej opiekunek. Mówili, że źle go traktuję. Po czterech czy pięciu miesiącach przyszła ta rodzina, takie duże czekoladki przynieśli. Chcieli dać pieniądze, ale my nie możemy przyjąć pieniędzy. Sześciu nas wtedy pracowało, więc te czekoladki były bardzo duże. Powiedzieli, że dziękują, że już rozumieją.

Kiedyś jeden z wolontariuszy uciekł, opowiada Ania. Pierwszego dnia pracy. Nawet nie wszedł do budynku, więc nie można powiedzieć, że się przestraszył. Czyścił kostkę brukową przed wejściem i nagle przeskoczył przez furtkę i zwiał w siną dal. Miał tylko chwilę do końca wyroku. Zakład karny wprowadził odpowiedzialność zbiorową: wszyscy wolontariusze mieli wstrzymane

wyjścia przez piętnaście miesięcy. Między Domem a więzieniem zaczęły płynąć kartki, pozdrowienia, przywoływania. W końcu wrócili.

W dobrych czasach wolontariuszy było sześciu. Mogli pracować jednocześnie w ogrodzie, na kuchni, pomagać opiekunkom. Mieli zakaz opuszczania terenu ośrodka, ale jak kierowniczka poprosiła, podlewali kwiaty za płotem. Tuż po przyjściu do pracy i tuż przed wyjściem, kiedy kładły się pierwsze cienie, biegał taki jeden z konewką w tę i z powrotem.

Ania opowiada mi też o innym wolontariuszu, który zaczął pracę w lecie, podczas najgorszych upałów, a trafiły mu się remonty w pokojach mieszkańców. Nie tylko proste malowanie, ale poważne robienie ścian i podłóg. Dzień po dniu, pokój po pokoju robił. Butelki wody nawet nie dostał. Ania wciąż nie może w to uwierzyć.

To, co więźniom wolno, a czego nie, to jest dla Ani skandal. Wie, jak to wygląda, bo podpytuje chłopaków oraz ogląda serial *W więzieniu*. Zestawia wygodne pokoje z łazienkami w Domu z ciasnymi, zatłoczonymi celami. Słoneczną pracownię do rękodzieła porównuje z kratami i wizjerami w więziennej świetlicy. Tubki pasty kontrolowane na bramie i przelewanie płynów, by sprawdzić, czy nic się w szamponie nie kryje – takie praktyki są dla Ani niewyobrażalne, bo tu się chłopcom ufa. Pokoje są otwarte. Jeśli coś zginie, bez pudła można zgadywać, który ze współmieszkańców podciągnął. Ania już tak miała – wyszła z łazienki, a tu nie ma dwóch telefonów i pilota do telewizora. Opiekunka wiedziała, do kogo iść po te łupy, wcale nie do chłopaków.

Tymczasem chłopakom w więzieniu o którejś godzinie codziennie odcinają prąd. I nie mogą sami zdecydować, czy kaloryfer podkręcają, czy odkręcają. Jak w ogóle taka banda facetów miałaby się dogadać w sprawie temperatury? – zastanawia się. Zakład podejmuje decyzje za nich.

– Powiem pani, że u nas się zdarza, że mieszkaniec się buntuje. Przychodzi do niego wtedy ktoś z pracowników albo psycholog, a jak to nie pomoże, to pani dyrektor. A tam od razu wpada brygada z tarczami i nie ma czegoś takiego jak „nie opuszczę sali" albo „nie oddamy telewizora". Ci ludzie nie mają nic do powiedzenia i to na pewno też jest frustrujące. My tu jednak mamy dobrze.

Ania wie, jak się kończy odebranie sprawczości. Za nią większość spraw załatwia Dom i pracownik socjalny. Gdy zdarza jej się wybrać do sklepu, gubi się wśród ludzi, dźwięków, świateł. Niedawno pojechała do Biedronki bez listy zakupów. Musiała wrócić do Domu po kartkę, bo była bezradna. Do lekarzy najchętniej jeździłaby z wolontariuszami. Gdyby jeden z tych wesołych chłopaków sadzał ją na fotelu dentystycznym, wszystko by było łatwiejsze. W „Tygodniku Siedleckim" czytała, że chłopcy przyjeżdżają nie tylko do Domu. Zdarza im się jeździć na cmentarz żydowski, porządkują, czyszczą macewy. A w komentarzach potok hejtu – mówi ze smutkiem. Komentujący najwyraźniej nie znają chłopaków, stwierdza.

Janek za rok wychodzi. Nie wie, co będzie dalej.

– Większy strach przed wyjściem niż przed odsiadką. Jak mi mówili, że wokandę raczej dostanę, bo ktoś dostał, to od razu usiadłem i się zastanawiałem: a gdzie ja pójdę do pracy? A może do DPS-u? Może będą mieli etat? Nie ma takiej instytucji w Polsce czy człowieka, który podszedłby w takiej sytuacji, wziął za rękę i powiedział: „chodź, pomogę ci". Jak miałem rok do odsiedzenia, to wiedziałem, co będzie, jak wyjdę. Wiedziałem, że będę pracował z tatą, który mnie przyjmie, poprowadzi. Miałem swoją firmę transportową wtedy. Teraz jak wyjdę, to będzie po siedmiu latach w więzieniu. Przez siedem lat wiele się zmieniło. Od telefonów po ludzi.

Współpraca siedleckiego DPS-u z Zakładem Karnym zaczęła się sześć lat temu. DPS szkolił więźniów w zakresie opieki nad osobami starszymi i z niepełnosprawnością. Poza szkoleniami więźniowie odbywali też wolontariaty w placówce. W 2018 roku liczba wolontariuszy zaczęła się zmniejszać. Jeszcze w drugiej połowie roku odbyło się szkolenie, po którym kilku kursantów miało zostać do pomocy w DPS-ie. Decyzje w tej sprawie zmieniały się z dnia na dzień. W grudniu był już tylko Janek i tylko do końca roku – dowiedziałam się w placówce.

Ania: – Wiem, że coś się pozmieniało i że Janek będzie z nami do końca grudnia. Nie wyobrażam sobie, że nie będzie chłopaków. Będzie bardzo ciężko i bardzo smutno bez nich.

Janek: – Jakiś minister wymyślił, że ma być praca płatna dla więźniów. Wymyślili, że skasują wolontariaty. Wychowawcy nie mają czasu, zarobieni, nikt nie informuje. Wracam w niedzielę z DPS-u i słyszę, że mam w poniedziałek medycynę pracy, wszystko naszykowane, od nowego roku idę do Wierzejek, do zakładu mięsnego.

Ania: – Zastanawiam się, czyby do kogoś z polityków nie napisać w tej sprawie. Jaki nie odpisze pewnie, ale może opozycja? Jeśli są więźniowie, którzy chcą pracować, to niech pracują. A jak chcą przychodzić do Zakładów Opiekuńczo-Leczniczych, hospicjów czy do DPS-ów i pomagać, to niech przychodzą. Politycy nie wyobrażają sobie, jakie to ważne. Oni widzą tylko sukces medialny i chodzi im o artykuły o tym, jak znowu przykręcili kurek więźniom, żeby ludzie na nich głosowali.

Niedawno chłopcy mieli wstrzymane wychodzenie, bo minister Jaki coś gmerał w przepisach znowu – mówi Ania, która nie ma najlepszego zdania w tej sprawie. Punktuje: na kolanie, na szybko, na głupio. Byle odtrąbić jakiś sukces. A tu jest się naprawdę nad czym pochylić.

Janek: – Jak się trzeba pochwalić w gazecie, to jest DPS, hospicjum. Jak trzeba wywiad, to DPS, hospicjum. Dziesięć lat będą się jeszcze chwalić tym DPS-em i hospicjum. Nikt nie mówi, że kazali zlikwidować, że od nowego roku nie będzie współpracy. Jak Polsat program kręcił, to z nas zrobili małpki w cyrku, przychodzili i nas nagrywali. U mnie trafili w urlop, przepustkę miałem, ale dla świętego spokoju przyjechałem, program nakręcili. Potem zrobili wpłatę na wypiskę: czterdzieści złotych. Jakbym wiedział, że tyle będzie, tobym powiedział, żeby wcale nie wpłacali, bo to jest śmiech. Wolę być wolontariuszem do końca niż dostać czterdzieści złotych za wywiad. Zakład mówi, że nie każdego można wysłać do pracy. Ale wie pani, jak byłem pierwszy raz w więzieniu, to pracowało na wolności może trzydzieści osób. Incydenty może raz na dwa miesiące. Jak pijany się pojawiał raz na pół roku, to było wydarzenie. Teraz jest nacisk na tę pracę na wolności. Na dwustu osadzonych stu dwudziestu wychodzi do pracy, a incydenty są co tydzień. Dyrekcja czepia się wychowawców, że źle typują, ale jak oni mają typować? Jak mieli wytypować trzydziestu do wyjścia, to mieli z czego wybierać, a jak ma większość iść?

Ania: – Zakłady mięsne? Nie sądzę, żeby to kogokolwiek resocjalizowało. Są pieniądze, wiadomo. Nie trzeba dawać więźniowi na bilet, jak wychodzi, bo ma. Społeczeństwo, które się nie zna, nie wie, jak to jest… Do DPS-u można przyjść na dni otwarte, zobaczyć, jak to wygląda. Ale prawie nikt nie przychodzi i wszyscy myślą, że tu jest dobra opieka, bo opiekunki, pielęgniarki i że więźniowie są zbędni. Nie wiedzą, ile tu jest osób i w jak ciężkim stanie, a jest coraz więcej osób w coraz gorszym stanie, pracownicy DPS-u po prostu sobie nie radzą.

Janek: – Co nauczy kogoś praca w zakładach mięsnych? Że można pracować, zarabiać pieniądze i w kącie zjeść kawałek szynki. Nic o człowieku.

Ania: – Mam wrażenie, że jak ci chłopcy przychodzą do nas, widzą chorych ludzi, widzą starych ludzi, dowiadują się, jak przykra, jak samotna może być starość, to już jest dla nich policzek, uderzenie, wstrząs. Oni się pewnie pod wpływem tego resocjalizują.

Przed świętami były nerwy, po nowym roku szczęśliwe zakończenie: zakład karny doszedł do porozumienia z DPS-em w sprawie dalszej pracy tego wolontariusza.

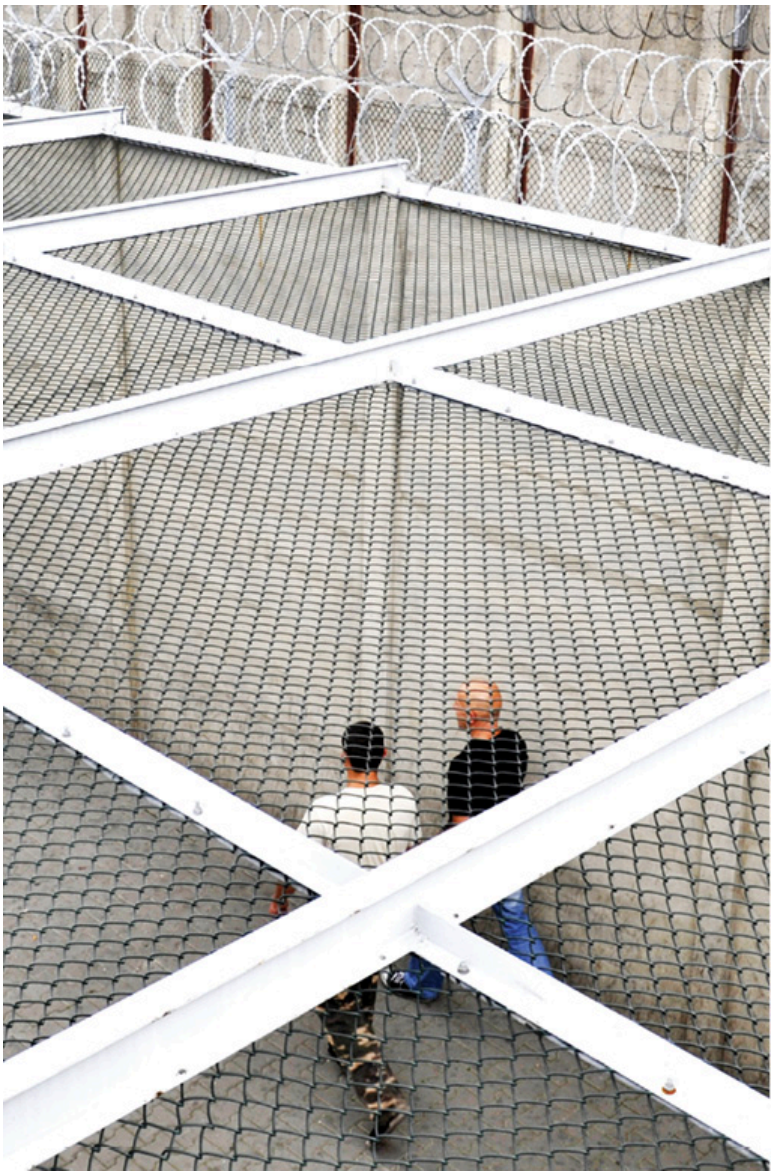

403

Miłość w czasach odsiadki

Art. 138. § 1. Nagrodami są: 1) zezwolenie na dodatkowe lub dłuższe widzenie, 2) zezwolenie na widzenie bez osoby dozorującej, 3) zezwolenie na widzenie w oddzielnym pomieszczeniu, bez osoby dozorującej, (…) 7) zezwolenie na widzenie bez dozoru, poza obrębem zakładu karnego, z osobą najbliższą lub osobą godną zaufania, na okres nie przekraczający jednorazowo 30 godzin, (…) 11) zezwolenie na przekazanie osobie wskazanej przez skazanego upominku, 12) zezwolenie na odbywanie widzeń we własnej odzieży, (…) 15) zezwolenie na telefoniczne porozumienie się skazanego ze wskazaną przez niego osobą na koszt zakładu karnego.

Psycholożka więzienna sięga po pokaźny zeszyt w twardej oprawie. To spis odbytych w tym roku rozmów. Głośno czyta tematy. Problemy w relacjach z żoną pojawiają się szybko. „Komunikacja ja–ty". Klasyk, wzdycha. Tłumaczy, że wielu osadzonych w relacjach z żoną czy partnerką stosuje komunikację typu „ty", a więc mówią: jesteś niedobra, pieniądze wydajesz, kłamiesz. Na spotkaniach z psychologiem uczą się, jak mówić o swoich uczuciach pierwszoosobowo: cieszę się, że przychodzisz, lub – jest mi przykro, kiedy kłamiesz. Jej zdaniem takie odwrócenie komunikacji sprawia, że jest mniej konfliktów i zmniejsza się ryzyko przemocy. Rzadko zdarza się, żeby osadzony tylko na bazie autorefleksji zdiagnozował u siebie problem z komunikacją i zgłosił się po pomoc. Ochotnicy

przychodzą tu, kiedy narastają konflikty i frustracja, pojawia się widmo rozstania czy zdrady.

Pracę z psychologiem w więzieniu podejmują jednak nie tylko ochotnicy: kiedy skazany podnosi słuchawkę telefonu na więziennym korytarzu, oddziałowy podnosi swoją słuchawkę i włącza pomiar czasu. Listy też nie opuszczają terenu więzienia ani nie trafiają do rąk osadzonych bez kontroli. W efekcie funkcjonariusze wiedzą, jak u kogo wygląda sytuacja rodzinna, kiedy należy zachęcać do rozmowy i pracy z psychologiem.

Mieli tu pana, który zadzwonił do partnerki i powiedział: „Tak mnie zdenerwowałaś na ostatnim widzeniu, że nie wytrzymałem, zacząłem krzyczeć na funkcjonariuszy i siedzę teraz przez ciebie w izolatce. Jak ty się zachowujesz?". Nie przerywali, bo byli ciekawi, co będzie dalej. A sytuacja była zmyślona od początku do końca. Pani zaczęła go przepraszać, a na koniec powiedziała: „Ja nigdy nie będę ciebie godna". – Byłam zdruzgotana – mówi psycholożka.

Kolejny wpis w zeszycie: rozmowa z matką. Syn tej kobiety był już pełnoletni, ale i tak chciała osobiście w jego sprawie porozmawiać z psychologiem.

– Matki czasem bardzo się angażują, co może wynikać z poczucia winy. Skoro syn jest w więzieniu, to ja pewnie zrobiłam coś źle – tak myślą. Czasem za bardzo matkują i to też bywa problemem.

Jeśli mają pieniądze, więźniowie mogą kupić kartę telefoniczną i zadzwonić do rodziny, porozmawiać pięć lub dziesięć minut (w zależności od oddziału, na którym się znajdują). W drugą stronę to nie działa, nie mogą odebrać telefonu z wolności. Bywa, że rodziny dzwonią do dyrektora lub wychowawcy i chcą się dowiedzieć o syna, męża. Takich informacji nie można podawać przez telefon. Dodatkowo z zasady o rozmawianiu na temat osadzonego nie ma mowy, jeśli on nie wyrazi na to zgody. Jeśli skazany się zgodzi,

możliwe jest umówienie się na spotkanie z dyrektorem lub wychowawcą.

– Jeśli osadzony się nie zgadza, to też można się spotkać, ale wtedy nie podamy żadnych informacji dotyczących go bezpośrednio. Możemy rozmawiać tylko o ogólnikach i sprawach, które możemy poruszyć z każdym obywatelem w ramach informacji publicznej. O tym, czy jest chory, czy zdrowy, czy ma karę, czy nie, czy idzie w końcu na P-2, czy nie – o tym nie porozmawiamy z rodziną osadzonego, jeśli on nie wyrazi na to zgody.

Nie zdarzyło mi się rozmawiać z osadzonym, który nie wspomniałby o swojej rodzinie, bez względu na temat rozmowy. Bo bliscy czekają, nie czekają, bo odwiedzają, piszą, bo nie odpowiadają na listy, bo nie chcą już znać.

Pobyt w więzieniu jest emocjonalnie trudny także dlatego, że rodzina często przerzuca swoją złość na osadzonego: ty nas zostawiłeś, czemu to zrobiłeś, czemu nie mogę cię częściej odwiedzać, czemu nie możesz iść na P-2? Psycholożka opowiada, że mężczyźni mają też często poczucie, że jak ich nie ma w domu, to nie realizują swojej męskiej roli. Od tego jest tu psycholog, żeby im tłumaczyć, że bycie mężczyzną w rodzinie nie działa tylko wtedy, kiedy można codziennie przyjść do domu i powiedzieć „Żono, jestem, gdzie mam wbić gwóźdź?", że ojcem nie przestaje się być, jeśli nie można codziennie nakarmić dziecka. W warunkach więziennych też można realizować obowiązki partnera.

Za kratami można też wchodzić w związki z osobami z wolności, brać śluby i rozwody. Nie brakuje kobiet, które decydują się na korespondencyjne znajomości z osadzonymi.

– Panowie nie kłamią, bo trudno skłamać, jak się z panią poznają przez anons. Mają motywację, żeby się starać o wcześniejsze wyjście, dobrze się zachowują. Łatwiej z nimi pracować nad

emocjami, nad pozytywnymi sprawami, czują się mniej samotni, bezsilni, niepotrzebni. Mają dla kogo żyć. Ta kobieta czasami wygrywa z różnymi dziwnymi pomysłami, które czasem rodzą się w więzieniu, typu: wyjdziemy razem i będziemy kraść samochody.

Wygląda to tak: osadzony poznaje panią, piszą do siebie. Na spotkaniach z psychologiem więziennym rozmawia o rodzinie, partnerstwie, odpowiedzialności, swojej roli, obowiązkach, priorytetach. Uczy się mówić o uczuciach i w ogóle rozmawiać. Analizuje hipotetyczne sytuacje, staje przed fikcyjnymi wyborami.

– Rozmawiam z nim, pokazuję opcje: koledzy czy kobieta? Jak wybierzesz to, to co? A jak to, to co? Bujam tą wagą, nakłaniam do namysłu. Naprawdę większość chce iść w stronę rodziny – mówi psycholożka.

System wartości kobiety wchodzącej w taką relację też jest istotny. Bywa, że to ona ma pomysły stojące w sprzeczności z prawem, ma problemy, nie jest poukładana. – Obserwujemy te relacje – mówi psycholożka i może mieć tu na myśli swoje rozmowy na ten temat prowadzone z osadzonym, ale może też myśleć o niestandardowych jak na terapeutkę narzędziach kontroli: dostępie do listów i rozmów telefonicznych pacjenta z partnerką. Dopóki kobieta jest w związku z osadzonym, jej listy do niego mogą być czytane przez funkcjonariuszy, ich rozmów ktoś może słuchać.

– Jest tu pan, który się ubiega o rozwód, a pobrali się rok temu. Okazało się, że ona jednak z nim nie chce być i ma kogoś innego. W międzyczasie wyszło na jaw, że ona też nie do końca jest w porządku, lubi wypić, a on nie chce być z kimś takim. Dobrze, że to się dzieje w warunkach więziennych i dzieci nie mają. Rozwód pójdzie gładko, bez frustracji. On ma szanse przemyśleć, z kim się chce wiązać, dzięki temu może coś zmieni.

Psycholożka, wychowawczyni, pielęgniarka – kontakt z pracownicami i funkcjonariuszkami w Zakładzie Karnym to dla wielu skazanych praktyczna lekcja szacunku dla kobiet. Lekcja prowadzona jest przez przykład.

– Programy przemocowe zawsze są prowadzone przez zespół damsko-męski, nie dlatego, że tak łatwiej ogarnąć grupę, tylko dlatego, żeby pokazać prawidłowe interakcje między kobietą a mężczyzną. Funkcjonariusze są partnerami – mówi psycholożka, która ma tu opinię naczelnej feministki. – Ja się po prostu domagam szacunku i nie mam oporów, żeby powiedzieć, że wszystkie uwagi o charakterze seksualnym to molestowanie.

Mnoży przykłady: co powiedziała, kiedy osadzeni zaczęli miauczeć. Co zrobiła, kiedy skazany zaczął sugerować zainteresowanie nią. Ile razy odmówiła dalszej współpracy, ponieważ nie czuła się bezpiecznie.

– Był taki pan, który rzucił krzesłem w lampę. Przyprowadzili go do mnie oddziałowy z dowódcą zmiany i przy nim zapytali, czy mogę zostać z tym panem sama. A ja mówię: „Nie bójcie się, nie zrobię mu krzywdy". On zaczął się śmiać, a ja mówię: „Proszę się nie śmiać, ja jestem psychologiem, pan nie wie, na co mnie stać". I to się udało. To był klucz do rozmowy, a ja miałam okazję ocenić, czy on się zachowuje naturalnie, czy jego emocje są adekwatne do sytuacji. Skoro zaśmiał się, skoro nie jest udziwniony i sztywny, możemy rozmawiać. Bywa, że nie jest OK, osadzony nie zachowuje się naturalnie i ja z nim sama nie zostanę.

Mówi, że w więzieniu kluczowe jest pilnowanie granic – w tych warunkach są one ostrzejsze. Wierzy, że osadzonym otwiera to oczy, ale wie też, że inne kobiety pracujące tu miewają opory przed jasnym stawianiem sprawy.

Marcin

– Człowiek w takiej chwili podejmuje czasem skrajnie nieprzemyślane decyzje. Ja taką podjąłem, kiedy zrezygnowałem z kontaktu z rodziną. – Gdy Marcin mówi o takiej chwili, ma na myśli moment, w którym przez barierę narkotyków i alkoholu dotarła do niego świadomość, że popełnił podwójne morderstwo. Dwanaście lat później opowiada mi o tym spokojnie, nie kluczy, nie tłumaczy się. Wciąż nie potrafi opisać, co czuł wtedy w komendzie i później w areszcie. Sięga po brzemię, po wstyd, ale to ciągle za mało.

– Świat dla mnie wtedy runął.

Sam poszedł na policję, przyznał się do winy. Nie wyobrażał sobie jednak, że miałby po tym wszystkim spotkać się z rodziną, rozmawiać z nimi, patrzeć w oczy. Przez dwa i pół roku sobie tego nie wyobrażał.

Oni co tydzień przyjeżdżali i całowali klamkę. Marcin nie wychodził na widzenia, odsyłał paczki. Po latach uważa, że była to forma pokuty, którą sam sobie narzucił. Decyzji o jej końcu nie podjął samodzielnie.

Pojechał na sprawę. Prokurator wiedział, że nie przyjmuje widzeń, więc pod pozorem sprawy zrobili mu spotkanie z rodziną. Przyjechała narzeczona z bratem. Od narzeczonej dostał pierścionek zaręczynowy i list od mamy.

Rozmawiał z nią ze spuszczoną głową, nie mógł na nią spojrzeć, mówi. Listu czytać nie chciał, chciał go wyrzucić, brat płakał, wszyscy płakali, nawet prokurator się wzruszył. On to przeczytał na głos. To było tylko kilka zdań, ale w Marcinie, jak zapewnia, coś pękło.

– Wróciłem do więzienia, przemyślałem i wtedy już nie mogłem się doczekać widzenia.

Pamięta, że kiedy nadeszło, też nie mógł nikomu spojrzeć w oczy. Wpatrywał się w podłogę i pocierał ramię, aż wydrapał dziurę.

Poleciała krew. Każde następne spotkanie było lepsze, łatwiejsze, pomagało się otworzyć. Mówi, że rodzina pogodziła się z tym, co zrobił.

– Na wyrok czekałem prawie trzy lata. Pojechałem na sprawę, usłyszałem dwadzieścia pięć lat. Kamień z serca. Prokurator obiecywał, że nie będzie chciał dożywocia, że dwadzieścia pięć lat, że zostawi furtkę, żeby było piętnaście. Była nadzieja. A jednak – chciał dożywocia. Sąd mówi: dwadzieścia pięć. I prokurator, i mój adwokat złożyli apelację. W Wigilię przyszedł mi uprawomocniony wyrok, że dwadzieścia pięć.

Nie pamięta, o co poszło, ale pobił się wtedy z kolegą z celi. Od dawna się nie lubili. Zdarzył się pretekst, żeby się wyładować. Druga bójka w jednostce. Zadzwonił do domu, powiedział, że dwadzieścia pięć lat, więc jest jeszcze nadzieja. O bójce może też wtedy powiedział.

Przyjechał do niego wujek, jedyny autorytet. Brat mamy. Człowiek z osiągnięciami i z zasadami. Do wszystkiego doszedł własną ciężką pracą. Nawet mama czy bracia nigdy nie mieli na Marcina takiego wpływu. Zapytał: co dalej? Powiedział, że Marcin ma teraz dwadzieścia pięć lat, żeby zrobić coś ze swoim życiem.

Dzisiaj chłopak mówi, że stanął wtedy przed wyborem: wyjdzie na ludzi i odbije sobie lata stracone w więzieniu lub nie będzie miał na kogo liczyć. Postanowił pracować nad sobą dla wujka i szans, które mógł od niego dostać.

– Kiedyś ich pytałem, co czuli, kiedy nie mogli wejść na widzenie. Płakali za każdym razem. Martwili się, że coś sobie zrobię. Przez dwa i pół roku co weekend przyjeżdżali. Co weekend. Jechali ze świadomością, że nie wejdą, ale chcieli, żebym wiedział, że byli. Ja mam całą rodzinę za granicą i oni na te dwa i pół roku wszyscy zjechali do Polski. Chcieli tu być, monitorować sprawę. Mega terapia szokowa dla rodziny. Kilku osobom, mamie i siostrze, w tym czasie

kariery zawodowe poszły się pieprzyć. Jak wyjdę, to stanę na rzęsach, żeby im to wynagrodzić, żeby czerpać radość życia razem z nimi.

Marcin najprawdopodobniej wyjdzie za trzynaście lat, będzie wtedy po czterdziestce. Zamierza coś jeszcze z życia skubnąć.

Antoni

Drobny staruszek w smutnym, szarym swetrze nieśmiało siada na brzegu krzesła i uprzedza, że nie wie, ile ma czasu na rozmowę, bo jedzie dziś na kontrolę do lekarza. Antoni ma siedemdziesiąt trzy lata. Raka krtani mu wycięli. Mają zobaczyć, jak się goi. No słabo się goi. A on, jeszcze na wsi, do chóru należał, śpiewać lubił.

A tu rak krtani. I problemy ze słuchem. I lewe jądro mu spuchło (myśli pani, że jak pojadę z tą krtanią, to mogę od razu o jądrze powiedzieć?). I wzrok coraz słabszy, chociaż poczytałby człowiek. Zgłaszał, zgłaszał, ale tu nigdy nie wiadomo, ile przyjdzie czekać na lekarza i czy w ogóle będzie wizyta. Na dodatek rygor jest – jak już trafia do lekarza, to ma kajdany na nogach i rękach. Na szczęście lekarze zawsze proszą, żeby go rozkuć. I nogę mu naprawili, tu złego słowa powiedzieć nie może. Pies sąsiada mu łydkę poszarpał, wielkie bydle było, sześćdziesiąt kilo – podciąga nogawkę i prezentuje blade już ślady. Czytać nie może, ale ma różaniec. Chociaż modli się cicho, koledzy z celi mu dokuczają. Nie tylko przez modlitwę zresztą – czasem, jak chrapie, oblewają go wodą.

Antoni mówi wolno, nieraz pytanie muszę mu kilka razy powtórzyć, z pamięcią też krucho, choć opowiadając o rodzinnej wsi, bez pudła powie, kiedy zamek tam postawiono i że królowa Bona tam była. Urodził się w kwietniu 1946 roku, zaraz potem umarła jego matka, a ojciec ożenił się ponownie z panią, która weszła w rolę złej macochy z bajek.

– Mówiła, że my z siostrą nie jesteśmy ładni.

Przyrodnie rodzeństwo rodziło się i umierało, ojciec też był słabego zdrowia. Antoni chciał się uczyć na agronoma, ale nie udało mu się, szkół nie pokończył. Ożenił się za to. Spotkaliśmy się na dzień przed czterdziestą trzecią rocznicą ślubu.

Żona z tej okazji nie przyjedzie. Są rozwiedzeni, czego Antoni jako człowiek wierzący nie uznaje. Ten rozwód to nie jest największy problem.

– Ja już drugi raz siedzę. Drugi raz mnie wsadziła bez dania racji. Niby się znęcałem.

Za chwilę przyznaje, że „czasem ją coś tam", ale dodaje, że to przecież żadne znęcanie. Że na te oskarżenia to ją sąsiadka namówiła, a on jest niewinny. Opowiada o tym, jak ojciec pobił swoją żonę – zaznacza, że on by tak nigdy, ale i nie ukrywa, że kiedyś było lepiej. Macocha jakoś na policję z czymś takim nie poszła. Może sześćdziesiąt lat temu nie było takich paragrafów? – zastanawia się Antoni. Podobno wśród postawionych mu zarzutów pojawiło się picie, a on przecież nigdy. No czasem, jak każdy, wiadomo. Ale dom postawił, siedmioro dzieci wychował, a potem w ciągnik zainwestował i ziemię dokupił. Czy tak żyje pijak?

Jest więc on – Antoni, który zawsze kobiety lubił, ale że wzrostu był niewielkiego, to nie miał za bardzo w czym wybierać. (A pani męża ma? A dobrego?) Na dodatek jako dziecko w gorące ziemniaki usiadł i się poparzył – nie było wiadomo, czy z niego coś będzie. Wybrał pannę, do której ani miłości wielkiej nie czuł, ani wzrostem nie była do końca dopasowana. Ciut za wysoka jak na jego potrzeby, dlatego nie lubił, kiedy nosiła buty na obcasie. Na rodzinie zrobiła słabe wrażenie. Gdy przyjechał z ojcem do jej rodzinnego domu, zastali bałagan. Z brudasów się wywodziła i brudaską została, za co się zresztą z nią w końcu rozwiódł. Do tego złośliwa i leniwa – Antoni wylicza, że ani spodni mu nie wyprasowała, ani koszuli nie wyprała,

a ile razy zupę zrobiła, zawsze na złość przesoliła. Nie to, co on: pracowity, schludny, lubiany i przez wójta, i przez proboszcza. Od kiedy sam mieszka, gotuje i bardzo dobrze mu to wychodzi. Pochodzi z dobrej rodziny. Miał wujka prałata, co się na wsi ceni, nawet jeśli prałat na ślub nie przyjechał, a i potem tylko raz się pojawił – z czekoladą odwiedził, jak nieszczęśliwym przypadkiem Antoni jednej z córek traktorem obciął nogi. Dzieci wtedy troje było, a czekolada jedna, trochę słabo. Lekarze nóżki doszyli, sprawna teraz dziewczyna zupełnie.

Siedmioro dzieci jest dowodem na to, że z żoną się układało, a to znęcanie to pomówienia. Dzieci to też uzasadnienie depresji – bo jak się rodzi tyle dzieci, to jak się człowiek ma nie bać o przyszłość?

– Dwadzieścia kilka razy w Tworkach byłem.

Raz przyjechała żona – choć nie w odwiedziny i nie z własnej woli. Wezwała ją ordynatorka pod pozorem rozmowy o stanie męża. Jak mówi Antoni, powiedziała jej krótko: mąż zaraz wychodzi, a pani powinna do nas trafić. Żona odparła, że nie jest czubkiem. Czubkiem – z naciskiem powtórzył Antoni. Takie to wsparcie w rodzinie. Nie pierwszy raz się tak zawiódł i nie tylko na żonie. Raz go rodzony kuzyn pobił. Podstępem do sklepu się z nim zabrał, a jak byli daleko od domu, to zapytał, czemu córce dokucza. Antoni odparł krótko: to moja córka. Kuzyn tak mu przywalił, że żuchwę miał Antoni złamaną.

– Dokuczał pan córce?

– A skąd.

Pytanie o relacje z dziećmi Antoni słyszy gorzej niż inne.

Z dziećmi kontaktu nie ma. Ta córka od nóżek chyba w Anglii mieszka. Chyba. Ostatnie trzy Wigilie na wolności Antoni spędził w szpitalu – pojechał do chorych, którzy tak jak on nie mieli z kim się podzielić opłatkiem. Zdanie na temat własnych dzieci ma kiepskie nawet nie przez te Wigilie, dlatego, że wnuków na religię nie posyłają, a ma ich trzynaścioro (chociaż może i więcej? – zastanawia

się). Żona też do kościoła nie chodzi. Tylko on jeden wiary się trzyma, choć nie zawsze w życiu pomaga – teraz na przykład miewa takie dni, że przychodzi mu na myśl sznur, ale jak sznur, jak wierzącemu nie wolno? Rozmawiamy jednak wystarczająco długo, by opowiedział o połykach – raz spinacz, raz igła, bo ktoś mu powiedział, że śmierć będzie lekka, raz połknął dwa haczyki. Bez skutku. Ta igła wyszła na jaw przy jakimś badaniu trzy lata później, spinacz w żaden sposób się nie ujawnił, jeden z haczyków też przepadł, drugi sam wyszedł. Truł się środkiem na stonkę, ale odratowali.

– Myślę tak: ja sobie życia nie dałem, to i odebrać nie mogę. Może jakoś wytrzymam do końca. Nikt tak długo w mojej rodzinie jak ja nie żył. A taki podobno jestem pijak niedobry.

Miał Antoni kuratora, ale co mu po takim kuratorze, jak to był facet ze wsi jego żony, po imieniu byli, a jak przychodził Antoniego skontrolować, to na kawę do żony zachodził, bo oni w jednym domu mieszkają mimo rozwodu, tylko osobne wejścia mają. Jak kurator taki z żoną zaprzyjaźniony, to nie dziwne, że i alkohol Antoniemu zarzucił. Ze wszystkich ludzi tylko teściowa była po jego stronie i nie mogła zrozumieć, jak jej własna córka może męża do więzienia wysyłać. Ale to święta kobieta była, jak trafiła do szpitala ze złamaną nogą, to ją Antoni odwiedzał, chociaż już był rozwiedziony.

Gdy zamknęli go w tych Siedlcach wiosną 2018 roku, myślał, że szybko wypuszczą, bo po co mieliby takiego dziada trzymać? A trzymają.

Na szczęście kaplica jest, msza jest, przychodzą tacy z gitarą i ładnie grają, zadowolony jest Antoni. Pięć miesięcy mu zostało do wyjścia. Mówię, że krótko. On mówi, że tu nawet tydzień to za długo. Był już Antoni w Łowiczu w zakładzie, był w Łodzi. Najgorsze te Siedlce, wrogowi nie życzy, ale żona mogłaby tydzień chociaż

posiedzieć. Nie wie, dokąd pójdzie, gdy skończy się wyrok. Dom na córkę przepisał, ale ma tam dożywocie. Co po takim dożywociu, jak ona zupełnie jak matka?

– Taki dom piękny pobudowałem, tyle dzieci wychowałem, a na starość przyszło się błąkać po zakładach. Ja bym książkę napisał, do radia może pójdę i opowiem, ile się w życiu nacierpiałem, od kiedy się ożeniłem.

Tomasz

W 2013 roku Tomkowi urodził się syn. W tym samym roku zabił człowieka.

Pewnie obruszyłby się na to drugie zdanie, chociaż nie twierdzi, że jest tu za niewinność. Mówi tylko, że się nie poczuwa.

Postawny, przystojny blondyn, z tych sympatycznych blondynów, takich z niebieskimi oczami i dołeczkami w policzkach. Mówi, że jest tu za spowodowanie wypadku ze skutkiem. Nie dodaje jakim, ale nie ukrywa, że ten człowiek zmarł po dwunastu dniach od wypadku. Bodajże.

Bo to ten drugi kierowca był w zasadzie winny. Z pobocza włączył się do ruchu i nie wyłączając kierunkowskazu, po prostu skręcił w lewo. Tomek go nie wyprzedzał, bo tam był zakaz, tylko chciał ominąć. Skąd miał wiedzieć, że na jednej sygnalizacji będą dwa manewry. Skąd miał wiedzieć, że kierowca busa nie zauważy rozpędzonej cysterny. Tomek mówi, że byli świadkowie, którzy potwierdzali jego wersję, ale policja odrzuciła ich zeznania, bo byli pod wpływem. Mówi, że ktoś tu był czyimś synem, a ktoś czyjąś córką i nie wszystko było w porządku w tym śledztwie. Sąd dostał nagranie z kamery z pobliskiego gospodarstwa: wolno jadący bus na lewym kierunku prawidłowo skręca i wpada w niego beczka na pełnej prędkości. Cysterna się przewróciła, kabiną ścięła dwa

drzewa. Tomek wylicza swoje uszkodzenia i dodaje, że ten drugi nie przeżył.

Decyzje wymiaru sprawiedliwości nie były ani szybkie, ani surowe. Tomek po wypadku wrócił do pracy. Co prawda musiał się zatrudnić w litewskiej firmie transportowej, ale jeździł dalej. Papierów ani serca do tej roboty nie stracił.

– Lubię jeździć – mówi, po czym zanosi się chichotem. – Przypomniało mi się: „Panie władzo, ja po prostu lubię zapierdalać". Niedawno chyba znowu leciał ten film, widziała pani?

Decyzje partnerki Tomka skoordynowane były z postępowaniem procesowym. W 2015 roku zapadł wyrok, przyszło wezwanie do stawienia się do odbycia kary, a ona odeszła. Dziecko niewiele rozumiało.

– Dostałem cztery lata i cztery miesiące, dosyć dużo. Dla niej, dla jej rodziców, byłem już kryminalistą, bo idę do więzienia, jestem skazany – mówi. W jego głosie wybrzmiewa nuta rozgoryczenia, chociaż szybko ułożył sobie życie. Wcześniej był w związku z dziewczyną, którą znał od dzieciństwa. Mieszkali razem, ale coś się popsuło, pojawiła się inna, a potem dziecko. Gdy przyszedł wyrok sądu, a razem z nim rozstanie, Tomek wrócił do byłej partnerki.

– Nie przeszkadzało jej?

– Dziecko?

– Więzienie.

Nie przeszkadzało, szczególnie że Tomkowi udało się uzyskać dwukrotnie odroczenie i został na wolności jeszcze przez dwa lata.

– Znowu przyszedł bilet. U nas na rejonie jest jeden listonosz, znamy się, więc mówi: Tomek, słuchaj, z sądu mam, nie ma cię, nie przyjmujesz? Mówię, dobra, dawaj. Otwieram i już wiadomo, dziewiętnastego stawiam się na puchę. Listonosz nie mógł uwierzyć.

Przyjechał do więzienia sam. Był styczeń 2017 roku. Rozmawiamy dwa lata i dziewięć miesięcy później. Zakład karny już dwukrotnie

wnosił o wcześniejsze zwolnienie, ale sąd się nie zgodził. Tomek wyciąga prawą rękę, która symbolizuje tu więzienie, a więc ludzi, którzy znają go od lat, pracują z nim każdego dnia. Oni uważają, że powinien już być na wolności. Wyciąga drugą rękę – to sąd, ludzie, którzy spotykają go raz i uznają, że potrzebna jest mu jeszcze resocjalizacja. Lewa ręka leci w górę, chłopak kręci głową, zrezygnowany.

Pamięta, że w uzasadnieniu odrzucenia wokandy było coś o karach, które miał jeszcze przed wypadkiem. Podejrzewa, że chodzi o mandaty, bo sporo ich było. Przyznaje, że policjanci w mieście go znają, dał im się we znaki.

W więzieniu Tomek przepisów nie łamie. Zależy mu na dobrej opinii i przywilejach. Pracuje wolnościowo, chociaż to wolność umowna – wychodzi za bramę całe dziesięć metrów i skręca do zakładowej kuchni. Ale praca to praca, są jakieś pieniądze, jest zajęcie od piątej do piątej, po którym można iść wcześnie spać i mieć z głowy kolejny dzień.

Tomek ma na co czekać. W tym roku przysługuje mu już komplet przepustek, nie tylko trzydziestogodzinne, ale i raz w miesiącu wielodniowe. Zaraz wyjdzie na sześć dni.

Przepustki to podstawowa forma kontaktu z synem. Zanim zaczęło mu przysługiwać tyle wolności, relacja z dzieckiem była raczej mizerna. W naprawieniu stosunków pomógł brat, ojciec chrzestny syna. Kontaktował się z matką chłopca.

Co jest na przepustce, to się spotykają. Dzwoni też stąd do swojej byłej, ona daje na głośnik, rozmawia z małym. Jak w przedszkolu, jak na basenie, bo uczy się pływać, jak na angielskim. Nieraz jest tak, że dzwoni i syn ogląda bajkę, mówi, że nie chce mu się gadać. Innym razem dzwoni, a on mówi: Kocham cię, tatuś.

Zdaniem Tomka dziecko w towarzystwie matki jest skrępowane i przygaszone, ale inaczej niż w jej obecności się nie widują. Jak już

stąd wyjdzie, ułoży sprawy w inny sposób. Mówi, że zanim poszedł do więzienia, uregulował sytuację prawną. Była partnerka próbowała go pozbawić praw rodzicielskich, ale sąd na to nie pozwolił. Tomek zapewnia, że płaci alimenty.

– Chciała siedemset złotych miesięcznie i rok wstecz, gdzie ja, siedząc w więzieniu, wysyłałem jej pieniążki przez zakład, a ona nie odbierała. Miałem pokwitowania z ZK, że były takie próby. Założyłem dla syna konto, na które wpłacałem z tego, co tu zarabiałem. Wywalczyłem trzysta pięćdziesiąt złotych, czyli mało, ale jak wyjdę, to to się zmieni. Jestem na bieżąco, zadłużeń nie mam. To moje dziecko przecież.

Syn ma sześć lat i myśli, że rzadkie spotkania z ojcem to wina jego pracy. Tak jest lepiej – przekonuje Tomek, zaznacza jednak, że pewnego dnia pewnie powie dziecku prawdę. Teraz nie jest na to dobry moment, zresztą nawet gdyby syn wiedział, Tomek nie chciałby, żeby przyjeżdżał tu na widzenia. Nie potrzebują takich wspomnień.

Kłamstwo jest wiarygodne – w czasach, gdy pracował, częściej go nie było, niż był.

– Jak pracowałem w transporcie międzynarodowym, to trochę to dziecko zaniedbywałem, to matka z nim była cały czas. Ja zarabiałem, żeby na nic nie brakowało, ale jej widać czegoś zabrakło, skoro tak się skończyło.

Była partnerka Tomka nie znalazła nowej miłości. Zdaniem mężczyzny uwiera ją świadomość, że on sobie ułożył sprawy i ma nową rodzinę.

– Spotkałem się z nią bez małego, to mówiła, że mnie ciągle kocha. Teraz chce ze mną być? A co było, kiedy miałem bilet i potrzebowałem wsparcia? Gdzie była?

Gdy Tomek wyjdzie na wolność, będzie miał już dwoje dzieci, na które będzie musiał pracować. Jego obecna partnerka jest w ciąży.

Kiedy ojciec skończy odbywanie kary, o ile nie uda się jej skrócić, dziecko będzie miało ponad rok. Tomek planuje być bardziej obecnym ojcem, chociaż sposób na zarabianie ma w zasadzie jeden.

– Prawo jazdy muszę zrobić. Mam od czerwca 2015 roku zakaz prowadzenia pojazdów na pięć lat. Przyszło pismo, że w 2020 roku mogę zrobić nowe, ale teraz nie wiem, jak to będzie. – Tomek tłumaczy, że teoretycznie czas, kiedy przebywa w więzieniu, nie wlicza się w okres zakazu prowadzenia. Teoretycznie, bo był w wydziale komunikacji i dowiedział się, że nie przyszło z sądu żadne pismo w jego sprawie, a dopóki nie przyjdzie, wydział nic o więzieniu nie wie. – Mam nadzieję, że do 2020 nic nie dostaną i zrobię prawo jazdy. Wszystkie kategorie zdałem za pierwszym razem, tylko na ciężarowe za drugim. Sześć lat jeździłem.

Tomek był kierowcą cysterny z paliwami niebezpiecznymi. Dalekie trasy, długie nieobecności. Mówi, że da się tak pracę ustawić, żeby wkoło komina jeździć, codziennie wracać do domu.

– A z dziećmi będzie pan ostrożnie jeździł?

– Z dzieckiem w samochodzie jeździłem już przecież, nad morzem na przykład byliśmy. Wszystko było wolniej, rozsądniej, żadnego głupiego wyprzedzania – mówi, ale szybko się poprawia, zaczyna tłumaczyć, że wypadek może mieć też kierowca jadący bezpiecznie, przecież tyle się może stać z winy innych użytkowników drogi.

Dawid

– Gdzie jest tata?

– W Hiszpanii. Ja z żoną nie jestem w związku, ale jak byłem na wolności, to nie pracowałem i starałem się być codziennie u córki. Jak taki bliski kontakt się urwał, to się zdziwiła. Zadzwoniłem, pytała, gdzie jestem. Powiedziałem, że w pracy, a ona sobie dopowiedziała, że w Hiszpanii. Nie wyprowadzałem z błędu.

Dawid ma jakieś czterdzieści lat. Kiedy go poznałam, zrozumiałam, co to znaczy nosić głowę wysoko. Może to dlatego, że wzrostu jest znaczącego i budowę ciała ma imponująco dopracowaną. Może takie wrażenie wywołuje nieznoszący sprzeciwu ton głosu. Rozmawiamy o sprawach smutnych i strasznych, a on patrzy na mnie spokojnie, wyprostowany jak struna, z lekkim uśmiechem, który z łatwością przechodzi w serdeczny śmiech.

Dawid w Hiszpanii jest już dwa lata i jeszcze kilka lat zostanie. Prędzej czy później córka dowie się, gdzie ojciec był naprawdę.

– Będę musiał jej powiedzieć. Rozrabiam od wielu lat, wszyscy mnie znają. Jak ja jej nie powiem, to inni to zrobią.

Będzie miał o czym opowiadać. Ta odsiadka to już czwarty wyrok. W czasie poprzedniej kary córka nawet go odwiedzała, ale była wtedy malutka i tego nie pamięta. Gdy pytam, czy udział w widzeniu jest dla dziecka trudnym przeżyciem, Dawid stanowczo zaprzecza. Widzenia, kraty, kontrole, strażnicy to jego zdaniem wielki plac zabaw i frajda. Ale w tej chwili nie dla jego córki.

– Ona nie może tu przyjść, bo wie, co to jest więzienie. Ja jej tłumaczyłem, że w więzieniu policja zamyka bardzo złych ludzi. Jak ma teraz przyjść tu do ojca?

Być może, jak przyjdzie czas, córka pozna zmodyfikowaną wersję prawdy, tak jak niegdyś teściowie Dawida, utrzymywani w przekonaniu, że zięć tylko się bronił.

Może córce będzie wystarczyło, że ojciec przedstawi swoją motywację. Mówi, że siedzi w więzieniu po to, żeby jego dzieci nie musiały. W naszym państwie, tłumaczy, można się dorobić złodziejstwem lub dostać od rodziców. On nie dostał.

– Córkę zamierza pan zabezpieczyć tak, żeby sama się nie musiała dorabiać?

– Myślę, że już to zrobiłem. Jestem na emeryturze. Już tylko dosiaduję wyroki.

Życie emerytowanego złodzieja wypełniają książki i córka. To możliwe, bo Dawid od niedawna jest na oddziale otwartym. Oznacza to na przykład nielimitowane rozmowy telefoniczne, oczywiście pod warunkiem, że osadzony ma na to środki. Ten osadzony ma.

– Rozmawiamy tylko o niej. Co u niej, co ona robi. Teraz mamy problem, bo nie odrabia pracy domowej. Będę musiał codziennie to skontrolować. Bo zapomina! – Dawid pamięta, jak to jest, kiedy po szkole rzuca się plecak w kąt i leci na podwórko. Zdaje sobie sprawę z tego, jak unikanie tej pierwszej lekcji systematyczności rzutuje na dalsze życie. Wie to po sobie i nie pozwoli córce powielać tych błędów. Najpierw lekcje, przyjemności później, tylko jeśli wystarczy na nie czasu. Dawida wychowało więzienie, do którego trafił jako nastolatek sądzony jak dorosły za kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą.

– Zamiast wpierdolić mi na komendzie i wysłać do domu z zawiasami, wsadzili mnie do więzienia. Jak gąbka chłonąłem bandyterkę. Sami to sobie zrobili, jakby sobie nóż naostrzyli. Mam opinię psychologa, że jestem efektem błędu.

Lista błędów, których teraz ma uniknąć córka Dawida, nie jest długa, ale dotyka kwestii zasadniczych. Po pierwsze: dziewczynka nie może być głupia. Ratunek przed głupotą Dawid widzi w czytaniu. Pół książki w życiu nie przeczytał – mówi, jak chce kogoś obrazić, kiedy rozmawiamy o głośnych procesach i groźnych przestępcach. Wie, że miłością do literatury najlepiej jest zarażać, martwi się więc, że pod jego nieobecność córka nie ma właściwego przykładu. Była żona to ścisły umysł, dziecko najczęściej widzi ją niestety z telefonem lub tabletem, a Internet akurat Dawid chciałby małej ograniczyć, najlepiej do zera.

Drugi błąd, którego córka popełnić nie może, to narkotyki. Dawid tę sprawę ma już przećwiczoną.

– Ja towaru nigdy nie ruszyłem, ale moja siostra próbowała. Tłumaczyłem raz, drugi, trzeci, ale tego wytłumaczyć się nie da komuś, kto dziennie studiuje na uniwersytecie, a tam się po prostu jara zioło. Ona mi zawsze mówiła, że jara dla towarzystwa. Czyli wina w towarzystwie. Nie będzie towarzystwa, nie będzie trawy, pomyślałem. Po miesiącu nikt się nie chciał z nią zadawać.

– Jak pan to zrobił?

Przemocą. – Uśmiecha się tryumfalnie. – Zadawałaby się pani z kimś, przez kogo miałaby pani nieprzyjemności? Drastycznie, ale skutecznie. Do tej pory nie rusza.

Na moją sugestię, że siostra z pewnością jest wdzięczna za taką interwencję, odpowiada poważnie:

– Ona? Uważa, że bandyci powinni zgnić w więzieniu. Całe moje rodzeństwo tak uważa. Wsparcie dają mi mama, tata, była żona, narzeczona. Ale rodzeństwo? Zazdrość. Jak ktoś na coś musi pracować całe życie, a ktoś inny osiąga to w trzy dni, to pojawia się delikatne zdenerwowanie.

Trzeci błąd to niewłaściwe wybory uczuciowe i ten scenariusz też już był grany, również przez siostrę Dawida.

– Zaczęła się spotykać z takim chłopakiem, który był ode mnie może ze cztery lata młodszy, ale mówił do mnie na per pan, „Ja wiem, kim pan jest". Nie wnikałem, ale zaczął z towarem latać i rozpadł się związek. Zamieniłem z nim dwa słowa. Bo jak on sobie wyobraża, że ona studiuje, ma przyszłość przed sobą, a on się zaraz będzie po kryminałach włóczył?

Po namyśle Dawid dodaje, że w zasadzie najlepszym kandydatem na męża jest wykształcony, inteligentny, kulturalny złodziej – z takim nigdy niczego w domu nie zabraknie. Zakładam, że inteligencja temu złodziejowi jest potrzebna do unikania więzienia, ale Dawid

wyprowadza mnie z błędu i nakreśla swoją wizję zawodowego złodziejstwa:

– Jak się idzie ukraść, to trzeba mieć świadomość, że prędzej czy później pójdzie się siedzieć. Nie ma czegoś takiego, że ktoś kradnie i nie siedzi.

Takie podejście ma istotne konsekwencje. Więzienie traktowane jako świadomie ponoszone ryzyko zawodowe nie jest dramatem.

– Zamykają mnie i co? Psychika runie, wszystko runie, bo siedzę? Nie. Biorę to z konsekwencjami.

Dawid przyznaje, że siedzieć nie lubi, chociaż zna ludzi, którzy właśnie za kratami łapią wiatr w żagle. Jego zdaniem długie odsiadki zwyczajnie się nie kalkulują. Nie ma takich pieniędzy, dla których warto by było tracić piętnaście lat życia. To się nie opłaca – mówi stanowczo. Sam ma raczej kilka lat niż kilkanaście, wystarczająco, żeby było warto. Prosty dowód: długość odsiadki ma się tak do zysków, że jego narzeczonej chce się na niego czekać. Bo dlaczego niby jego normalna, wykształcona, posiadająca zwyczajny zawód i pracę kobieta wciąż czeka, choć bandyterki nie pochwala?

– Z miłości?

– Nie ma takiej miłości, żeby czekać kilka lat. Jeśli w domu jest bieda, a facet trafia do więzienia, czyli ani chłopa nie ma, ani nic z tej jego nieobecności nie wynika, to nikt na niego nie będzie czekał. Jeśli w domu jest tak. – Tu Dawid zamaszystym ruchem kreśli granicę bogactwa wysoko nad swoją głową. – To wiadomo, czemu na faceta można i warto poczekać. Będzie dobrze.

Dawid planuje jeszcze czwórkę dzieci, w tym minimum dwóch synów.

– Co na to narzeczona? – pytam.

Odpowiada mi wzruszeniem ramion: – A jakie ma wyjście?

Dodaje jednak, że narzeczona lubi dzieci, więc przedszkole w domu nie będzie dla niej problemem. Pracować nie musi – ma się uczyć

i uczy się. Dawid ceni w kobietach inteligencję, która cechuje też jego byłą żonę. Dzięki temu ich relacje są udane i mogą wspólnie zajmować się dzieckiem.

Po wyjściu z więzienia Dawid zamierza zostać trenerem: nieodpłatnie uczyć chłopców gry w piłkę. Wymaga to dokończenia studiów i zrobienia kursów, jak twierdzi.

– A niekaralność? – dopytuję, ale Dawid mówi, że nie może być takich wymogów, skoro cały PZPN ma wyroki za korupcję, a nawet gdyby taki warunek trzeba było spełnić, to i na to są sposoby. Bo drugą sprawą, w którą Dawid wierzy, jest moc pieniędzy.

Rozmawiamy w zakładzie karnym schowanym w lesie na Podlasiu. Z daleka wygląda niepozornie. Niewysokie budynki otoczone siatką. Tutaj każda rozmowa zaczyna się od pogody i złotej polskiej jesieni. Pancerne zabudowania oddziału zamkniętego i przynależny do niego kilkumetrowej wysokości mur gubią się w leśnej gęstwinie, nie rzucają się w oczy, dopóki się ktoś tam nie wybiera.

– Iława to więzienie, Białołęka to więzienie. Bandyci, mordercy. Nie to, co tu. – Dawid prycha z pogardą, kiedy mówię, że ma tu ładnie. – Tu jest tragedia z osadzonymi. Tu już nie ma przestępców. Za jazdę, za alimenty, co to za przestępstwa. Żadnych zasad, charakteru, siedzą, żeby odsiedzieć. Zrobią wszystko, żeby wyjść. Z takimi to mi się ciężko siedzi, mimo że jestem na emeryturze.

Dawid na przepustki nie wychodzi, nigdy nie wychodził. Jego więzienna kariera to nieustanna walka ze służbą więzienną, do której szacunku za dużo nie ma. Mówi, że teraz się uspokoił, ale przepustek jak nie było, tak nie ma, więc sympatia dla administracji też się nie pojawiła.

– Chłop po zawodówce twierdzi, że jest mądrzejszy ode mnie. Przychodzi tu na dwanaście godzin, marzy tylko, żeby do domu wrócić i walnąć pięć piw, jak on ma mnie umoralniać? Jednostkę

prowadzą ludzie, którzy nigdy nie siedzieli. I nie słuchają. Gdyby słuchali i wyciągali wnioski, inaczej by wyglądały statystyki pracy i ucieczek. No i kłamią.

Kłamstwem Dawid nazywa niespełnione obietnice i niedotrzymane umowy. Tłumaczy: jeśli pyta wychowawcę o przepustki i słyszy, że ma w tej sprawie przyjść 15 listopada, to wychowawca może mieć pewność, że ma spokój do 15 listopada. Jeśli jednak 15 listopada Dawid natrafi na kolejny termin, na przewracanie oczami, mętne tłumaczenia i uniki, poczuje się oszukany. Takie traktowanie, zdaniem Dawida, świadczy też o szufladkowaniu osadzonych i lekceważącym podejściu. A on się lekceważyć nie pozwala. I nie tylko on – opowiada mi o nierzadkich przypadkach ucieczek osadzonych spowodowanych niefrasobliwym podejściem służby więziennej. Jeśli ktoś może wychodzić do pracy na wolności, ale nie może wyjść, żeby spotkać się z bliskimi, to jak ma nie uciekać? Więzienne statystyki mówią, że w 2018 roku uciekło 266 osób, w tym faktycznie – 263 z pracy wolnościowej.

Gdyby to od niego zależało, sprawy wyglądałyby tak: przestępcy z przypadku, kierowcy i alimenciarze, jeśli stawiają się sami do odbycia kary, powinni mieć ją skróconą o połowę, bo resocjalizacja jest już ewidentnie zrobiona. Druga sprawa: jeśli ktoś może pracować, to powinien mieć też przepustki. Każdą pracę można wykonać, jeśli wiadomo, że w sobotę będzie za to nagroda. Przepustki są cenniejsze niż liche więzienne pieniądze i zabijanie czasu. Tylko wizja kilku godzin wolności może poprawić efektywność pracy osadzonych i statystyki ucieczek. Po trzecie: osadzonych należy traktować indywidualnie.

– Czwarty raz jestem, nikt tu ze mną nie rozmawia. Nikt nie pyta, dlaczego popełniłem przestępstwo. Jak resocjalizować kogoś, kogo się nie zna? Jakbym był wychowawcą, tobym raz na tydzień, raz na dwa wezwał delikwenta, żeby porozmawiać. Oszukać go, zobaczyć,

jak zareaguje. – Dawid niejedno więzienie w Polsce odwiedził, ma więc wyrobione zdanie na temat realiów. – Na Służewcu to ich chyba szkolą do oszukiwania. Iława – prawdziwy zakład karny. Pierwszy raz tam się zdarzyło, że przyszedł do mnie oddziałowy, zabrał do wychowawcy, który zapytał, czego potrzebuję, omawiał ze mną sytuację. Niespotykane. Tu są na wszystko przepisy, bandyta to bandyta. Nikt nie patrzy, co kto ma w głowie. Inteligentny przestępca jest najgorszy dla służby więziennej. Ciężko tu mam. Dyrektor mi mówi, że jestem patologią, tyle że inteligentną.

Chociaż Dawid mówi o walce z systemem, nie należy do subkultury więziennej.

– Jak mnie ktoś pyta, czemu nie grypsuję, mówię, że mam iloraz inteligencji 220 i nie muszę. To się obrażają. Kiedyś się dostosowywałem do nich, teraz oni muszą się dostosowywać do mnie. Więzienie tego uczy, człowiek staje się apodyktyczny. Więzienie ugruntowuje bandyctwo w człowieku.

Po namyśle Dawid zgadza się ze mną, że nie każdy staje się apodyktyczny. Jedni w więzieniu rosną jako bandyci, inni coraz bardziej schodzą im z drogi.

– Najcięższe w więzieniu jest lawirowanie, przepychanki, kombinowanie. Ja biorę książkę i mam w dupie.

Chociaż z tymi książkami też jest problem i jest to problem systemowy, okazuje się. Miejscowa biblioteka więzienna ma dziewięć tysięcy tytułów, jak mówi mi Dawid. Co z tego, jeśli są niewielkie szanse, by dostać zamówiony? Dawid czyta sagę *Pieśń lodu i ognia*. Trzy tomy za nim, zamawia czwarty i dostaje *Kamienie na szaniec*.

– Słabo trochę, nie? W innych zakładach można mieć książki z wolności. Przychodzi na widzenie rodzina, przynosi trzy, ja trzy wynoszę. Tu nie można. Paczka może być, ale to trwa, bo zgody, magazyny. Tą samą drogą trzeba je zwrócić. Tu nie ma woli po prostu.

Gdyby mógł, siedziałby pewnie w Iławie: bo towarzystwo na poziomie, bo administracja ludzka. I to nie koniec zalet.

– Najlepsze jedzenie w Polsce. To ci z dożywocia wywalczyli. Jak ktoś ma do końca życia siedzieć, to chciałby chociaż jeść. Tam jest naprawdę dobrze. Tutaj nie jem. (Funkcjonariusze z Iławy inaczej sukces więziennej kuchni tłumaczą. Kilka lat temu zatrudnione zostały dwie panie odpowiedzialne za układanie jadłospisów i dobrze im to wychodzi).

Tu Dawid żywi się sam, w końcu go stać. Narzeka, ale nie próbuje miejsca zmienić, bo mama miałaby za daleko, a zależy jej na widzeniach co tydzień.

– Mama odwiedza, chociaż bardzo to dla niej trudne wszystko. Od trzydziestu lat nauczycielka, dyrektorka w placówce oświatowej, wykształcona osoba, rozpoznawalna w swoim mieście i ma syna bandytę. Konflikt interesów. Ciągle mnie umoralnia, ale niepotrzebnie. Ja już nie mam czasu siedzieć.

Maciej

Maciek lekko kpi z koncepcji bezstresowego wychowania. Oczywiście nigdy nie uderzyłby dziecka, ale bez porządnej bury czasem się nie obejdzie. I szlabany – muszą być, jest tego pewien.

Często wybiega myślami w przyszłość. Co będzie, jeśli jego syn wróci do domu pod wpływem jakiejś używki? Jeśli syn będzie wtedy miał siedemnaście lat, a używką będzie alkohol, to Maciek wejdzie w rolę fajnego starego, który zaproponuje wspólne wypicie piwa. Lepsze to niż chowanie się po krzakach przed strażą miejską.

Maciek nie ma złudzeń: dobrze pamięta, jak burzliwe może być dojrzewanie, jakie słowa mogą paść, gdy w dzieciach szaleją hormony. On sam, przyłapany na paleniu, wypomniał ojcu, że przecież też jako nastolatek palił papierosy.

Układa sobie w głowie potencjalne dialogi, przygląda się pyskówkom, których jeszcze nie było, planuje odpowiedzi.

Mówi, że jest gotowy na to, że kiedyś dzieci mu wypomną pobyt w więzieniu.

Jesteśmy na oddziale zamkniętym, w pokoju wychowawczyni, która siedzi tu z nami dla mojego bezpieczeństwa. Pani wydaje się całkowicie pochłonięta swoją pracą, nie odrywa wzroku od monitora, nawet przez chwilę nie ustaje stukot klawiatury. Oddziałowy przyprowadza Maćka, który wygląda jak nastoletni dryblas: długie ręce i nogi, fikuśne okulary małego czarodzieja, przydługa, asymetryczna fryzura. Ubrany jest w krótkie dresowe spodenki i białą koszulkę. Całość intensywnie pachnie proszkiem do prania, jakby chłopak dopiero wyjął z reklamówki strój na WF.

Moje ostrożne pytanie, czy aby na pewno możemy rozmawiać o ojcostwie, okazuje się dla niego najtrudniejsze.

– Mój syn urodził się dziewiętnastego grudnia, a dwudziestego siódmego rozpocząłem odbywanie kary pozbawienia wolności. Córka, bo mam też córkę, urodziła się już w czasie, kiedy byłem w więzieniu. Korzystaliśmy z partnerką z przysługujących mi widzeń pewnego rodzaju. Relację z dziećmi zbudowałem i pielęgnuję na tyle, na ile pozwala system penitencjarny. Nie wiem, czy to można nazwać doświadczeniem ojcowskim.

Maciek za kratami jest od trzech lat, przed nim jeszcze pięć. Nie precyzuje, jakie konkretnie były zarzuty, mówi tylko, że było to kilka procesów ciągnących się miesiącami, a nawet latami. Błędy z czasów studenckich. W międzyczasie chłopak zdążył zerwać ze środowiskiem, zacząć praworządne życie, poznać obecną partnerkę i założyć rodzinę. Ostatni wyrok był skazujący, spowodował odwieszenie innych kar i zrobiło się z tego osiem lat odsiadki. Wiedział, co nad nim wisi, ale miał nadzieję, że da się tego uniknąć. Zabrakło mu odwagi, żeby uprzedzić dziewczynę.

– To nie było z mojej strony uczciwe, przyznaję. Po wielu rozmowach, które odbyliśmy, mam wrażenie, że domyślała się, ale nie zadawała pytań.

Pierwsze i najważniejsze dla człowieka, który za murami więzienia zostawia maleńkie dziecko: rodzina jest zabezpieczona. Partnerka Maćka ma wsparcie swoich i jego rodziców, którzy zapewniają jej i dzieciom odpowiedni poziom życia. Jeden kłopot z głowy.

– Na początku było mi bardzo trudno, podchodziłem do sprawy emocjonalnie. Miałem świadomość własnej porażki, jako syn, jako osoba, jako partner, jako ojciec, którym zostałem i po tygodniu moja rola się na tym skończyła.

Podstawą kontaktu z rodziną są widzenia, do przepustek na razie Maciek nie ma prawa. Pierwszy raz odwiedzili go za kratami, kiedy dziecko miało trzy miesiące.

– Byłem pozytywnie zaskoczony, że syn nie reaguje płaczem, kiedy trzymam go na rękach. Kiedy mówiłem do niego, uśmiechał się. To był dla mnie wstrząs.

Tłumaczy, że wstrząs był pozytywny, ale po tym widzeniu przez tydzień dochodził do siebie. Przytłoczyła go świadomość, ile traci i jak zawiódł.

Maciek miał kilka procesów i wyroków, więc jego więzienne losy nie są proste. Przez ponad rok był w jednostce na Pomorzu i rodzina miała do niego daleko. Trudno było dojechać z dwójką małych dzieci, ale korzystali ze Skype'a, dwa–trzy razy w miesiącu. Takie dwudziestominutowe rozmowy. Dzieci widziały tatę.

Teraz mają dziewięćdziesiąt kilometrów – to nadal jest dystans, który wymaga logistyki. Na początku miesiąca Maciek z partnerką przygotowuje plan spotkań, na widzenia kobieta musi brać urlop. Przyjeżdżają tu na godzinę, czasem na dwie. Ostatni raz widzieli się dzień przed naszym spotkaniem.

Było świetnie. Nasłuchał się o przedszkolu, nowych kolegach i koleżankach, wysłuchał wiersza i był bardzo dumny, że jego syn potrafi tak ładnie mówić. Zabawa i jeszcze raz zabawa. Córka jest nieśmiała, to pewnie kwestia wieku i charakteru, no i miejsce, które może nie do końca być pozytywnie odbierane przez dzieci.

Dzieci są przekonane, że odwiedzają tatę w pracy. Mama powtarza im, że to jest wyjątkowe miejsce, z którego nie można nic ukraść, dlatego są panowie w mundurach i pilnują. Maciek ma nadzieję, że dzieci nie zapamiętają.

Może za kilkanaście lat przyjdzie pora, żeby z nimi o tym porozmawiać, może kiedyś same zaczną zadawać pytania: tato, dlaczego nie ma cię na zdjęciach z naszego dzieciństwa?

Jeśli Maćkowi nie uda się skrócić kary, opuści więzienie, kiedy dzieci będą miały osiem i sześć lat, więc jego nadzieje na rozmowę za dziesięć lat lub więcej są dość naiwne.

To, czego się nie obawia, to uświadomienie dzieci przez kogoś innego.

– Odbywam karę i nie ukrywam tego, ale moi rodzice mają inne podejście, ponieważ jestem dla nich obciążeniem. Obracają się w kręgach politycznych, administracji publicznej. Moja mama boi się, że jeśli ktoś się dowie, że ma syna w więzieniu, to uzna, że z całą rodziną jest coś nie tak. Moja ciotka była posłanką. Nie dostała drugiej kadencji, ale była, i to z partii, dla której byłbym problemem.

Dużo myśli o tym, czy jego przeszłość nie będzie dla dzieci balastem. Zapowiada, że nigdy nie wróci na drogę przestępczą, że będzie najlepszym ojcem. Nie ma wątpliwości, że kara pozbawienia wolności to dobra szkoła i nauczka.

– Jest świadomość, że nie przeżyję już tego: nie odprowadzę syna do przedszkola, nie pójdę na Dzień Ojca. Wszystko straciłem przez własną głupotę.

Maciek mówi, że podstawą kontaktu z dziećmi są widzenia, ale z jego opowieści wynika, że wszystko bazuje na pracy jego partnerki. To ona dba o to, żeby dzieci o nim pamiętały i myślały. Pokazuje zdjęcia, opowiada historie, przypomina, że tata jest, kocha, tęskni i przysyła prezenty.

Na prezenty sposób jest taki: Maciek wybiera upominki wspólnie z partnerką lub sam. Czasem matka dzieci zdecydowanie się sprzeciwia, ale on forsuje swoją koncepcję, tłumacząc, że gdyby mógł, toby kupił. Rozeznanie w świecie dziecięcych atrakcji ma, ponieważ partnerka przysyła mu zdjęcia i katalogi, opowiada o trendach. Maciek sięga też do własnych wspomnień.

– Mój ojciec zamiast Kubusia Puchatka puszczał mi na wideo *Gwiezdne wojny*. Nie popełnię tego błędu. Nie będę puszczał trzylatkom filmów, w których się odcina ręce. Ale mam sentyment, więc mają zabawki licencjonowane *Gwiezdnymi wojnami*, pluszaki, maskotki. Standardowo: zestawy lego duplo, play-doh.

Kiedy zapada decyzja, kobieta odpowiada za zakup i dostarczenie prezentu od taty, tak jak za pośrednictwo przy rozmowach telefonicznych, zaangażowanie dzieci w listy do taty i od taty. Maluchy gromadzą rysunki, ona dołącza krótkie opisy, żeby Maciek wiedział, na co patrzy.

– Bywam straszakiem. Dzień przed widzeniem jestem informowany, że wyniknęła taka i taka sytuacja, że mam przemówić do rozsądku, i robię to. Córka jest jeszcze za mała, żeby rozumieć pewne rzeczy, ale syn tak, dostrzega autorytet. Potrafi podejść i zapytać mnie, czy może zjeść ciastko.

Maciek nie może swobodnie poruszać się po sali widzeń, więc kiedy syn prosi go, żeby kupił mu lizaka, znowu konieczna jest dyskretna interwencja: ktoś inny musi go kupić i przekazać, żeby Maciek mógł dać.

Partnerka Maćka dokumentuje wszystko, co go omija. Chłopak obrusza się jednak, kiedy nazywam to „obowiązkiem".

– Pochodzimy oboje z takich rodzin, że takie rzeczy są naturalne i sprawiają przyjemność. Fajnie jest mieć pamiątki swojego rozwoju. Jeszcze zanim syn się urodził, kupiliśmy książkę z jakimś magicznym proszkiem, w którym robiło się odcisk nóżki, odcisk rączki, prowadziło się zapiski, kiedy pierwszy ząb.

Wszystko jest uzupełniane na bieżąco: zapiski, zdjęcia i filmy, bo dziadek zainwestował w kamerę. Nagrania na płytach trafiają do Maćka.

– Tak to wygląda. Nie powiem, że oglądanie tego nie sprawia mi bólu, bo sprawia. Pozytywne emocje przesłaniają jednak te negatywne.

Maciek zakłada, że trzy lata, które już tu spędził, i pięć kolejnych, które się przed nim rysują, dały mu szansę na tyle przemyśleń, refleksji i pracę nad własnym charakterem, że jest gotowy na chwilę, kiedy dzieci wypomną mu więzienie. Uważa, że udźwignie ten zarzut, że rozmowa się na tym nie skończy.

*

„Zdarzają się osadzeni, którzy starają się mieć pozytywny wpływ na życie i wychowanie swoich dzieci. Chwalą się ich sukcesami, przynoszą zdjęcia. Potrafią mądrze i z namysłem podtrzymywać prawidłowe relacje" – wycinam tę opinię z maila od wychowawczyni więziennej. To końcówka wiadomości, treść, która znalazła się po „ale". Przed „ale" nie było nic dobrego.

Rozmawiałam o ojcostwie z więźniami. Pojechałam do zakładu karnego, w którym karę odbywa niemal dziewięciuset osadzonych. Funkcjonariusze wytypowali dla mnie sześciu potencjalnych rozmówców. O tym, że i o tych sześciu łatwo nie było, słyszałam

kilka razy. Rozmawiałam więc z prymusami, z tymi, którzy w mailu wychowawczyni znaleźli się po „ale". O ojców przeciętnych i o tych, którzy oblali egzamin z ojcostwa, wypytywałam nieoficjalnie.

Rozmówców wyszukiwałam przez Facebooka, zbierałam polecenia, zagadywałam osoby aktywne na forach dla funkcjonariuszy. Opowiedziałam też życzliwemu kierownikowi penitencjarnemu o tym, że chciałabym poznać szczere opinie więzienników na temat ojców za kratami. Ta sprawa otwiera jak żadna inna. Kierownik penitencjarny poprosił o przesłanie pytań, a potem najwyraźniej zrobił z nich swoim podwładnym kartkówkę, bo po tygodniu dostałam skany anonimowych wypowiedzi. Czasem podpisanych tylko stanowiskiem, czasem i bez tego. Ich opiniom daleko do poprawności, dlatego zakładam, że są uczciwe.

W wiadomościach od funkcjonariuszy czytam o osadzonych, którzy nie przyznają się do potomstwa. Bywa, że zafałszowanie informacji o rodzinie to gra na współczucie, bo komu by żal nie było człowieka samotnego? Częściej jednak chodzi o to, że dzieci to obowiązek alimentacyjny, wypadałoby więc pracować, a nie każdy ma na to ochotę. „Spotkałem się z rekordzistami, którzy mieli po 200–300 tysięcy zaległości" – opisuje psycholog. Dodaje, że kilkukrotnie usłyszał od alimenciarza namawianego do podjęcia płatnej pracy: „Nie mam ochoty pracować, jak panu tak leży na sercu los moich dzieci, to niech pan na nie płaci!". Wychowawczyni pisze, że zdarza się osadzonym złośliwie rezygnować z możliwości płacenia alimentów w ramach karania partnerki, z którą są w konflikcie. Statystyki Służby Więziennej mówią, że w 2018 roku przeciętna rata alimentacyjna płacona przez osadzonych wyniosła trochę ponad 200 zł.

Ale jak to – pytam – jak to możliwe, że poznaję w więzieniach ludzi, dla których rodzina jest najważniejsza, których utrzymuje na powierzchni. Jak to jest na własne dziecko z premedytacją nie płacić?

„Z moich obserwacji wynika, że może 5–10 procent ojców utrzymuje regularny kontakt ze swoimi dziećmi i robi coś więcej niż jedna rozmowa telefoniczna w tygodniu” – pisze do mnie jedna psycholożka. Nie brakuje takich, którzy i tej jednej rozmowy nie odbywają. Albo takich, którzy utrzymują kontakt z bliskimi, by ich krzywdzić: „Są też panowie znęcający się – art. 207 – kontaktujący się z rodziną, uczestniczący w odwiedzinach po to, by te rodziny nawet z więzienia terroryzować. Co ciekawe, matki, zamiast załatwić rozwód, zakaz zbliżania się, prowadzają tę dziatwę na odwiedziny w strachu przed takim typem” – pisze psycholog.

Jeszcze jedna grupa: ojcowie, którzy udają zaangażowanie, żeby realizować swoje cele. „Zdarzyła się sytuacja, że osadzony uzyskał nagrodę w postaci widzenia w oddzielnym pomieszczeniu, bez osoby dozorującej – tak zwanego intymniaka – bo deklarował, że chciałby bez obecności funkcjonariusza pobawić się z dziećmi i porozmawiać z żoną. Okazało się, że zamknął dzieci w toalecie i odbywał stosunek z żoną” – opowiada psycholog. „Mówi się, że złodziej kombinuje 24 godziny, 23 w celi i godzinę na spacerze. I to jest niestety w większości prawda” – kwituje psycholożka z Pomorza.

„Jakość relacji często jest połączona z rodzajem popełnionego przestępstwa” – mówi funkcjonariuszka. Osoby, które odpowiadają za czyny popełnione nieumyślnie najczęściej mają ciepły i bliski kontakt z dziećmi czy partnerką. Wychowawczyni zauważa z kolei, że osadzonym odpowiadającym za artykuły 148, 156 lub 280 – czyli zabójstwo, pobicie lub napad – trudno przychodzi nawet rozmowa o dzieciach, szczególnie gdy mają o tym opowiadać kobiecie. Bo jak twardziel miałby się przyznawać do porażki na takim polu? Jak miałby nad tym pracować, zabiegać, starać się?

Szukam przyczyn. Psycholog podpowiada, że wielu osadzonych pochodzi z rodzin patologicznych, dysfunkcyjnych, rozbitych i nigdy nie nauczyli się, jak tworzyć i podtrzymywać relacje z bliskimi, nie

mają prawidłowych wzorców ojcostwa. „Częstym zjawiskiem są zaburzenia osobowości, uzależnienia oraz inne deficyty, przez co ich postawa względem tych obowiązków nie jest właściwa" – tłumaczy, że osadzonym zdarza się deklarować przywiązanie do rodziny i zaangażowanie w ojcostwo, ale bez pokrycia w czynach. Wiedzą, że powinni być ojcami, ale nie potrafią albo im się nie chce. Od innej psycholożki słyszę o dzieciach placówkowych, dla których więzienie jest kolejnym etapem po domu dziecka, ośrodkach wychowawczych, poprawczakach.

„Miałam pana, który był jednym z ośmiorga rodzeństwa, z których siedmioro siedziało, a jedno nie, bo było w wieku szkolnym. W pewnym momencie na jednej celi mieliśmy trzech braci. Tylko jeden z tej siódemki ogarnął się, zmienił życie i więcej do więzienia nie wrócił" – opowiada psycholog. Przyznaje, że przykładów „dziedziczenia" doświadczeń więziennych także jest sporo. Nie brakuje też przypadków, gdy ojcowie odrzucają synów, gdy ci trafiają do więzienia.

Matki nie odwracają się niemal nigdy.

Mężczyzna może być dobrym ojcem zza krat – mówi mi każdy, choćby najbardziej gorzkie historie o ojcach mi właśnie opowiedział, bo każdy chce pamiętać również te jasne strony i dobre przykłady, na nich się koncentrować. Narzędzia do dbania o relację z najbliższymi, które daje osadzonym prawo, to widzenia, których może być więcej, mogą być dłuższe, a nawet bezdozorowe, jeśli skazany dobrze się zachowuje. Może do bliskich dzwonić i pisać, może rozmawiać przez Skype'a, jeśli mają zbyt daleko na odwiedziny. Zakład karny organizuje świąteczne spotkania rodzinne i daje możliwość odpłatnej pracy, by osadzony miał możliwość płacenia alimentów i pomagania bliskim.

Nie ma tu jednak prostych rozwiązań. „Widzenia z dziećmi na terenie zakładu karnego to kwestia delikatna" – twierdzi psycholog.

„Nie oceniam tego dobrze” – dodaje wychowawczyni i podaje przyczyny swoich zastrzeżeń: psychika dziecka, która dopiero się kształtuje i nie powinna tego robić w takich warunkach, egoizm ojców, którzy koncentrują się na realizacji tylko swoich potrzeb. Pisze: „Pamiętam widzenie, na które przyjechała konkubina z noworodkiem, z którym dzień wcześniej wyszła ze szpitala. W takiej sytuacji na pewno nie były zaspokojone potrzeby dziecka, a jedynie bezmyślnych rodziców, którzy dodatkowo narażają dziecko chociażby na problemy zdrowotne”. Jak zaznacza psycholog, nie brakuje też osadzonych, którzy do widzeń z dziećmi podchodzą sceptycznie. Dzieje się tak z wielu powodów – na przykład nie chcą narażać dzieci na stres, nie chcą, żeby dzieci widziały ich w więzieniu, często utrzymują je w przekonaniu, że tata jest pracy lub za granicą. Kluczowa jest też rola partnerki, która może pełnić funkcję pośrednika między ojcem a dzieckiem.

Pomocą mogą być też psychologowie i wychowawcy. Dzięki podsłuchiwaniu rozmów osadzonych i czytaniu ich korespondencji wiedzą o problemach rodzinnych i reagują, choćby w celu uniknięcia kłopotów. Czasem skazani zgłaszają się sami po pomoc. Psycholog nakreśla zakres rozmów: „Począwszy od tęsknoty, sposobów radzenia sobie z rozłąką, poprzez kwestie praw ojcowskich, spraw sądowych. Zdarza się, że osadzeni zwracają się po poradę w związku z trudnościami wychowawczymi lub dotyczącą sposobu rozmowy z dzieckiem na trudne tematy”. Psycholożka z Pomorza zwraca uwagę na skazanych, którzy nie wywodzą się ze środowiska przestępczego i czują potrzebę porozmawiania czasem z kimś „normalnym”, a nie tylko z kolegami z celi, szukają wentyla emocjonalnego. To często grzeczne dzieci z dobrych domów, wychowane tak, że nie potrafiły odmówić nawet osobie, która namawiała ich na popełnienie przestępstwa.

Jest więc i taki ojciec – opowiada mi psycholożka – który łączy godziny widzeń, żeby móc się komfortowo spotkać z przyjeżdżającym z drugiego końca Polski synem ze spektrum autyzmu. Są też ojcowie, dodaje psycholog z Podlasia, którzy robią, co mogą, choćby rękodzieło, w prezencie dla dzieci. Tacy, którzy odrabiają z dziećmi lekcje przez telefon i zdarza im się zwrócić po pomoc do wychowawców, gdy na przykład przerasta ich zadanie z matematyki, a nie chcą dziecka zawieść. Wychowawcy, jak deklarują, starają się pomóc. Im też zależy na tym, żeby tym wyjątkowym pomagać i wspierać, patrzeć, jak układają się sprawy, mieć dzięki temu to „ale", które pomaga przetrwać twarde zderzenia z rzeczywistością.

Każdego zapytałam o szczególne przypadki. Każdy odpowiedział, że nie ma żadnej wyjątkowej historii, że wszystkie są do siebie podobne. Jedna z psycholożek zdecydowanie wolała rozmawiać o alkoholizmie i rozwodach jako chorobie zawodowej Służby Więziennej. Mówi, że po tej stronie też cierpią rodziny.

*

Niewielka sala szczelnie nabita mężczyznami. Siedzą na krzesłach, widać głównie ich plecy, gdzieniegdzie profil, założone ręce, wyciągnięte przed siebie nogi. Na pierwszym planie jedyny ostry element tej fotografii: tatuaż na ramieniu jednego z uczestników tego spotkania, toporne plemienne wzory.

– Byli tak podekscytowani wizją dnia z bliskimi, że nikt nie protestował, kiedy się dowiedzieli na tym spotkaniu, że będą robione zdjęcia. – Autor zdjęcia, Piotr Kochański, nakreśla okoliczności jego wykonania: w przeddzień rodzinnego święta w Zakładzie Karnym w Łowiczu.

Na kolejnych widzimy tych samych mężczyzn wśród bliskich. Z okazji święta niemal wszyscy osadzeni założyli białe koszulki, kontrastujące z kolorowymi sukienkami kobiet. Świątecznych kobiet, prosto od fryzjera, z mocnymi makijażami. Wokół dzieci, pełen przekrój wiekowy. Od roześmianych bobasów w ramionach rodziców po hordy kilkulatków szukających rozrywki na więziennych korytarzach. Łowicz to zakład typu półotwartego, są tam możliwości i dużo dobrej woli, by spotkania z rodzinami odbywały się nie tylko w wyznaczonej do tego sali. Na kolejnych zdjęciach widzę rodziny siedzące z osadzonym w celi, dzieci wygłupiające się na więziennym piętrowym łóżku. Na dłużej zatrzymuje mnie zdjęcie starszego mężczyzny w garniturze, wspierającego się laską, prowadzonego pod rękę przez rosłego więźnia w galowej bieli. Idą seledynowym korytarzem w stronę wyjścia z budynku, mijają właśnie kraty, grupka rozgadanych mężczyzn odsuwa się pod ścianę, robi miejsce idącym. I dzieci, mnóstwo dzieci. Jeden chłopiec w niebiesko-czerwonej czapce załapał się chyba na piętnaście zdjęć. Biegnie korytarzem, goni za piłką, siedzi na ławce, ale tylko przez chwilę, bo na następnym już go ktoś trzyma na rękach.

– Serce mi się kraje, jak patrzę na te dzieci wtulone w ojców. To nie jest reżyserowane. Różne bywają ich reakcje, niektóre się odwracają, inne nie chcą zejść z kolan. Dla jednego dziecka warto te spotkania, te widzenia robić. Dla ojców też, niech czują, że są ojcami.

Mężami i partnerami też, dodałby Marek Łagodziński, prezes Fundacji „Sławek", pomagającej więźniom obecnym i byłym oraz innym wykluczonym osobom. Też ma swoją kolekcję zdjęć, dziesiątki anegdot i przemyśleń związanych z widzeniami.

– Taki na przykład Radom, stosunkowo nowe więzienie, z piękną salą dla dzieci. Co z tego, że jest sala, i to piękna, skoro te dzieci, kiedy

przychodzą na widzenie, muszą najpierw czekać na mrozie, bo poczekalnia jest daleko od bramy, a potem pokonują kilometry betonowych korytarzy i z pięć razy przechodzą przez różne kraty? Nie dałoby się inaczej?

Łagodziński pokazuje zdjęcia, nawet utrwaloną na fotografii makietę więzienia w Radomiu skądś ma. Pokazuje mi kolejne kluczowe punkty: tu się czeka, tu się wchodzi, to jest sala. Faktycznie, niemal cały obiekt do przejścia. Bezradnie kręci głową, ale sięga do innego folderu, w którym trzyma jeszcze smutniejsze historie.

– Taka głupota – opowiada dalej. – Organizowaliśmy świąteczne spotkania dla osadzonych z rodzicami, nasze dziewczyny poprzebierane robiły atrakcje dla dzieci, gry i zabawy, malowały buźki. Po tym pięknym dla dzieci i rodziców czasie, nagle funkcjonariusze mówią: dziękujemy, do widzenia. Skazani na jedną stronę, rodziny na drugą stronę. Osadzeni wychodzą, a te wszystkie dzieci patrzą, jak pan w mundurze tatusia prowadzi, krata się zamyka. Po co?

Łagodziński widziałby to tak: osadzeni zostają na swoich miejscach, rodziny się żegnają i wychodzą, a dopiero potem funkcjonariusze wyprowadzają więźniów. Przecież znają skazanych, nikt im nie ucieknie, udając cywila. Na Zachodzie, jak mówi Łagodziński, przy stolikach w sali widzeń osadzeni mają krzesła innego koloru, to ułatwia ich pilnowanie.

– Względy bezpieczeństwa muszą być zachowane, ale trzeba wczuć się w sytuację odwiedzających – mówi i przywołuje kolejny przykład. Był na widzeniu u osadzonego skazanego na dwadzieścia pięć lat. W spotkaniu brała udział żona więźnia, która na te widzenia co trzy miesiące przylatuje ze Stanów. – Ja ten zakład znam, wiem, w której on jest celi, którędy będzie szedł, jak wyglądają korytarze, mam to w oczach. A ona nie. Dla niej otwierają się te drzwi i wychodzi

ukochany mąż. Próbowałem sobie wyobrazić, co bym czuł, gdybym czekał na swojego syna. To jest zupełnie inna perspektywa.

Łagodziński punktuje organizacyjne wady widzeń, standardowych widzeń, nie takich, jak rodzinny festyn w Łowiczu. Widzeń w salach do tego przeznaczonych, gdzie stolik przy stoliku, człowiek przy człowieku, dzieci w kąciku zabaw i okienko, za którym jest kantyna i można kupić kawę czy ciastka.

– Mnóstwo ludzi, jeden przez drugiego mówi, harmider, przekrzykują się, dzieci się bawią. Zakupy można zrobić w czasie widzenia kosztem czasu widzenia, nie można wcześniej. Skazany nie może podejść do kantyny, więc robią te zakupy tylko goście, a skazany krzyczy przez całą salę: „Jeszcze kolkę mi weź!". No ale są ze sobą – fajnie, lepsze to niż nic.

Lepiej wypadają w opowieściach Łagodzińskiego widzenia bezdozorowe. Tam jest ciszej. Bez dozoru nie znaczy od razu, że widzenia są intymne, to też spotkania przy stolikach, tyle że nie pod ciągłą kontrolą. Spotkania sam na sam, dające możliwość zaspokojenia potrzeb seksualnych – ale nie tylko, czasem chodzi w nich o bycie z drugim człowiekiem bez świadków, to ostatni wariant widzeń. I tu Łagodziński dostrzega problemy, które opisuje na przykładzie warszawskiej Białołęki:

– Kobieta, która idzie na spotkanie intymne, przechodzi na oczach wszystkich odwiedzających do tego pomieszczenia. Niejeden raz słyszałem od kobiet, że wejście do takiego pomieszczenia na oczach wszystkich jest upokarzające jak mało co. Tam nawet nie ma sufitu, bo to nie jest samodzielny pokój, tylko miejsce wydzielone z większej sali. Jak kobieta chce się umyć, to musi przejść przez salę widzeń do ogólnodostępnej umywalki. Szkoda słów.

A w Nysie na przykład, kontynuuje Łagodziński, zieleń piękna, a wśród tej zieleni pawilon widzeń, w którym sala spotkań jest duża, nikt nikomu na plecach nie wisi. Funkcjonariusz ma miejsce na

podwyższeniu, co pozwala mu patrzeć dyskretnie, ale skutecznie. Dalej sala widzeń bezdozorowych, kilka stolików, znowu w gwarantującej prywatność odległości od siebie. Do tego jeszcze sala widzeń z dziećmi, kilka stolików i plac zabaw niemal, wszystko wymalowane w bajeczne wzory, pewnie przez osadzonych. Do pokoju widzeń intymnych, który przypomina standardem raczej apartament hotelowy, wchodzi się osobnym wejściem. W pokoju łazienka z prysznicem, ale też stolik, fotele, herbatę można sobie zrobić.

Kolejny raz oglądam zdjęcia Kochańskiego. Piękna seria: przy stoliku, blisko siebie siedzi para w średnim wieku. Przytulają się, trzymają za ręce, on się chowa w jej ramieniu, ona dotyka jego twarzy, może ociera łzę?

– Takie zdjęcia, zdjęcia na widzeniach, robię zza węgła i czuję się winny, że podglądam. Ja nie jestem jak fotoreporter wojenny, że krew się leje, a ja nie wypuszczam aparatu z ręki. Nie. Czuję, że to jest ich spotkanie, może nie intymne, a jednak intymne. Ładować się w to z aparatem, obiektywem? Wiem, że krzywdy im nie robię, wiem, że to jest element ich kary, a moja praca. Ale takie zdjęcia robię z ukrycia.

Jedyne widzenia, jakie widziałam, to te ze zdjęć Kochańskiego. Żadna jednostka, do której się zgłosiłam, nie wyraziła zgody na to, żebym przeszła procedurę kontroli i weszła do sali spotkań, zobaczyła, jak to wygląda. Ktoś zasłonił się ochroną danych osobowych, jedna rzeczniczka prasowa zaczęła nerwowo dopytywać, czy ja przypadkiem nie byłam karana, kilka jednostek odmówiło mi bez uzasadniania decyzji. Tłumaczyłam, że rozumiem, czym są widzenia dla osadzonych, dlatego nie próbuję się do nikogo wprosić i marnować szansy na spotkanie z rodziną. Obiecywałam, że się rozejrzę i wyjdę, nie będę zaczepiała nikogo ani podsłuchiwała.

Widzenia w Areszcie Śledczym na warszawskim Grochowie odbywają się codziennie między 8.15 a 15.45. Zgłoszenia na widzenia przyjmowane są od 8.15 do 12.15. Dni są podzielone między osadzonych alfabetycznie, Antczak może zobaczyć się z bliskimi we wtorki lub drugą niedzielę miesiąca, Piotrowski w czwartek lub w trzecią niedzielę miesiąca. Aresztowani zgodnie z kodeksem karnym wykonawczym mają prawo do minimum jednego spotkania z osobą najbliższą w miesiącu. Jest tu jednak długa lista osób i instytucji z prokuratorem na czele, którzy mogą w jedną lub drugą stronę tę częstotliwość zmienić.

Pod grochowskim aresztem byłam trzy razy. Trzy razy myślałam, że skoro rodziny czekają na widzenie, to mogę z nimi w tym czasie porozmawiać. Dwa razy w niedzielę rano. Za pierwszym razem tylko wtopiłam się w sporą grupę czekających kobiet, przeczytałam wszystkie rozwieszone ogłoszenia, zajrzałam do poczekalni, w której nikt w taki ładny dzień nie siedział. Za drugim razem nawet weszłam w dialog, organizacyjnie zagadnęłam czyjąś matkę lub żonę. Wytłumaczyła mi, gdzie mam iść i co mam zrobić, jeśli wybieram się na widzenie. Trzecią próbę podjęłam w środę, zakładając, że mniej będzie czekających, więc może i warunki lepsze. Nie było nikogo. Wiedziałam, że to był mój ostatni raz i że rozmowy przed widzeniami nie zrobię.

– I dobrze – powiedział mi niedługo później Marcin, osadzony z południa Polski, z którym rozmawiałam o spotkaniach z rodziną. – Przecież tam takie muszą emocje grać, że głowa mała! I zniecierpliwienie tym czekaniem, i wstyd, i złość. Na widzenia takie rzeczy ludzie przynoszą, takie żale i awantury! Kłopoty by tam pani znalazła, a nie wywiady.

Dom w pół drogi

Art. 38. § 1. W wykonywaniu kar, środków karnych, kompensacyjnych, zabezpieczających i zapobiegawczych, w szczególności związanych z pozbawieniem wolności (…) mogą współdziałać stowarzyszenia, fundacje, organizacje oraz instytucje, których celem działania jest realizacja zadań określonych w niniejszym rozdziale, jak również kościoły i inne związki wyznaniowe oraz osoby godne zaufania.

Ulica Rakowiecka w Warszawie w słoneczny letni dzień. Z prawej strony kadru Marek Łagodziński, z lewej mężczyzna przytulający wyraźnie niechętnego pieszczotom chłopca. Dziecko ma jakieś dziesięć lat, mniej więcej tyle za kratami jest ściskający go właśnie ojciec. Widzą się pierwszy raz na wolności, do tej pory spotykali się tylko na widzeniach, na które przywoził mieszkającego za granicą chłopca wujek. Pierwsza przepustka, tylko kilka godzin – sześć? Osiem? Kolejne zdjęcia obrazują ich przebieg. Jest wycieczka nad Zegrze i wygłupy w wodzie. Jest obiad w restauracji, roześmiane dziecko wsuwa frytki. Jest i pożegnanie: chłopiec nie chce wypuścić z objęć ojca.

Oglądam te zdjęcia w siedzibie Fundacji „Sławek", bo to fundacja umożliwiła tej dwójce przeżycie tego dnia. Nie tylko zorganizowała wycieczkę, nie tylko zabrała do restauracji, ale przede wszystkim zabrała osadzonego na przepustkę. Poręczenie zaufanej instytucji

jest często niezbędne, żeby więźniowie mogli wyjść na chwilę za mury. Ta rodzina nie jest jedyną, której pomogła fundacja.

– To jestem ja, to jest mój mąż, syn i córka. Mąż jest prezesem, ja siedzę w poradni, syn jest głównym zarządzającym i będzie przejmować. Córka mniej teraz działa, bo mieszka w Szwajcarii. – Kolejne zdjęcie z archiwum pokazuje mi Danuta Łagodzińska.

Łagodzińscy założyli Fundację „Sławek" w 1998 roku. Sprawami osadzonych zajmowali się wtedy już od kilku lat. Zaczęło się od spotkań Anonimowych Alkoholików w Areszcie przy Rakowieckiej w Warszawie, na które Łagodziński poszedł z własnym problemem. Znalazł tam nowych przyjaciół i misję.

Tacy Aniołowie na przykład: wolontariusze, często byli więźniowie, którzy obejmowali opieką osadzonych, by mogli wyjść na przepustkę, pooddychać innym powietrzem, spełnić prozaiczne zachcianki.

– Ktoś chciał na lody, to szliśmy na lody, inny do kościoła, ktoś chciał na AA poza zakładem – opowiada Łagodzińska. Za czasów realizacji tego programu fundacja miała też możliwość przenocowania osób, które dostały dłuższą przepustkę, na przykład trzydzieści godzin, i nie miały się gdzie podziać.

„Sławek" to biuro na ulicy Andersa w Warszawie i Dom w pół drogi w Mieni pod Mińskiem Mazowieckim. Wcześniej stacjonowali na Solidarności i tam mieli miejsca noclegowe.

– Oczko wodne było, miejsca noclegowe były, wszystko było, ale metro wybudowali i komuś teren był potrzebny, to zabrali. Takie jest właśnie ludzi traktowanie – wzdycha Łagodzińska.

Fundacja pomaga też za murami. Łagodziński i wolontariusze chodzą do więzień, wysłuchują, rozmawiają. Zabierają za sobą byłych więźniów, którzy dają świadectwo: opowiadają o swoim życiu, o potykaniu się i podnoszeniu, nałogach i samotności. – Te działania mają na celu pokazanie osadzonym, że po wyjściu z więzienia wcale nie trzeba iść do kolegów. Trzeba przyjść do „Sławka", tu

porozmawiamy, doradzimy – mówi Łagodzińska, która zdaje się być ucieleśnieniem fundacji w tej kwestii. Ile razy przychodzę lub dzwonię, zawsze trafiam na nią.

Opowiada o kolejnych projektach. Tu „Uwolnieni”: pięć więzień, pięć szkół ponadgimnazjalnych, pięć młodzieżowych ośrodków wychowawczych, pięciu więźniów, którzy pozwolili na nagranie swoich świadectw. Nagrania były odtwarzane na spotkaniach z młodzieżą, w których czasem brali też udział osadzeni.

Tu „Poczytaj mi”. Inspiracja przyszła z Anglii, wolontariusze „Sławka” poszli do więzień.

– Więzień wybierał bajkę, myśmy go uczyli prawidłowo ją czytać. Facet wielki, wytatuowany, a płacze jak bóbr, kiedy mówi do swojej córki Kasi, która ma trzy latka: „Kasia, mnie teraz nie ma, ale będę czytał ci bajkę”. Ze trzy razy nagrywał, zanim było dobrze.

Łagodzińska opowiada o ludziach, sięga po zdjęcia, wskazuje kolejnych: tu Józiu, który z pięć razy był w więzieniu, łącznie dwadzieścia pięć lat przesiedział, ale nikogo nie zabił. Tu Mundziu, który był Jezusem w misterium męki Pańskiej wystawianym przez fundację – niedawno umarł. Tu podopieczny z córką, tu inny z żoną.

Od 2000 roku w fundacji jest taka tradycja – osadzeni i grupa osób niepełnosprawnych idą razem do Częstochowy.

– Idziemy dziesięć dni. Więźniowie myślą, że to łatwe, a to jest bardzo trudne: cały dzień się takim niepełnosprawnym opiekować, wysiusiać, wykupkać. W lepszych czasach było ich więcej, i dziesięciu, i piętnastu. W dwa tysiące osiemnastym szło już tylko sześciu, inni są zajęci pracą. Do następnej pielgrzymki jeszcze pół roku, a niepełnosprawni już dzwonią i pytają, czy będą dla nich więźniowie – opowiada Łagodzińska. Dodaje, że pielgrzymka to też kondycyjnie wyzwanie dla mężczyzn, którzy przez lata mają tyle ruchu, ile daje im codzienny godzinny spacer.

Działania fundacji często mają podłoże religijne. Urządzali wspólne modlitwy, misterium męki Pańskiej w Mieni. Urządzali, bo teraz brakuje im na to pieniędzy i sił. W 2019 roku zabrakło na misterium.

– Jest fatalnie. Jak na Mienię piszemy projekty, to coś dostajemy od miasta, ale to takie pieniądze, że trzeba dokładać. Utrzymujemy się głównie ze środków unijnych. Do dwa tysiące siedemnastego roku dostawaliśmy pieniądze od ministerstwa na świadczenie pomocy postpenitencjarnej, ale się pozmieniało, takie fundacje jak nasza nie są już potrzebne – opowiada z rozżaleniem Łagodzińska. Tłumaczy, że wszystkich więźniów mobilizuje się obecnie do pracy, a „Sławek" po dwudziestu latach stracił prawo wchodzenia do więzień. Osadzeni dzwonią i proszą o wizytę i rozmowę, ale prezes nie może przyjechać.

Napisałam do Ministerstwa Sprawiedliwości z prośbą o wyjaśnienie przyczyn zakończenia współpracy z Fundacją „Sławek". W odpowiedzi dostałam kilkuzdaniowy opis działalności fundacji, między innymi informację o pielgrzymkach do Częstochowy. Znalazło się tam też zdanie: „Centralny Zarząd Służby Więziennej w Warszawie nie ma podpisanego porozumienia dotyczącego współpracy z Fundacją »Sławek«. Fundacja swe aktywności realizuje natomiast bezpośrednio w kilku jednostkach w Polsce". Tyle od Ministerstwa.

Dopytuję więzienia drogą oficjalną. Rzecznik prasowy dyrektora Zakładu Karnego w Sztumie major Kamil Dobrzyński przesłał mi informacje o udziale więziennej grupy teatralnej Piktogram w festiwalu sztuki MieniaArt organizowanym przez fundację – w 2016 roku wystawili tam *Czekając na Godota* Becketta, w 2017 *Dziób w dziób* Maliny Prześlugi, a w 2018 *Boską komedię* Dantego. Fundacja prowadziła też w Sztumie projekt profilaktyczny promujący zdrowy, wolny od uzależnień styl życia „Uwolnieni" oraz program „Wolność jest w tobie", którego celem było znalezienie źródeł wiary,

hierarchii wartości i sensu ludzkiej egzystencji. Dobrzyński ocenia te działania pozytywnie: „W każdym z wyżej opisanych przypadków współpraca z Fundacją »Sławek« układała się na dobrym poziomie. Organizowane przedsięwzięcia wpisywały się w proces resocjalizacji i realizację celów wykonywania kary pozbawienia wolności".

Rozpytuję też nieoficjalnie i od jednej z wychowawczyń słyszę, że osadzeni nie zawsze są zadowoleni ze współpracy z fundacją, bo cokolwiek „Sławek" robi, stara się przy okazji pokazać i promować, a nie tylko realizować zobowiązania wobec osadzonych i dbać przede wszystkim o ich interesy.

Aktualne projekty fundacji Łagodzińska ocenia słabo, mówi, że coraz więcej jest ograniczeń. Nie można pomagać osobom, które tego potrzebują, jeśli nie wpisują się w założenia, na przykład wiekowe.

– Robimy na przykład projekt dla osób do dwudziestego dziewiątego roku życia. Jak ktoś ma dwadzieścia dziewięć lat i dwa dni, to nie możemy, choćby żadnych chętnych nie było. Albo robimy projekt i musi być równość płci. A skąd my kobiety weźmiemy?

Projekty są coraz bardziej skomplikowane formalnie, a trudności coraz poważniejsze.

– Kiedyś nie było tylu niepełnosprawnych psychicznie. Ta pani, która w poczekalni siedzi na przykład: jej mąż zaraz wychodzi i jest w bardzo złym stanie, może być niebezpieczny. Ona jest przerażona. Schizofrenie paranoidalne się zdarzają, różne. Może to dlatego, że coraz więcej młodych ludzi trafia do więzienia po dopalaczach, mózgi mają wyprane? Robię pogłębione wywiady, pytam: były narkotyki, dopalacze? Bardzo często były.

– Fundację poleciła mi opieka społeczna z racji mojej sytuacji. Chodzi o to, żebym zrobiła coś dla siebie.

Kamilę poznaję w siedzibie „Sławka”. Ma czterdzieści lat i mniej więcej cztery lata więzienia za sobą. Na te cztery lata zebrały się cztery wyroki, z czego pierwszy zdarzył się, gdy miała osiemnaście lat, a czwarty niedawno się skończył. Kamila kilkukrotnie podkreśla, że jest finansowo zabezpieczona i nigdy nie musiała pracować. Nie musiałaby nadal, gdyby pomoc społeczna nie odebrała jej dziecka. Żeby odzyskać córkę, Kamila musi iść do pracy i udowodnić, że radzi sobie z życiem.

– Tu są kursy, staże. Nie miałam nigdy pomysłu na siebie, więc jestem tu przepytywana: co bym chciała, co lubię. Są tu doradcy zawodowi, pomagają znaleźć to, co się chce robić. Nie jest tak, że na przykład tylko pięć propozycji i jak nic nie wybiorę, to koniec. Propozycji jest tu bardzo wiele.

Po namyśle Kamila przyznaje, że pracowała w więzieniu, ale to jest sytuacja nieporównywalna z wolnością. Jak ostatnio siedziała na warszawskim Grochowie, zajmowała się sprzątaniem, spędziła też jeden dzień, pomagając w Domu Pomocy Społecznej. Ten jeden dzień jej wystarczył, więcej nie poszła. Niezależnie od tej pomyłki z DPS-em: zdaniem Kamili w więzieniu każda praca jest dobra.

– Tak normalnie to nigdy bym się za zbieranie śmieci nie wzięła, ale w więzieniu czas przy tym inaczej płynął.

O ile za pierwszym razem Kamila musiała się życia w więzieniu nauczyć, o tyle potem było jej łatwiej, za każdym kolejnym razem od razu wiedziała, co robić i co załatwiać. Pracę przede wszystkim. Na wolności nie jest tak prosto.

Kamila jest efektowną blondynką. Wysokie obcasy, opięte dżinsy, koszulka lśniąca milionem diamencików, na twarzy solidna warstwa makijażu przykrywająca solidne pokłady zmęczenia. Zakręty i potknięcia losu cały czas komplikują jej sprawy: trudno jest szukać pracy, a przynajmniej pomysłu na pracę, jak człowiek chodzi na kilka terapii jednocześnie. Kamila jest świeżo po zamkniętym leczeniu

nałogów na Kolskiej, codziennie ma się stawiać na spotkania indywidualne i grupowe. Chodzi też na terapię małżeńską, walczy o rodzinę. Mówi przy tym, że jak wyszła z więzienia, to nie szukała żadnej pomocy, bo miała pieniądze i mieszkanie. Wtedy nie wiedziała, że można mieć kłopoty inne niż finansowe. Nie wiedziała, że ona je ma. I że ktoś może pomóc.

Dlatego też Łagodzińskim marzy się dobra współpraca z więzieniami. Dopóki ludzie są za kratami, łatwiej do nich dotrzeć z pomocą. Po wyjściu zaczynają się kłopoty codzienności, czynsze do zapłacenia, a nie praca nad sobą.

– Kara to czas, kiedy sąd nam, społeczeństwu, daje czas, by z tym człowiekiem pracować – mówi Łagodziński. – Władze więzienne powinny nam umożliwić dostęp do tych ludzi, umożliwić pracę z nimi. Resocjalizacja w zamknięciu nie ma sensu – jak ktoś trafia do więzienia, szybko się socjalizuje z otoczeniem więziennym, wie, co, jak, gdzie. Nie trzeba mu za dużo mówić. Tylko jak on ma się socjalizować ze społeczeństwem, które jest tam gdzieś za murem? Nie możemy pozwolić, by rósł dystans między tymi ludźmi a resztą świata.

Łagodziński mówi, że polski system penitencjarny jest tak skonstruowany, że po zakończeniu kary wychodzi się za bramę i trzeba sobie radzić. System penitencjarny pewnie by się tu z Łagodzińskim nie zgodził. Zakład Karny w Iławie prowadzi program przywracania osadzonych społeczeństwu we współpracy z policją i opieką społeczną.

– Pracujemy z kuratorem, pracownikiem socjalnym, jak trzeba, to z urzędem pracy – mówi psycholożka z Zakładu Karnego w Iławie. – Zespół readaptacji zakłada kartę, my monitorujemy osadzonego tu, oni środowisko, a potem, po wyjściu, przejmują go.

Zespoły readaptacji to projekt ministerialny, muszą więc powstawać w więzieniach. Stopień ich wdrożenia i jakość działania w różnych miejscach wygląda jednak różnie. Kiedy na facebookowym profilu Służby Więziennej pojawia się informacja dotycząca resocjalizacji, szybko ukazują się kpiące komentarze. Na profilach nieoficjalnych, takich jak Służba Więzienna Okiem Klawisza, jest to temat żartów.

„Resocjalizacja we współpracy ze społeczeństwem obejmuje każde działanie mające na celu pomoc więźniowi w powrocie do zgodnego z prawem życia. Służba Więzienna współpracuje z 1366 stowarzyszeniami, fundacjami i organizacjami pozarządowymi oraz 384 organami administracji rządowej oraz samorządu terytorialnego, jak również z kuratorami sądowymi. Wszystko aby ułatwić osadzonym readaptację społeczną" – czytam na oficjalnym profilu Służby Więziennej. Fundacja „Sławek" pewnie się w tej statystyce mieści.

W statystycznym podsumowaniu roku 2018 Służba Więzienna umieściła obszerną tabelę zatytułowaną „Pomoc postpenitencjarna". Zebrano tam działania, liczbę ich realizacji i koszty. I tak na przykład w 2018 roku cztery razy zakład karny pokrywał koszty czasowego zakwaterowania osadzonych w ośrodku dla bezdomnych. Rok wcześniej takich sytuacji było siedem. Sześćdziesiąt cztery razy więźniowie po wyjściu dostali wsparcie, żeby poradzić sobie ze zobowiązaniami czynszowymi. Średnio 231 zł wynosiło to wsparcie. „Promowanie i wspieranie przedsięwzięć służących skutecznej readaptacji skazanych" – cokolwiek się pod tym kryje, zdarzyło się w 2018 roku 67 razy, a rok wcześniej tylko cztery. Średnia wartość tego działania wynosiła 51 zł. Dalsze pozycje to ogólnikowa pomoc rzeczowa oraz pieniężna. Ponad połowa tabelki opowiada o kursach zawodowych, podnoszeniu kwalifikacji i narzędziach niezbędnych do pracy nieodpłatnej, o działaniach terapeutycznych

i resocjalizacyjnych – wszystko to realizowane jest jeszcze w czasie odbywania kary. A co dalej?

– Zapali pani? Nie? To dobrze, więcej dla mnie.

Siedzimy w altance, w ogrodzie w Mieni, trzy stacje za Mińskiem Mazowieckim. W tym roku sobie tę altankę zrobili. Krystyna spawała konstrukcję, podopieczni montowali deski. Pijemy kawę, Krystyna odpala papierosa od papierosa. Dzwoni telefon. Z mojego podsłuchiwania wynika, że to kierowniczka apteki, w której był tego dnia Tomasz, mieszkaniec domu. Farmaceutka sprzedała mu zamiennik leku, na który miał receptę, bez wyjaśnienia, na czym polega idea zamiennika. Krystyna rozmawia uprzejmie, chociaż słychać w jej głosie irytację, gdy mówi, że Tomasz nie jest głupi, ale oczywiście, dziękuje, przekaże.

Przywołuje Tomasza, który do tej pory kręcił się po ogrodzie, wchodził do domu, wychodził, ale do nas nie podszedł. Teraz jest, nieśmiały starszy pan, tłumaczy cicho, że ten lek to jakaś podejrzana sprawa, bo nazwa nazwą, ale w ulotce też jest zupełnie inaczej, no i droższy był o osiemnaście złotych, więc jemu to wszystko się w ogóle nie podoba.

Krystyna bez słowa bierze telefon, wybiera numer, który dzwonił do niej jako ostatni.

Zaciąga się głęboko i informuje, co o tej sytuacji myśli, a nie myśli o niej dobrze.

Wypuszcza dym i odrzuca propozycję wymiany leku w aptece, która najwyraźniej padła po drugiej stronie. Zaciąga się znowu i tłumaczy, dlaczego starszy, schorowany człowiek nie będzie tracił czasu i pieniędzy na dojazdy i naprawianie cudzych błędów.

Rozmowa trwa tyle, co spalenie tego papierosa. Krystyna mówi spokojnie, ale jest to taki spokój, którego nikt by nie chciał zakłócić.

Farmaceutka to dostrzega, bo po kwadransie parkuje pod bramą. Propozycje ma następujące: lek, który Tomasz kupił, może zostać wymieniony na lek, na który miał receptę. Albo: Tomasz może zostać z zamiennikiem, a różnica w cenie zostanie mu zwrócona. Tomasz mówi cicho, że wziął już jedną tabletkę z opakowania, które dziś kupił, więc w sumie nie wie, co teraz. Krystyna nie ma wątpliwości. Tomasz ma dostać swoje leki, a nie zamiennik, ma też dostać te dwadzieścia złotych, które farmaceutka położyła na stole obok tabletek. Osiemnaście złotych zwrotu i dwa złote dodatkowo, za twoje, Tomasz, nerwy. Zapada cisza, Krystyna zaciąga się papierosem, nie spuszczając wzroku z farmaceutki, która zgadza się na wszystko i po chwili z ulgą biegnie do samochodu.

Dlatego właśnie wierzę Krystynie, kiedy opowiada o tym, jak przyszli chłopcy ze wsi z bejsbolami, bo mieli sprawę do jednego z jej podopiecznych.

– Serce mi waliło, ale poszłam do nich, wyrwałam jednemu bejsbola z ręki, chciałam ich lać! W tym czasie chłopaki z domu wyszli, stanęli za mną, więc tamci się tylko odwrócili i poszli, a potem tylko „Dzień dobry, dzień dobry, pani kierownik!". Ja mówiłam im: „Spróbujcie tylko któremuś krzywdę zrobić, to ja już będę wiedziała kto!". – Śmieje się, że bejsbola ma nadal.

Nie wierzę za to Krystynie, kiedy mówi, ile ma lat i że ma słabe zdrowie. O problemach zdrowotnych słuchałam przez telefon już od kilku miesięcy. Takie opowieści nigdy nie wypadną wiarygodnie, gdy ktoś ma głos jak dzwon, a Krystyna właśnie taki ma. Na oko dałabym jej góra sześćdziesiątkę i nie zaryzykowałabym siłowania się z nią na rękę. Krystyna jest silna, inaczej by przecież nie wybrała bandytów. Jest kierowniczką Domu w pół drogi, ośrodka reintegracji społeczno-zawodowej w Mieni, który prowadzi Fundacja „Sławek".

– Przyjeżdżają tu dziennikarze, jakieś kobiece tytuły, dziwią się, że ja się nie boję z bandytami być. Nie boję się, od początku się nie

bałam. Chociaż… – Zastanawia się chwilę. – Bałam się. Jak mi zaproponowano tu pracę, to zrobili taki test: dali mi samochód, mercedesa na dziewięć osób i dziewięciu bandytów z warszawskich więzień. W różnym wieku, od dwudziestu do sześćdziesięciu lat, wyroki takie koło dwudziestu. Do Dźwirzyna pojechaliśmy, na dziesięć dni.

Więźniowie byli potrzebni do posprzątania nieczynnego lotniska na obchody Dnia Wojska Polskiego. W dzień wyjazdu opiekunowie z zakładów karnych przywieźli ich Krystynie, która zapowiedziała, że jeśli któryś ma mieć głupie pomysły, to lepiej od razu zrezygnować, bo jak jeden nawywija, to konsekwencje poniosą wszyscy, jak ich tu Krystyna ma na liście. Żaden nie wyjdzie na przepustkę, żaden nie będzie miał szans na wokandę.

– Ale wie pani co? Z nimi to na koniec świata mogłabym pojechać. Tacy zdyscyplinowani, takich jeszcze nie widziałam.

Krystyna z podopiecznymi zamieszkała w ośrodku wojskowym, ona w jednym budynku, oni w drugim. Co rano czekali pod jej drzwiami, żeby iść razem na śniadanie. Obiady rzadko jedli na miejscu, raczej jeździli na ryby.

– Rozmawialiśmy, kto za co jest: za morderstwo, za usiłowanie morderstwa, za dziesionę… Nie wiedziałam, co to dziesiona, a to napad z bronią. Ja się później trochę bałam, ale raz-dwa rozwiali moje wątpliwości.

Nie do końca tak się zaczęło, przypomina sobie po chwili. Przyznaje, że pierwszego wolontariusza fundacji poznała w czasie odbywania kary więzienia na warszawskim Grochowie.

Jej wersja tej historii rysuje się tak: w 1996 roku Krystyna prowadziła w Słupsku punkt przesyłki szybkiej. Szło jej dobrze, więc firma zaproponowała otwarcie drugiej placówki. Krystyna znalazła

miejsce i ludzi. Zdecydowała się zatrudnić koleżankę, o której wiedziała, że ma problemy finansowe, wyłączone światło i wodę.

– Przygotowywaliśmy to nowe biuro, trzeba było odebrać regały, meble z hurtowni. Miała to zabrać i przywieźć. Wszystko z hurtownią było ustalone, ale nie wiedziałam, czy się coś nagle nie okaże, i dałam jej na wszelki wypadek czek bez wypisanej sumy. Trzy dni jej nie było. Znaleźliśmy ją z policją. Wykorzystała ten czek sama, popłaciła swoje sprawy. Prawie dziesięć tysięcy. Wtedy to były duże pieniądze.

Obie kobiety zostały zawieszone w pracy. Jaki Krystyna żal o to do koleżanki miała! Pracę lubiła, przez konkurs ją dostała. Radca prawny firmy chciał iść ze sprawą do sądu, prezes powiedział, że obejdzie się bez tego. Winowajczyni zadeklarowała, że spłaci, ugoda była trójstronna: ona, prezes i Krystyna. Na powrót do pracy szans już jednak nie było, Krystyna wyjechała więc do Hiszpanii. 1997 rok wtedy był, dwa lata później firma zrobiła jednak sprawę, bo już wiadomo było, że nikt tego długu nie spłaci. „Koleżanka" wciąż zalegała ponad siedem tysięcy.

– W dziewięćdziesiątym dziewiątym roku zrobili mi sprawę. Nawet nie wiedziałam. Przestępstwo gospodarcze. Rok i cztery miesiące w zawieszeniu na cztery lata dostałam, czy jakoś tak. Przylatywałam do Polski, paszport wyrabiałam, przecież jeszcze w Unii nie byliśmy. Nikt mi nie mówił, że mam jakieś problemy w sądzie.

Mówi, że wszystko wyszło na jaw przypadkiem: ktoś ukradł Krystynie portfel. Miała tam rezydencję i hiszpańskie prawo jazdy, wszystko miała, więc poszła na policję i została zatrzymana.

– Prosiłam, żeby mi wyrok pokazali, czy coś, czekaliśmy, aż przyślą z Polski. Okazało się, że to ta sprawa. Do więzienia mnie zabrali. Myślałam, że umrę. Nawet sobie tego nie mogłam wyobrazić, nigdy problemów z prawem nie miałam, jak nas w domu dużo było, to nikt nigdy w więzieniu. I tu nagle ja. Baba sześćdziesiąt lat.

Dalej opowieść Krystyny układa się w splot przedziwnych przypadków, łutów szczęścia i pięknych relacji z ludźmi. Jeśli o mnie chodzi, kiedy siedzimy w ogrodzie w Mieni, a ona odpala papierosa od papierosa, wierzę w każde słowo. Jest szorstka, zaczepna i autentyczna. W pobliżu kręcą się mieszkańcy domu, zajęci trochę swoimi sprawami, trochę podsłuchiwaniem. Nie wybijają jej z rytmu, nie ścisza przy nich głosu, jakby nie miała nic do ukrycia. Zakładam, że nie ma, tak jak z założenia nie doszukuję się kłamstwa w opowieściach osadzonych.

Krystyna mówi, że trafiła do więzienia w Madrycie. Zgodnie z przepisami polskie służby miały trzy tygodnie, żeby ją odebrać. Gdyby nikt się nie zgłosił, zostałaby wypuszczona. Przyjechali po nią po dwudziestu dniach.

– W młodości byłam sportowcem, pchałam kulą. Jako obstawa przyjechał mój kolega ze stadionu. Taki wstyd! Od razu mnie poznał. Ja, czerwona, nie wiedziałam, jak się odezwać. Wszystkim kajdanki założyli, a ja nic. W ogóle nie wiem, jak to jest mieć kajdanki, zastanawiałam się czemu. Pierwszą noc spałam w Warszawie w siedzibie Interpolu, a tam: kawę pani chce, herbatę pani chce? Potem się okazało, że to ten mój kolega tak dogadał, żeby mi pozwalali nawet na papierosa wychodzić.

Mimo takiego traktowania Krystyna nie mogła spać, posiwiała, włosy wychodziły jej garściami, a gdy przyszedł czas transportu do aresztu na Grochowie, nie mogła iść. W więzieniu nie mogła się zaaklimatyzować, chociaż szybko poszła do pracy. Najpierw pilnowała czystości w kuchni, potem sortowała śmieci, ale długo tam nie wytrzymała.

– W recyklingu pracowałam przez wakacje. Dla mnie to było dobre, bo z zakładu wychodziłam, ale tam były kobiety z różnych oddziałów, straszna była konkurencja, nikt nie był szczery. Bałam się wejść w ten ich rytm oszustw. Nas tam nikt nie pilnował, więc

z narkotykami podjeżdżali różni tacy. Nieraz mnie funkcjonariusze pytali, czy coś widziałam, zawsze mówiłam, że nic.

Przyszła zima, dla Krystyny pierwsza od kilku lat ze śniegiem. Któregoś dnia weszła w stertę papierów, chyba straciła przytomność. Znalazł ją taki, co wózkiem jeździł, trafiła do szpitala, a potem do pracy do Domu Pomocy Społecznej. Została tam do końca wyroku, lubiła tę pracę. Wszyscy wiedzieli, że jeśli komuś nie pasuje dyżur, to ona zawsze pójdzie, mieszkańcy DPS-u szybko się do niej przywiązali.

– Ciągle podarta chodziłam, bo mnie te panie ciągle łapały za kieszenie, za patkę. Nieraz zmęczona byłam, na pysk padałam, a one twardo wołały: siostro Krystyno, siostro Krystyno. Nikomu innemu się dotknąć nie dały. Proponowali mi pracę po zakończeniu wyroku, ale wolałam z bandytami być.

Zanim jednak Krystyna trafiła do Mieni, miała pierwszą wokandę. Nie dostała zgody na przedterminowe zwolnienie, odwoływała się.

– W pracy akurat byłam. Wpadła pielęgniarka, krzyczy do nas, że się mamy pakować i jechać do zakładu. Do spa właściwie, tak na to mówiłyśmy. Pytam, co się stało, a ona, że to przeze mnie. Śmieję się, że przecież nic nie narozrabiałam, więc o co chodzi? Pielęgniarka mówi, że do domu jadę. O Jezu kochany!

W DPS-ie krzyk się zrobił, podopieczne zaczęły płakać. Siedem osadzonych się wtedy odwoływało, dwie wyszły. Kiedy Krystyna dojechała na Grochów, była już spakowana – koleżanki z celi dowiedziały się wcześniej.

Wyszła za bramę.

Nie znała Warszawy. Myślała: z Hiszpanii mnie zabrali, to niech do Hiszpanii odstawią. Nie miała ciepłych ubrań, a był kwiecień, zimno jak cholera.

Znała Zbyszka z Fundacji „Sławek”, przychodził do więzienia, rozmawiał z osadzonymi, różne formalne sprawy pomagał załatwić – jej też, kiedy ubiegała się o emeryturę. Zadzwoniła do Zbyszka, on do Łagodzińskich.

– Przyjechałam do fundacji, jeszcze na Solidarności. Danka Łagodzińska znalazła mi kurtkę, podartą, brzydką, ale była. Stamtąd pojechałam do Mieni. Sami faceci, tylko jedna kobieta, Ala. Wyszła dwa albo trzy miesiące przede mną, też z Grochowa. W życiu na wsi nie mieszkałam. Co ja tu będę robiła?

Opowiada, że do Mieni przyjechała z fasonem – zaczęła od inwestycji, bo odkryła, że w domu właściwie nic nie ma. W więzieniu zarabiała, miała też emeryturę, czyli było trochę pieniędzy i możliwość zakupów na raty. Wystarczyło na pralkę, odkurzacz, mikrofalówkę, telewizor. Kilka lat to spłacała.

– Środki czystości przywiozłam, z chłopakami pogadałam. Możecie tak mieszkać? A jak? No posprzątać! Wielkie sprzątanie zrobiłam. Pokój po pokoju. Łóżka, materace, wszystko na dwór, wszystko trzepać. W świetlicy porządek zrobiliśmy. Poprzedni kierownik o tym za bardzo nie myślał, żadnych remontów nie robił, nic nie kupił. Ani firanek nie było, ani nic. Smutno.

Szybko zebrał się zarząd fundacji i zaproponował Krystynie stanowisko kierownika placówki. Wtedy to dopiero zaczęła się rewolucja!

– Łóżka wymieniłam, bo były żelazne, piętrowe, jak w więzieniu. Ja uznałam, że oni jednak ten rozdział mają za sobą, teraz tu musi być dom. Stare łóżka rozkręciłam i na złom. Dwie tony węgla za to kupiłam.

Krystyna mówi, że nowe łóżka znalazła w Internecie i na okazjach – kiedy na przykład ktoś jej dawał znać, że jest likwidacja hotelu i można trochę mebli przygarnąć. Początkowo musiała wynajmować

transport, z czasem dostała białego „lublinka", który zakończył służbę w jednym z zakładów karnych.

– Trzeba było tych ludzi trochę nauczyć, że w pokoju ma być czysto, że okna, jakie są, takie są, ale mają być czyste. Potem już nic nie musiałam mówić, była sobota, to sprzątali, tylko pytali, czy u mnie też poodkurzać. Ale nie, ja u siebie sama sprzątam, oni resztę. Pranie jak robiliśmy, to całe podwórko było w pościeli.

Krystyna szacuje, że przez te niemal dziesięć lat w Mieni mieszkało jakieś tysiąc osób. – Fajnie tu było – wzdycha. Mówi, że problemy zaczęły się, kiedy ze trzy lata temu fundacja przestała dostawać na swoją działalność pieniądze z ministerstwa. Wcześniej Krystyna miała swoją emeryturę, pensję i jeszcze niewielkie pieniądze na prowadzenie domu. Teraz została jej emerytura, siedemset czterdzieści złotych, za które usiłuje prowadzić dom.

– Jest ciężko. Nie możemy już przyjmować ludzi, bo z czego ja ich utrzymam, zanim pójdą do pracy, zaczną zarabiać?

Obecnie w Mieni mieszkają: Tomasz – rencista z chorym sercem, dwudziestoparolatek Paweł, który pracuje w pobliskiej stolarni i dwaj podopieczni – zawodowi kierowcy, którzy bywają w domu dwa–trzy dni w miesiącu.

– Ci, co byli kiedyś, odwiedzają. Pożenili się, wnuków mam trochę. Sama kilka rodzin pogodziłam, bo nieraz tu byli tacy, co mieli kłótnie, rozwody w czasie wyroku. Zapraszałam ich żony, dzieci, raz, drugi. Potem oni odwiedzali, a za jakiś czas mówili: ja to już wracam do domu.

Kiedyś, kiedy nie brakowało środków, nie tylko podopiecznych było tu więcej, ale też atrakcji. Fundacja organizowała co roku MienięArt – festiwal sztuki więziennej oraz drogę krzyżową.

– Dzięki misterium przestali się nas tu bać. Jak chodziłam do sklepu, to mnie pytali: pani się ich nie boi? A ja mówiłam: ja się

gorzej was boję niż ich. Oni krzywdy nie zrobią ani mnie, ani wam. Teraz jesteśmy zapraszani na wszystkie imprezy lokalne, co organizuje gmina czy DPS. Jak któregoś dnia nie mogłam, to samochodem po mnie podjechali, chociaż to po drugiej stronie ulicy było. Burmistrz przyjechał, starosta, wszystkie lokalne, powiatowe władze – trzeba było być. Godzinkę posiedziałam, bo mnie krzyż bolał. Fajne mamy układy tutaj, ale trzeba to było wypracować.

Krystyna mówi, że za jej kadencji w Mieni skończyły się interwencje policji, która do tej pory często musiała rozwiązywać spory między podopiecznymi. Twierdzi, że takie sprawy załatwia sama – i załatwiała je nawet wtedy, kiedy miała kilkunastu podopiecznych jednocześnie. Mam wrażenie, że nie tylko policja przeszkadzałaby Krystynie w zarządzaniu tym miejscem – fundację też lubi trzymać na dystans.

– Jak coś się dzieje, to zbieram wszystkich na świetlicy i rozmawiamy, tłumaczymy. Nie ma, że jeden na drugiego buczy, że ktoś coś ma do kogoś, bo inaczej ja wkraczam. Nikt się nie bił, nikt pijany nie chodził, bo zakaz. Alkomat mam i jak coś wychodzi, to do widzenia, pakuj się. A gdzie ja pójdę? – pyta taki. Wiedziałeś, że nie wolno pić. Policjanci z Mrozów czasem na kawę zachodzą. Mówią: wierzyć się nie chce.

Policja czasami kogoś tu przywozi, jeśli potrzebuje pomocy i nie jest pijany. Krystyna tłumaczy, że pijanego nie przyjmie. Pomagać trzeba, bo i dom w Mieni pomoc czasem uzyskuje.

– Nieraz bywało, że w zimie w krótkich spodenkach wychodzili, sandałach, ubrać trzeba było. Raz pojechałam na stację Orlen, powiedziałam, że, cholera, nie mam ich w co ubrać. Za kilka dni samochód przyjeżdża, mówią, że skrzyknęli się z ludźmi ze stacji okolicznych, posprzątali w szafach, dziesięć czy dwadzieścia worków ciuchów przywieźli. Na strychu mam teraz ciucholand, aż za dużo.

Dom w Mieni należy do zakonnic, które mieszkały tu przed laty, kiedy pracowały w pobliskim szpitalu. Z czasem przekazały budynek bezdomnym, którzy go zdewastowali. Znajomy ksiądz powiedział fundacji, że można przejąć. Początkowo fundacja kontynuowała pomoc bezdomnym, potem skupiła się na osobach wychodzących z więzienia. Budynek jest w złym stanie, a środków na jego remont nie ma. Głównym problemem Krystyny jest ogrzewanie. Dwustuletni budynek ze starymi oknami ogrzewać trzeba piecem, do którego nie zawsze jest co wrzucić.

– Jak trzeba było, to do wójta poszłam, trochę pogadałam, trochę zaszantażowałam. Dał nam tysiąc, półtora tony węgla za to kupiłam. Potem znowu pieniędzy nie miałam, ale tu drzewa wzdłuż drogi wycinali. Dogadałam się z gminą, że dla nas to drewno będzie. Jacyś stolarze przyjechali, obejrzeli, że oni trzy duże drzewa chcieliby kupić. Mówię: za jedno drzewo jedna tona węgla, pasuje? Trzy tony przywieźli, drzewa popiłowali, zabrali. Resztę drewna my sobie popiłowaliśmy, sąsiada tu mamy, co nam zawsze pomaga, to tym razem też pomógł to przewieźć. Na całą zimę było, węgla z tych trzech ton jeszcze trochę zostało.

Ten sąsiad pojawia się w opowieści Krystyny już kolejny raz. Przez płot widać rozległe zabudowania gospodarcze – sąsiad hoduje świnie. Nowoczesne przedsiębiorstwo, zautomatyzowane, Krystyna trzy razy powtarza, że do chlewa można wejść w białych skarpetkach. Ojciec sąsiada też ma świnie i pszczoły, i przede wszystkim – też pomaga.

Z kurami tak było: miała ich tu siedemdziesiąt. Były z tego jajka dla domu, były na sprzedaż.

Rok temu Krystyna miała zawał, trafiła do szpitala. Chłopakom powiedziała, że mają kury poić, karmić najlepiej też, ale przede wszystkim poić. Miała wyjść ze szpitala w poniedziałek, wyszła w sobotę. W samochód wsiadła, oczywiście, w końcu do szpitala też

sama przyjechała. Lekarze mówili, że policję na nią naślą za to prowadzenie auta z zawałem. Dojechała do domu, kury miały puste pojemniki. Tego samego dnia dała ogłoszenie do gazety o sprzedaży. Przyjechał jakiś facet i zabrał. Jak doszła do siebie, dostała nowe kury od ojca sąsiada. I tak im się to sąsiedztwo układa.

Większość z tysiąca byłych mieszkańców domu to mężczyźni, ale kobiety też się zdarzały. Ostatnia, która tu była, jest znowu w więzieniu. W Grudziądzu siedziała piętnaście lat za morderstwo, dzięki fundacji, między innymi, dostała wokandę. W Mieni była przez miesiąc, musiała odejść przez problem z alkoholem.

– Oni tu wszyscy mają problem z alkoholem, ale jak już się trzymają wszyscy, to wszyscy. Lepiej, żeby nikt ich do picia nie zachęcał. Ja już wcześniej chciałam ją wyrzucić, bo ona zły wpływ miała na pozostałych. Prezes prosił, żeby jej dać szansę, że szkoda kobiety. Też mi było szkoda, ale zasady to zasady. Zadzwonili do mnie stąd, że nie wiedzą, co zrobić, Ewka pijana. Ja wtedy w szpitalu byłam.

Krystyna mówi, że jak tylko dowiedziała się, co tu Ewka wyprawia, poszła do ochrony szpitala i zapytała, jak wyjść, żeby jej kamery nie zauważyły. Musiała przejść przez płot, ale do Mieni dotarła. Wpół do drugiej w nocy było, kiedy stanęła nad rozwaloną na kanapie Ewką.

– Zobaczyła mnie i mówi: co pani tu, kurwa, robi o tej porze? Ja mówię: Ewa, masz dziesięć minut i ty wiesz o tym dobrze. Zostałam do rana, rozmawiałam z chłopakami, że jak jej tak mogli pozwolić rządzić i nic mi nie powiedzieli?

Krystyna mówi, że wcześniej bywały tu kobiety i że one mniej poważnie podchodzą do wyjścia z więzienia.

– Mężczyźni chcą iść do pracy, szanują zasady, myślą o tym, jak sobie życie na wolności urządzić, a one mówiły: pani Krysiu, do Warszawy pojadę, znajdę sobie jakiegoś frajera.

Nie tylko przez Ewkę Krystyna uciekała ze szpitala.

– Jeden zaćpał w ubikacji. Trzydzieści dziewięć lat, dopiero wyszedł z zakładu, siedem lat siedział za narkotyki. W dokumentach wyczytałam, że miał dużo pieniędzy, jak wyszedł. Dwa tygodnie szalał w Warszawie, hotel, dziwki, przypadkiem usłyszałam, jak komuś tu opowiadał. W fundacji powiedział, że go okradli, że złotówki nie ma. A fajny chłopak, było na czym oko zawiesić, kontaktowy. Pracę sobie załatwił, a przynajmniej tak mówił. Wyjeżdżał do pracy, gdzieś wyjeżdżał w każdym razie. Jak był w domu, to wychodził w pole rozmawiać przez telefon. W niedzielę wieczorem poszedł do ubikacji, jak telewizję oglądali. W poniedziałek rano któryś chciał do toalety. Pchnął trochę, zobaczył leżącego buta. Drabinkę wziął, wszedł do kabiny obok, zajrzał: jest – tyłek na sedesie, reszta zwisa. Ten, co znalazł, krzyczeć zaczął. Ja wtedy byłam w szpitalu, śniadanie jadłam akurat. Mówię: dzwońcie na policję, ja dzwonię na pogotowie. Prokuratorka dzwoni po chwili, że wysyłają po mnie radiowóz, bo ja tu muszę być. Nie wysyłajcie, mówię, bo ja już w Górze Kalwarii jestem. Jak ja dojechałam, to nie wiem. Dojechałam.

Biografia, którą nakreśla mi Krystyna, momentami przypomina film sensacyjny. Jak ta ucieczka ze szpitala. Mówi, że nieraz uskuteczniała takie eskapady. Szybko odkryła, że w szpitalu długo nie wytrzyma, więc na weekendy uciekała do domu. Weekendy w Mieni, sprawa Anki, śmierć w toalecie. Po kolejnej historii, w czasie której Krystyna akurat jest w szpitalu, zapytałam w końcu, jak długo w tym szpitalu była. Sześć tygodni. Niecałe sześć, bo po śmierci tego chłopaka miała wrócić jedynie na dwa dni do szpitala, to już się nie opłacało, tylko po ubrania skoczyła.

– Tu to trauma dla nas wszystkich była, rozpoznać zwłoki, pogrzeb zorganizować. Straż pożarna, żeby w ogóle do niego wejść, a tu ludzie, sąsiedzi wszędzie stoją, patrzą… Była taka wersja, że się powiesił. Jak ja go identyfikowałam, to jeszcze miał strzykawkę

w ręku, łyżeczkę na parapecie. Ja im już odruchowo wszystkim ręce oglądam, nic nie widziałam, bo on w pachwinę się wkłuwał. Lekarz sądowy powiedział, że on tam miał stare rany. Mówię, że on miesiąc temu z więzienia wyszedł. Te blizny, co ma w pachwinie, to nie są od miesiąca, to są starsze, on musiał w więzieniu już tak robić. Wiem, że on gdzieś na magazynie pracował, widać jakoś sobie dostęp załatwił. Tu go nikt nie zauważył. Szkoda było chłopaka, chociaż kłamał jak nikt.

Krystyna opowiada mi o Januszku, który mówił, że się boi iść do pracy, bo ma przez narkotyki zryty mózg i nie może się skupić. Odważył się, poszedł, teraz ma własną firmę. Albo o takim jednym, co sobie we wsi znalazł dziewczynę. Jak zaszła w ciążę, to prosili Krystynę, żeby poszła z nimi do jej rodziców. Nie poszła, ale poinstruowała, co mają powiedzieć. Krystyna nie wie tylko, czy się w końcu przyznał, ile ma lat, bo sobie twardo dychę odejmował. Niezależnie, jak z tym wiekiem było, ślub był, dziecko jest, odwiedzają.

– Dużo chłopaków jest za granicą, powyjeżdżali. Po Polsce się porozjeżdżali, dzwonią. Niektórzy znowu w więzieniu, mówią: nie posłuchałem pani. A ja mówię: no widzisz, a ja drugi raz powtarzać nie będę.

Przerywamy, bo rowerem przyjeżdża Paweł z pobliskiej stolarni, ma przerwę w pracy. Rozmawiają o grzybach (że nie był), o ich suszeniu (że wyłączył maszynę do suszenia, bo już suche, trzeba przesypać do jakiegoś słoja), o mleku do kawy (że nie ma półtłustego. Krystyna: Od kiedy ty taki półtłusty jesteś?), o łowieniu (i wtedy z Krystyny wychodzi profesjonalistka), o Mieni.

– Ilu tu takich było, co myśleli, że im się wszystko należy? Robimy razem obiad, każdy coś, a ten siedzi. To tu nie podają? A co ty, kuźwa, w Marriotcie jesteś? – zaśmiewa się Krystyna.

– Albo rybek nasmażyliśmy, a taki gryzie i krzyczy, że co on ma kości jeść?! – wtóruje jej Paweł.

– Nieraz tacy byli, że makabra. W więzieniu mieli wszystko podane i tu też chcieli. A kiedy będzie pani pościel prała? Ja już swoją prałam. A moją? Pralka jest, kup proszek, pierz i wieszaj. To ja mam prać?! A tu nikt nie sprząta na pokojach? – Krystyna łapie się za głowę, a Paweł protestuje, przypomina, że w celach każdy sam sobie sprząta.

– Ty to się tam nauczyłeś jednej rzeczy… – wyraźnie podpuszcza chłopaka Krystyna.

– Niczego się nie nauczyłem. Gorszy wyszedłem jak poszedłem – odpowiada ostro Paweł.

– Ale nauczyłeś się zęby myć, tak mówiłeś. Kiedy ostatnio myłeś?

– Jak siedziałem. Wodą przepłukać wystarczy.

Koniec turnusu

Art. 41. § 1. W celu ułatwienia społecznej readaptacji, a w szczególności przeciwdziałania powrotowi do przestępstwa, powinno udzielać się skazanym oraz ich rodzinom niezbędnej pomocy, zwłaszcza materialnej, medycznej, w znalezieniu pracy i zakwaterowaniu, a także porad prawnych.

Wanda

– Ja się starałam do tego przygotować, ale zakład karny nie przygotowuje do wyjścia na wolność. W areszcie na Grochowie był jeden przytomny człowiek, wychowawca postpenitencjarny, powiedział mi wprost, że zakład karny nie pomoże, że liczyć mogę na rodzinę i na siebie.

Wanda to konkretna kobieta, udowodniła to, kiedy walczyła ze świerzbem w celi. Teraz błyskawicznie omawia podstawy prawne regulujące życie za kratami, by teatralnie zawiesić głos i dobitnie je podsumować:

– Nijak się to ma do rzeczywistości.

Zapewnia, że próbowała robić to, co jest zapisane w kodeksie karnym wykonawczym, co ma adaptować człowieka do życia na wolności. Skorzystała ze wszystkich oficjalnych ścieżek. Pisała do dyrektora, szczerze rozmawiała z psychologiem. Nic to nie dało, mówi. Nikt nie podał żadnych adresów, dowiedziała się tylko, że jest

schronisko dla osób bezdomnych na Marywilskiej. Nawet nie sprawdzili, czy jest wolne miejsce, jak wychodziła.

– Strach i niepewność, co się będzie działo w ogóle. No i wstyd. Jak tu się teraz odezwać do znajomych?

Wanda mówi, że przez te trzy lata w więzieniu rozwaliło się jej dotychczasowe życie. Straciła pracę, mąż złożył pozew o rozwód, z nastoletnią córką nie miała kontaktu.

Mówi, że miała pieniądze, więc odpadał problem z kupieniem sobie śniadania. Nie odpadały niestety inne, jak choćby nieważny dowód osobisty.

– Przecież zakład karny spisuje dane, wie, kiedy dowód się kończy. Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? Bez tego nie mogłam się na przykład zarejestrować w urzędzie pracy, żeby mieć ubezpieczenie zdrowotne. Co by było, gdyby mi się coś stało? Rodzina? Pewnie tak by się to skończyło, ale człowiek ma ileś lat, jest dorosły, chce liczyć na siebie.

Zatrzymała się na kilka dni u poznanej w więzieniu koleżanki i poszła do Fundacji „Sławek".

– Powiedział mi o fundacji wychowawca postpenitencjarny, i to zaznaczając, że nieoficjalnie, bo fundacja nie jest mile widziana na Grochowie. Nie wiem dlaczego, nie wnikam.

W fundacji dowiedziała się o schronisku dla kobiet na ulicy Stawki. To tam się zatrzymała, kiedy wróciła z dwutygodniowej regeneracji u rodziny na południu Polski.

– Dostałam łóżko, dostałam jedzenie. Pojechałam do kuratora i kurator przez trzy miesiące opłacał mi tam pobyt. Tam jest dość kompleksowa pomoc, pracownik socjalny na miejscu. Pilnują tego, żeby człowiek nie był bierny. Od razu podpisuje się kontrakt socjalny: wiadomo, ile ma się czasu na znalezienie pracy, ile na znalezienie zastępczego mieszkania. Na początek dają dosłownie dwa dni, żeby odespać i odreagować, potem trzeba działać.

Zarejestrowała się w urzędzie pracy. Trzy lata nie miała kontaktu z komputerem, nie wiedziała, czy go będzie umiała włączyć.

– Ja mam wyższe wykształcenie, dla mnie nigdy nie było problemem używanie różnych sprzętów czy napisanie sobie CV. A wtedy? Pierwsze CV napisałam w fundacji. To jest taka pustka w głowie, taki brak wiary we własne umiejętności. Człowieka to rozbija i rozkłada.

Pomógł doradca zawodowy z fundacji. Znalazła pracę dorywczą, potem na zlecenie, po trzech miesiącach na stałe i pracuje tam do dziś. Praca nie wie o jej przeszłości – ustaliła z psychologiem, że nie ma powodu, żeby o tym mówić. Bo po co niby? – pyta i sama sobie odpowiada: nie szuka pracy w finansach, ma zakaz sądowy. Dla żadnej innej pracy jej przeszłość nie ma znaczenia. Została w Warszawie, bo chce być blisko córki. Wynajmuje mieszkanie.

– Siedziałam z doradcą, z pracownikiem socjalnym, szukaliśmy możliwości. Jakieś mieszkania retencyjne, zastępcze, jakieś organizacje. Nie, nie ma nic. Jest schronisko jedno, drugie, ale dla mężczyzn. Marywilska jest, gdzie są alkoholicy, narkomani, osoby chore psychicznie.

Pytanie o proste przyjemności, których szukała po wyjściu, bardzo ją cieszy. Klaszcze w dłonie i się śmieje:

– Ja nigdy wcześniej nie myślałam, jaką wartość ma to, że mogę iść do McDonalda i kupić sobie kanapkę. Ja jej nie kupowałam, bo jest niezdrowa. Jaką frajdę daje człowiekowi pójście do Maka! Albo wsiąść w autobus czy w tramwaj i sobie jechać, dokąd się chce.

Stara się pomagać dziewczynom, które wróciły lub zostały za kratami. Kartkę wysłać, na widzenie iść. Planuje stworzenie strony internetowej, na której będą informacje dla osadzonych i rodzin, jak sobie poradzić za kratami, co można, czego nie, jak się przygotować do wyjścia. Opowiada o mieszkaniach, które ludzie tracą w czasie odbywania wyroku, bo nie płacą czynszu, o problemach

z ubezpieczeniem dzieci, kiedy rodzic trafia za kraty, o nonsensach, paradoksach i bezsilności.

– A przecież to się zdarza. To się naprawdę każdemu może po prostu zdarzyć.

Wojtek

– Prosto do perfumerii poszedłem, żeby się zapachem psiknąć – opowiada Wojtek, postawny czterdziestolatek. Że postawny, to ważne – mówi, że taki wzrost, szczególnie w połączeniu z wagą, zapewniał mu spokój w więzieniu. Wiedzieli o tym funkcjonariusze, przydzielając do celi niekoniecznie grzecznej. Nie to jednak było dla niego problemem za kratami. – Wie pani, ta chemia więzienna to w ogóle zapachu nie ma, nawet pasta miętowa nie jest miętowa. Nic tam nie pachnie. Tam się dowiedziałem, że dla mnie zapach jest najważniejszy, zapach to życie, wszystko, co dobre, pachnie. Może to dlatego, że moja babcia miała kwiaciarnię? No więc ta perfumeria była zaraz po wyjściu, ale też te zapachy na ulicy, drzewa, ludzie. Wszystko pachniało.

Wojtek był aresztowany przez kilka miesięcy, w oczekiwaniu na sprawę. Jak mówi: niewinnie, ale i beznadziejnie, bo za napaść na policjanta. Kto w Polsce wygrał z policją? – pyta retorycznie.

– Myślałem, że szans nie ma, więc stres straszny. Na szczęście mój adwokat dotarł do nagrania z monitoringu, na którym widać było, że to on mnie pierwszy uderzył bez powodu. Dla mnie ten areszt to był taki kop motywacyjny. Tyle się strachu najadłem, że postanowiłem nigdy się więcej w takie kłopoty nie władować. I zobaczy pani, już szesnaście lat minęło, szesnaście lat spokoju.

Jerzy

– Nie ma takiego człowieka w więzieniu, który by nie myślał o wyjściu. Bliżej końca jest nerwówka, czas zaczyna płynąć wolniej. – Jerzy wygląda trochę tak, jakbyśmy rozmawiali w więzieniu. Włosy obcięte tuż przy skórze, zielona koszula, pod nią szara koszulka. Powoli zbiera myśli, pilnuje wątku, bo wie, co będzie, jeśli go zgubi. – Znałem datę wyjścia swoją. Zaskoczyło mnie trochę, że dzień wcześniej. Trochę, bo ja już tyle lat siedzę, tyle razy wychodziłem, że nie ma w sumie dla mnie różnicy, czy dzień wcześniej, czy dwa dni później.

Przerywa, wstaje i zamyka drzwi. Rozmawiamy w biurze Fundacji „Sławek", w innych pokojach toczą się rozmowy, których gwar przeszkadzał Jerzemu. Zastanawia się, co to był za dzień, kiedy on ostatnio wychodził? Wtorek, środa?

– Teraz to wychodzę za bramę i normalnie się zachowuję, kiedyś to jakby dzika wypuścili. Jak się wychodzi z więzienia, to nie ma żadnej pomocy ze strony państwowych instytucji. Wypuścili mnie na ulicę, dali dwadzieścia złotych, chociaż mówiłem, że jestem bezdomny.

Pierwszą noc Jerzy spędził na klatce schodowej. Rzeczy schował w krzakach, w nocy poszedł na taką klatkę, którą znał, karton sobie przyniósł, cztery godziny spał. Następnego dnia pojechał do kuratora, który zapowiedział, że pieniądze będą, ale mówił, że w piątek, a były po miesiącu. Potem do opieki społecznej, skąd skierowano go na ulicę Siennicką do Ośrodka Readaptacji Społecznej „Dom Patronatu".

– Przyjęli mnie, ale nie wiedziałem, że trafiłem z więzienia do więzienia. Tam dalej odbierali apel, zamykali na noc na klucz. Posiłek jeden, obiad o dwudziestej. Nic ich nie interesuje.

Nie takie nic – schronisko nalega, żeby Jerzy pracował, bo mieszkanie tam kosztuje. Jerzy mówi, że nie może szukać pracy, kiedy pochłonięty jest szukaniem jedzenia. Próbuje także naprawić relacje z synem, co też nie ułatwia rozglądania się za zajęciem.

Z opieki społecznej dostał trochę pieniędzy, to kupił buty. Spodnie dostał w fundacji, o której dowiedział się jeszcze w więzieniu.

– Chciałem pozwać więzienie, bo dużo mi krzywd zrobiło, szukałem prawnika, ale tu mnie pokierowali w inną stronę, żebym się zastanowił, co dalej.

Jerzy kiedyś pracował w budowlance. Zapewnia, że był w tym dobry. Na budowę zawsze z własną poziomicą, od razu widać było, że fachowiec. A potem dwie przepukliny i jest już, jak mówi, w tym fachu skończony. Kurs wózków widłowych zrobił dzięki fundacji, jeszcze kurs magazyniera. Jerzy mówi powoli i cicho, ale koniec opowieści o pracy jest już niemal niesłyszalny:

– Problem tylko taki, że ja tyle lat przesiedziałem. Bardzo dużo. Z przyjęciem będzie problem. Takim jak my się nie ufa.

Ma jednak plan. Prawo jazdy na widłaka odbierze niedługo. Z synem sytuację przez sąd chce uregulować. Wyobraża sobie przebieg rozprawy, że on powie wszystko, konkubina wszystko opowie, a syn będzie to oglądał na jakimś monitorze, w towarzystwie psychologa najlepiej. I podejmie wtedy decyzję, z kim chce kontakt utrzymywać, a z kim nie. A jak odrzuci ojca, to zostaną mu akta sprawy, do których kiedyś może zajrzy i wtedy zrozumie, kto mówił prawdę.

– Liczę na to, że z pomocą Bożą wyjdę na prostą.

Jacek

Wstawał rano i chodził po mieszkaniu. Kawalerka, czyli metraż jak trzeba, dobrze się tam czuł. Jeśli wychodził, to na godzinę tylko i wracał. Wracał, żeby robić z domu więzienie.

– Przerosła mnie ta wolność. W więzieniu byłem kimś, na wolności znowu nikim.

Jacek to konkretny facet, od razu widać. Ma mocny głos i uścisk ręki, żółte spodnie i skórzaną kurtkę. Gdyby policzył, który raz opowiada swoją historię, pewnie wyszedłby jakiś trzycyfrowy numer. Na spotkaniach, na terapii, na wykładach, na spotkaniach z młodzieżą – od ponad dwudziestu lat wciąż o tym mówi i wciąż przeżywa na nowo. Zanim zacznie, stawia między nami kubek z kawą, obok kładzie jakieś elektroniczne cudo pełniące funkcję papierosa, jedno, potem drugie – na wszelki wypadek, na nerwy. Tak zasłonięty zapada się w fotel i nie patrzy już na mnie, nie patrzy przez kilka godzin.

Wyszedł z więzienia w dniu pierwszych urodzin swojej córki. Przez chwilę udawał przed żoną, że to tylko przepustka, ale za bardzo się cieszył, żeby to ukryć. Miał wykształcenie i wyuczony w więzieniu zawód, miał żonę i dziecko, mieli mieszkanie, bo żona się wystarała. Był bogaty w wiedzę o sobie wyniesioną z terapii, pełen chęci życia, zakochany w wizji wolności. Wydawało się, że jest gotowy. Jemu się tak wydawało, wierzył w to, obiecywał żonie wspaniałą przyszłość.

Nie wiedział, że więzienie w nim zostało. Wprowadził w domu zasady z zakładu. Żona miała zakaz otwierania drzwi do łazienki w czasie posiłków, bo dla grypsujących czystość to świętość. Z tego samego powodu Jacek zwracał uwagę na to, żeby szybko myła ręce po zmianie pieluchy.

– Był moment, że ona mówiła, że tak nie chce, że ja żyję więzieniem. A ja mówiłem, że nie, że to po prostu tak ma być.

Innego życia nie znał. Od dziewiątego do dwudziestego szóstego roku życia przebywał kolejno w domach dziecka, pogotowiach opiekuńczych, schroniskach dla nieletnich, poprawczakach i na końcu, przez jedenaście lat, w więzieniu.

– Nie zrozumie pani, co się działo po wyjściu, jeśli nie powiem, z czym wychodziłem.

Jego matka miała do kochania pięciu synów, każdego z innego ojca, ale czasu na to kochanie nie miała, bo pracowała jako salowa po szesnaście godzin dziennie. Jacek był czwarty w kolejności, miał więc do wychowania młodszego brata i wszystkie obowiązki, którymi nie interesowali się starsi. Pierwszym krokiem do więzienia nie były jednak kradzieże drewna na opał, chociaż kradł, ale to, że zaczął pić wódkę. Miał dziewięć lat i trafił do domu dziecka. Dwa lata później wylądował w szpitalu z żółtaczką alkoholową, miał potężne ciągi.

Pod wpływem alkoholu był agresywny, wszyscy się go bali. Z czasem robił rzeczy coraz gorsze i coraz bardziej brutalne, bez obaw przed karą – wiedział, że jest naturalnym elementem złodziejskiego życia. W kolejnych placówkach wychowawczych czuł się jak u siebie, nie bał się izolacji. Manipulował, oszukiwał, wykorzystywał, bo tego się nauczył w domu dziecka i kolejnych miejscach, żeby przetrwać.

Miał siedemnaście lat i sześćdziesiąt jeden zarzutów o napady i rozboje, również ze skutkiem śmiertelnym. Dwadzieścia pięć lat dostał. Mówi, że gdyby był pełnoletni, pewnie by wisiał, to były przecież lata osiemdziesiąte.

– Przyjechałem do Wronek. Ciężki zakład karny, powiem pani. Myślałem, że będę tam mógł pajacować, bo wyrok, bo prestiż. A tam cisza, spokój, ludzie w celi czytają książki, grają w szachy. Jeden stary recydywista, dożywocie miał, wziął mnie na bok i mówi: siadaj, synu, pogadamy. I tak mi zaczął tłumaczyć, żebym ten czas jakoś wykorzystał dla siebie.

Zaczął małymi krokami. Szkoła zawodowa, potem technikum, matura. Napisał o studia. Chodził na spotkania AA i na terapię. To tam, od terapeutki, pierwszy raz usłyszał, że jest wartościowym człowiekiem.

– Takie rzeczy mi się włączyły! Nie umiałem tego przyjąć. Gdyby mnie obraziła, gdyby wyzywała – OK. Ale to? Kilka tygodni się z tym

woziłem, myślałem, że porąbana kobieta, że może się zakochała, może chce seksu.

Na terapii był wymóg używania imion. Jacek przez tyle lat utożsamiał się ze swoją ksywą, że zapomniał, jak się nazywa. Dziś mówi, że podoba mu się jego imię.

W czasie terapii zaczęły się przepustki, po kilka godzin. Poznał dziewczynę, jedną, drugą. Mówi, że to były jednorazowe przygody, rozpaczliwa próba zrobienia sobie wspomnień. Te o dziewczynach w więzieniu liczyły się najbardziej, więc zdarzało mu się je nawet wymyślać, byle mieć o czym kolegom opowiadać.

– Siedemnaście lat miała, osiem mniej niż ja. Dzieciak. Córka byłego milicjanta, jedynaczka, pilna uczennica. Strasznie jej w głowie zawróciłem. Oczywiście nie powiedziałem, jaki mam wyrok. Ściema równa, że niedługo wychodzę. Może przez to, że była czysta, normalna, że nie piła, że pachniała, że była taką dziewczyną, o której zawsze marzyłem, może dlatego, że nie poszła ze mną do łóżka, że miała zasady – zakochałem się strasznie.

Przyjeżdżała na widzenia, on wymyślał kolejne kłamstwa. Długo się jednak nie dało ukrywać, ile ma jeszcze przed sobą lat za kratami. Postanowił się do wszystkiego przyznać. Na widzeniu, nie na przepustce, bo w więzieniu czuł się bezpieczniej. Powiedział jej, że ma prawo odejść, bo czuł, że tak powinien powiedzieć, chociaż zupełnie tego nie chciał. Na cztery miesiące zniknęła, ale nie udało jej się zapomnieć. Wróciła. Oświadczył się na widzeniu.

– Pobraliśmy się. Jej rodzice przyszli na ślub i powiedzieli, że już nie jest ich córką, skoro wybrała bandytę. Że to wszystko po to, żebym wyszedł z więzienia. Ceniłem ich za to, że przy mnie to powiedzieli, nie odciągali jej na bok. Bardzo dojrzałe.

Jacek nie wchodzi w szczegóły, ale mówi, że w więzieniu sobie radził. Stać go było na wynajęcie kawalerki na wolności dla żony. Zamieszkała tam i rzuciła szkołę.

– Wszystko się popieprzyło wtedy. Na terapii człowiek uświadamia sobie wiele rzeczy, że nie tylko w swoją stronę grabię, ale i w innych stronę grabię. Strasznie było mi ciężko i trudno, kiedy sobie uprzytomniłem, co jej gotuję, jakie to jest ogromnie nie w porządku. Że ona jest tam sama, bez rodziców, bez przyszłości.

Minęła jedna trzecia kary, napisał o przedterminowe warunkowe zwolnienie, potem u ułaskawienie raz i drugi, i dostał. Ułaskawił go Aleksander Kwaśniewski. Jacek mówi, że stał za tym sztab ludzi, głównie terapeuci z Rakowieckiej, którzy opowiadali jego historię i przekonywali kolejne osoby do udzielenia poparcia. Coraz bardziej wpływowe osoby, senatorów. Nie brakowało zawiści, głównie kolegów, którzy też się starali. Na finiszu wyroku zmieniła się też psycholożka, nowa nie wierzyła w zmianę Jacka, w jego dobre intencje, w sens dawania mu szansy, a przede wszystkim w jego układanie sobie życia na wolności i małżeństwo. Mówi o niej bez sympatii, ale i ze zrozumieniem.

– Jakby pani spojrzała w akta, to ja całe życie i o jeden dzień dłużej powinienem siedzieć za to, co zrobiłem, co robiłem od najmłodszych lat. A tu i ta żona osiemnastoletnia, i Kwaśniewski.

Spotkał tę psycholożkę tuż przed wyjściem za więzienną bramę. Pamięta, że powiedziała mu, że bandytą jest i bandytą zostanie, a on odpowiedział jej z mocą: nie jestem bandytą, jestem wartościowym człowiekiem.

Miesiąc po wyjściu zachorował na ospę, córka też. Był cały wymazany w gencjanie, kiedy żona wyszła z kuchni i powiedziała, że się na takie życie nie godziła. Że jak był w więzieniu, to chociaż pieniądze były, a teraz są tu razem, ale głodni.

– To było jak uderzenie. Jak to głodni?! Powiedziałem sobie, że jestem usprawiedliwiony przed sobą, przed ludźmi, przed Bogiem, że próbowałem. Żonie powiedziałem: dzisiaj nie będziesz głodna.

Uruchomiły się wszystkie instynkty sprzed lat. To było okropne, aż demoniczne. Zmywałem tę gencjanę, chodziłem po pokoju jak zwierzę, założyłem dres, kaptur, pałę wziąłem. Taka adrenalina uderzyła! Jak kiedyś. Powiem uczciwie, że się bardzo dobrze czułem, kiedy to wszystko odzyskałem w ciągu tych dziesięciu czy dwudziestu minut. Ja sobie nie poradzę?! To całe cwaniactwo wróciło, od razu nawet słownictwo mi się zmieniło. Dziwnie się zachowywałem, pot mi występował. Powtarzałem sam do siebie: nikt nie będzie głodował.

Mówi, że później się dowiedział, jak przestraszył żonę i dziecko, jak zmieniły mu się oczy, kiedy krążył po pokoju, czekając, aż ściemni się na tyle, żeby można było znów pójść na ulicę. Pamięta, że żona płakała i że zupełnie nie zwracał na to uwagi, bo był na nią zły, chociaż był też jej wdzięczny, że pozwoliła mu wrócić do starego życia, że dała mu do tego przepustkę.

Przeszkodziło mu pukanie do drzwi. To był Marek Łagodziński z Fundacji „Sławek". Poznali się na Rakowieckiej. Zaprosił Jacka do swojego kościoła, żeby dał świadectwo. Jacek się na to zgodził, bo był wtedy trzynaście dni na wolności, miał nadzieję, że uda mu się w ten sposób znaleźć pracę. Poszedł i opowiedział o tym, jak sobie nie radzi, jak tęskni za więzieniem, za kolegami, za celą, za obłudą, kłamstwami, bajerą. Mówił o tym, jak źle się czuje na wolności, że tylko ciasnota kawalerki przynosi mu ulgę.

Od świadectwa minęły jednak dwa tygodnie, pracy to nie dało, za to sprowadziło mu na głowę Marka wtedy, kiedy najmniej spodziewał się wizyt.

– Jaki ja zły byłem na niego! Marek, mówię, nie mam czasu, jestem chory, zarazisz się ospą. A on jest taki, że drzwiami go wywalasz, to oknem wchodzi. Mówi, że ma sprawę, i wchodzi do środka. On tu przyszedł, bo mi taka pani z kościoła kazała coś przekazać. I daje mi kopertę. Otworzyłem, a tam pieniądze. Nie

pamiętam: pięćset złotych? Trzysta złotych? Na tamte czasy bardzo dużo, szczególnie dla mnie. Jakby mi ktoś obuchem po nogach walnął. Usiadłem. Jak to mi pani dała? Mam oddać? Nie, to dla ciebie, bo słuchała świadectwa, bardzo się wzruszyła, kazała ci dać. I wtedy przyszła mi taka myśl i nie zapomnę jej do końca życia: że już nigdy, ale to przenigdy nikogo nie skrzywdzę. Choćbym miał beton jeść, nikogo nie uderzę, nikogo nie skrzywdzę. Wstałem, żonę przytuliłem.

Dwadzieścia kilka lat później nadal nie radzi sobie ze wzruszeniem. Mówi o wielkim szczęściu, że jednak na ulicę nie wyszedł, ale i o ciężarze, który od tej pory wciąż czuje. Od tamtej chwili już wie na pewno, że tamto życie wciąż jest blisko. Nie ufa ludziom, którzy mówią, że się zmienili. Nie wierzy w zmiany na zawsze. Zapewnia, że pracuje nad sobą, nadal jest w terapii, wciąż uważny, dbający o siebie i o otoczenie, choćby to miało oznaczać selekcję znajomych, bo wie, że tamto wciąż w nim jest.

– Trudne były momenty, kiedy mnie ktoś w ramię stuknął, jak szedłem w markecie z żoną, źle spojrzał czy pyskował. Sytuacje konfrontacji, wie pani. Trudno, jak się ma model obronny wykuty w głowie, agresja na agresję. A dziś mam taką satysfakcję, jak mogę spojrzeć na człowieka, w głowie sobie tylko powiedzieć: kurde, szkoda mi ciebie, ale nie nakręcą mnie twoje emocje, bo wiem, jakie mogą być konsekwencje.

Tej kryzysowej nocy Łagodziński został u nich, rozmawiali do rana. Zaczął się wtedy okres, kiedy spędzali ze sobą dużo czasu, tak dużo, że żona była zazdrosna. Łagodziński wprowadził Jacka w życie na wolności. Nauczył go kasować bilety w autobusie, bo Jackowi uczciwość w ogóle się z biletami nie kojarzyła. Pokazał mu też degustacje. Dla Jacka supermarkety były nowością, a co dopiero takie na przykład dziewczyny z serami.

– Podeszła do nas pani z serami i Marek mówi, no weź, weź. Ja mówię, że nie, że nic nie będę brał, weź się odwal. On bierze ten patyczek i daje, i mówi, że mam jeść. To zjadłem, ale nie wiedziałem, co z tym zrobić dalej, obudziło się we mnie przekonanie, że to muszę teraz kupić, chociaż w ogóle mi ten ser nie smakował. Wracam do tej kobiety i mówię, pani da mi ten ser, a Marek znowu za te patyczki, daje mi różne smaki, przy tej kobiecie daje i tłumaczy: Jacek, ty nic nie musisz, spróbuj, jak ci smakuje, to kup, a jak nie, to nie, po to ta degustacja jest. Przy tej kobiecie mi to tłumaczy, ja z uwagą słucham, pamiętam jej oczy wybałuszone.

To Marek znalazł mu pracę w Wojskowych Zakładach Graficznych. Wszyscy mieli wtedy stawki siedem czy osiem złotych za godzinę, Jacek dostał dwa pięćdziesiąt i strasznie się z tego cieszył. Pierwsza praca na wolności, uczciwa. Pierwszy dzień, kołchoz, masa ludzi. Przy wejściu strażnik w mundurze, na Jacka od razu źle podziałał. Dalej zegar i bramka, na której trzeba odbić kartę. I niemoc, i strach.

– Podszedłem raz, zrobiłem to źle, zegar wyrzucił kartę. Poty mi wystąpiły, wiedziałem, że źle się dzieje, że sobie nie radzę. Cały motor agresji się uruchomił. Zadzwoniłem do żony, mówię: Ania, ja pierdolę tę pracę. Ja się tutaj nie nadaję. Wykrzykiwałem, że wracam do domu, że żadnej pracy nie będzie. Wydawało mi się, że wszyscy na mnie patrzą. Ona mówiła: Jacuś, spokojnie, podejdź, zapytaj, jak to zrobić. Jak nie do tego strażnika, to do człowieka jakiegoś. Powiedz, że jesteś pierwszy dzień w pracy i nie wiesz. I przy tym mówi, że mnie kocha.

Im bardziej Jacka ponosi wzruszenie, tym bardziej boję się, że w którymś momencie tej historii straci żonę tak czy inaczej. Czekam, aż się uspokoi, i wiem, że nie dam rady zapytać o żonę wprost, że poczekam, nie naruszę chronologii. Rozmawiamy więc o tym, jak dobrze było Jackowi nieznośny zegar pokonać, jak poszedł do pracy i raz po raz odświeżał ten proces w pamięci, żeby odtworzyć go przy

wychodzeniu i następnego dnia rano. Jak cieszyli się w domu z jego sukcesu, jak żona rozumiała, że to dla niego ważne.

Bo ta żona nie miała z Jackiem za łatwo. Czułość nie jest wpisana w kodeks grypsujących, Jacek miał więc problemy z chodzeniem z żoną za rękę. Czuł się też jak frajer, wyprowadzając psa czy spacerując z wózkiem. Głęboko wierzył, że nie wypada mu robić takich rzeczy i że najlepiej zachowywać z żoną dystans w miejscach publicznych.

– Ciągle się przejmowałem opinią innych, wciąż nie radziłem sobie z emocjami, z ich wyrażaniem. Wie pani, siedziałem na terapii, ręce poobijane, głowa pozbijana, bo głową też waliłem w ścianę. Na terapii się dowiedziałem o tych wartościach, o tym, co jest dla mnie ważne. I coraz mocniej tę rękę trzymałem, coraz mniej się wstydziłem, coraz więcej czułem.

Potrzebował czasu, żeby uwierzyć, że może żonie ufać, że ona go nie wyśmieje, że zrozumie. Jak już uwierzył, to przychodził do niej ze wszystkim. Pół roku po wyjściu z więzienia poprosił, żeby otworzyła łazienkę w czasie obiadu. Później nawet o podniesienie klapy poprosił.

– Ja sobie uprzytomniłem, co mi więzienie zrobiło. Życie więzienne obliguje do pewnych zachowań i przestrzegania zasad też na wolności. Nie można zadawać się z frajerami, z milicjantami, nie wolno im ręki podać czy wódki się z nimi napić. Zrozumiałem, że muszę te zasady złamać.

Znowu przydał się Marek. Jacek zaproponował mu wspólny wyjazd na spotkanie do któregoś dużego więzienia, w którym kiedyś siedział. To było rok, może półtora roku po wyjściu. Pojechali do Wronek, ale Jacek nie dał rady powiedzieć tego, z czym przyjechał. Dwa–trzy miesiące później pojechali do Barczewa.

– Było ze dwustu skazanych, dużo ziomków mnie tam znało. Zacząłem mówić o sobie, o więzieniu, o grypsowaniu. Że nie

rozumiałem, co to jest normalność. Że muszę zamknąć swój rozdział więzienny, bo całe życie siedziałem i już czas z tym porządek zrobić. Wstałem. W obecności tych wszystkich skazanych podszedłem do stołu, mówię: panie naczelniku, chciałem panu rękę podać w obecności moich kolegów, bo chciałem rozdział z więzieniem zamknąć. Stałem się frajerem, już nigdy nie mogę grypsować.

Mówi, że nic nie jest w stanie oddać ulgi, jaką czuł, wracając do domu. Jak wolny człowiek się czuł, jakby tonę brudu z siebie zrzucił. Zapewnia, że na własne oczy widział jeszcze czterech kolegów, którzy zrobili to samo.

Przeszłość jeszcze się o niego wiele razy upominała, koledzy wychodzili z więzienia, mieli wiele pomysłów na szybki zarobek, próbowali wciągnąć w to Jacka.

– Pokusa była straszna. Ciągle mi brzęczało, że nie da się być połowicznie uczciwym, albo się człowiek skurwi, albo się nie skurwi. Dzwoniłem do Marka rozdygotany, mówiłem: przyjedź. Nie ufałem sobie.

Marek przyjeżdżał i był z nim, kiedy koledzy namawiali, chociaż Jacek mówił, że woli być frajerem. Mijał miesiąc, drugi, czytał w gazetach, że ich złapali, że znowu będą siedzieć. A on był wolny.

Dziś Jacek ma trójkę dzieci, córkę i dwóch synów. Jest dziadkiem. Dzieci wiedzą. Powiedział im, kiedy były nastolatkami. Mówi, że był wtedy dla dzieci autorytetem, jako ojciec wymagający, ale sprawiedliwy. Reakcji córki bał się bardziej, bał się, że go odrzuci. Dwie godziny do nich mówił, wspomina, dużo było łez. Nie stracił córki, nic się nie zmieniło. Z córką Jacka rozmawiałam jedynie krótko przez telefon, miałyśmy się spotkać – nie udało nam się. W telefonicznej rozmowie powiedziała tylko, że domyślali się z bratem przeszłości ojca. A może po prostu wyczuwali tajemnicę?

Syn Jacka postanowił iść w jego ślady.

– Widziałem, że wchodzi w środowisko, zaczęły się pierwsze ćpania. W pierwszej chwili myślałem: no nie, rozerwę go jak żabę. Ale nie. Postawiłem wszystko na jedną kartę. Kazałem mu się spakować – opowiada Jacek.

Syna z walizką zawiózł na Rakowiecką, zapukał do więziennej bramy. Strażnikowi powiedział, że przywiózł ćpuna i złodzieja, który okrada swoich rodziców, że on nie chce takiego dziecka.

– Klawisz, świetny facet, znał mnie zresztą, wszedł w to. Pogadał, postraszył. A on się po prostu zsikał. Stał tam i się zsikał.

Wrócili do domu, syn poszedł do swojego pokoju i zasnął w zasikanym ubraniu. Jacek pamięta, że żonie mówił: zostaw go, niech śpi. Rano wstał, wykąpał się, poszedł do szkoły. Jak wrócił, powiedział, że chce się zaangażować tak jak ojciec. Jeździli razem potem po poprawczakach, zabierali chłopców na przepustki. Do tamtej sytuacji nigdy nie wrócili i nigdy już nie było problemów.

– Cały czas im mówię, że się brzydzę kłamstwem. Wiedzą, że jak coś się stanie, jak coś zrobią i będą się bali konsekwencji, to mogą mnie zaprosić do swojego pokoju, zrobić dobrą kawę i mają gwarantowane, że z mojej strony mają tylko pomoc, nic więcej. Szanowali to, korzystali tylko wtedy, kiedy naprawdę potrzebowali. Nie po wywiadówkach, na których było coś nie tak. Nie. Jak się córka zakochała, nie radziła sobie z tym, on ją wykorzystywał. Ogromne zaufanie, niesamowita więź.

Z żoną ma za to zielony stolik. Raz w miesiącu siadają przy stole nakrytym zielonym obrusem, mają ciasto i kawę, i rozmawiają. Ale tak – zapewnia – żeby znaleźć rozwiązania, a nie zasygnalizować problem i tak to zostawić. Bo dbają o siebie, bo kochają się, mówi z mocą. Nakreśla kolejne problemy i ich rozwiązania, a przede wszystkim działania profilaktyczne, które prowadzi, w które wciąga rodzinę, bo dzięki temu czuje, że daje sobie radę, że panuje nad

starymi demonami. I nie powie, że po tych dwudziestu latach na wolności już się nie boi, powie ostrożnie: – Myślę, że się uratowałem.

Odzyskał teściów. Kilka lat to zajęło, osiem, może i dziesięć, ale dziś do teścia mówi tato i nie wstydzi się powiedzieć, że go kocha. Spotkał się z osobami, które skrzywdził, rozmawiał z synem człowieka, którego zabił. Prowadzi stowarzyszenie, co czwartek spotyka się z młodzieżą z poprawczaka, prowadzi zajęcia z technik zastępowania agresji. Czasem jeździ na spotkania, bywa, że z żoną. Tą samą żoną. Ze mną nie chciała rozmawiać, jak przekazał mi Jacek: nie chce już wracać do tego, co było.

– Dawno temu mnie zapytała, czemu ja to ciągle robię, przecież mamy dobre życie, ludzie nas szanują, mam dobrą pracę, po co to? Muszę to robić. Żeby być człowiekiem, muszę to robić, muszę pamiętać.

Ciach bajera

Coś w kłodzkich uliczkach mówiło mi, że to nie jest mój pierwszy raz. Kiedy zapytałam mamę, powiedziała, że jak zobaczę kryminał, to od razu sobie przypomnę.

Piękna ulica w centrum miasta. Szkoła, przedszkole, więzienie, sąd rejonowy. Wpatruję się w mur z czerwonej cegły zwieńczony drutem kolczastym. Budynek z 1889 roku, zakład typu zamkniętego dla recydywistów, 659 miejsc – czytam z telefonu. Mama mówi później, że niedaleko kupowaliśmy hot dogi.

Zastanawiam się, czy to było może to więzienie, w którym z okna łazienki widziałam dziedziniec i słyszałam pokrzykiwania osadzonych rozmawiających między celami? Czy to było może jedno z tych miejsc, w których pokoje gościnne umieszczono w budynku administracji, z oknami na ulicę i wygodną łazienką, w której tylko toporne ręczniki z oznaczeniem ZK lub AŚ przypominały, gdzie jesteśmy? Lato ’96 czy ’98?

Pamiętam, że w Zakładzie Karnym w Wadowicach było całkiem luksusowo. Kiedy wróciliśmy ze zwiedzania domu papieża i kremówek, pokoje pachniały świeżością. W Częstochowie wręcz przeciwnie, brud aż strach, ale na Jasną Górę z kryminału były dwa kroki.

Pamiętam, jak z Rakowieckiej jechaliśmy do warszawskiego zoo. W Zarębie koło Lubania zaopatrzenie do więzienia przywoził chłop konnym wozem, zatrzymywał się akurat koło naszego domku i pozwalał głaskać konia. Teraz wiem, że to był domek do widzeń. We Wrocławiu ze zwierząt były tylko komary, prawdziwa plaga, bo

byliśmy tam tuż po powodzi w 1997 roku. Wstyd nam było, kiedy patrzyliśmy, jak z ich powodu pobrudziliśmy ściany w pokoju gościnnym więzienia.

Pamiętam, jak pierwszy raz pojechałam na kolonie dla dzieci funkcjonariuszy Służby Więziennej. Miałam osiem lat i tak jak reszta mojej grupy maluchów uwierzyłam, że któryś z osadzonych pracujących w ośrodku zrobił krzywdę jakiemuś dziecku, więc teraz nie możemy patrzeć na więźniów-kelnerów. Dobre kilka dni wbijaliśmy wzrok w obrus przy każdym posiłku.

Pamiętam, jak pojechałam na obóz jeździecki dla resortowych dzieci i dostałam rozprutą poszewkę na poduszkę. Niedługo po zgłoszeniu sprawy patrzyłam na wielkiego, wytatuowanego więźnia, który wprawnie zszywał mi pościel.

Pamiętam, jak zostałam wychowawczynią w takim ośrodku kolonijnym. Mając w pamięci własne początki, pilnowałam, żeby nikt dzieciom nie opowiadał bzdur o osadzonych.

Pamiętam, jak skończyło się lato i znanych mi z kolonii skazanych spotkałam gdzieś na ulicy. Grabili liście. Machaliśmy do siebie i wołaliśmy, że widzimy się za rok.

Pamiętam, jak trafiłam na informację, że magazyn reporterski „non/fiction” planuje numer poświęcony pracy.

Po tygodniach podań, próśb i ponagleń znalazłam się w gabinecie dyrektora Oddziału Zewnętrznego olsztyńskiego Aresztu Śledczego. Wypiliśmy czarnego liptona, pogawędziliśmy chwilę, a potem dyrektor powiedział, że ma kilka spraw do załatwienia, więc mogę rozmawiać z osadzonymi w jego gabinecie. Nie spodziewał się, że jak wróci za godzinę, trafi na moją wciąż pierwszą z sześciu zaplanowanych rozmów o pracy więźniów.

Ja też nie wszystko przewidziałam. Nie myślałam, że kiedy wyjdę z olsztyńskiej jednostki prosto na skutą lodem ulicę, będę już

w myślach pisała nie tylko reportaż, który ukazał się w trzecim numerze magazynu „non/fiction”, ale też tę książkę.

Najprawdopodobniej nigdy nie szukałabym tych historii, gdyby nie mój tata, który przez niemal dwadzieścia pięć lat był funkcjonariuszem Służby Więziennej. Dziękuję, Tato, nie tylko za to, że miałeś taką pracę, a ja dzięki niej miałam świadomość, że istnieje świat za murem, i jeździłam na resortowe wakacje. Dziękuję za to, że razem z Mamą wpoiliście mi szacunek i otwartość na drugiego człowieka bez względu na jego sytuację. To były moje podstawowe narzędzia pracy.

Nie szukałabym tych historii, gdyby nie mój mąż, dzięki któremu mogłam przez rok nie szukać innego zajęcia. Dziękuję, Jacku, za ten mecenat, za wysłuchanie każdej opowieści przywiezionej z więzienia i za pomoc w poradzeniu sobie z towarzyszącymi jej emocjami. Dziękuję za wsparcie, gdy brakowało mi natchnienia lub – zwłaszcza – wiary we własne siły.

Nie szukałabym tych historii, gdyby nie Wydawnictwo Poznańskie, które uwierzyło, że je znajdę, i zapewniło mi najlepszą pomoc w szukaniu: mojego redaktora Adriana Stachowskiego, człowieka o wielkiej cierpliwości, imponującej wiedzy i znakomitym podejściu do neurotycznych debiutantek. Redaktorze, dziękuję za wszystkie „stać Cię na więcej”.

Nie znalazłabym tych historii, gdyby nie otwartość i pomoc olsztyńskiego Aresztu Śledczego, Zakładów Karnych w Siedlcach, Iławie, Opolu Lubelskim i Czerwonym Borze. Bezcennego wsparcia udzielili mi Magdalena Socha z ZK Iława, Krzysztof Milewski z ZK Czerwony Bór oraz Stanisław Jabłoński z ZK Siedlce. Dzięki Państwu dowiedziałam się więcej i mam nadzieję, że więcej zrozumiałam.

Nie znalazłabym tych historii, gdyby nie moi rozmówcy, osadzeni z wymienionych powyżej jednostek penitencjarnych. Dziękuję za

każde spotkanie, za zaufanie i wyrozumiałość. Dziękuję również funkcjonariuszom wyszukiwanym różnymi kanałami, którzy anonimowo dzielili się ze mną wiedzą, doświadczeniem i frustracjami.

Nie znalazłabym tych historii, gdyby nie Fundacja „Sławek" – Danuta i Marek Łagodzińscy oraz Krystyna Żołynia, wspaniali ludzie czyniący dobro. Dziękuję Państwu za lekcję wiary w drugiego człowieka.

Nie znalazłabym słów, by tak pięknie i przejmująco opisać więzienną codzienność, jak robią to zdjęcia Piotra Kochańskiego. Piotrze, dziękuję Ci za życzliwość i współpracę.

Nie znalazłabym się tu, na samym końcu pierwszej własnej książki, gdyby nie Bernadetta i Tomasz, którzy od lat są moimi przewodnikami w świecie literatury. Nie byłoby mnie tu, gdyby nie Emilka, Anika i Tomato, którym wciąż chce się mnie słuchać, czytać i wspierać. Dziękuję Wam bardzo.